

• JUŻ MOŻNA WYCIĄC PRZEKLEŚTWA Z MOZGU •

PRZE KROJ

Nr 25 / 3078 • 20 czerwca 2004 • cena 4,50 zł

/w tym 7% VAT/

EUROPA PIŁKA KARMIONA

POGRZEB
WEDŁUG SCENARIUSZA
NANCY REAGAN

ZOLL PRZECIW URZĘDASOM

AAABY WOJNĘ WYGRAĆ
Najemnicy XXI wieku

NA CO SKAZUJĘ
CIĘ TWOJE IMIĘ

VERMEER

- ZOBACZ JESZCZE RAZ!



Najbezpieczniejszy minivan w historii motoryzacji

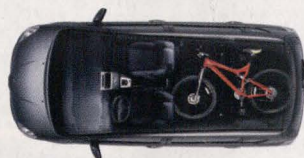


Toyota Corolla Verso. Siedem miejsc. 5 gwiazdek Euro NCAP.



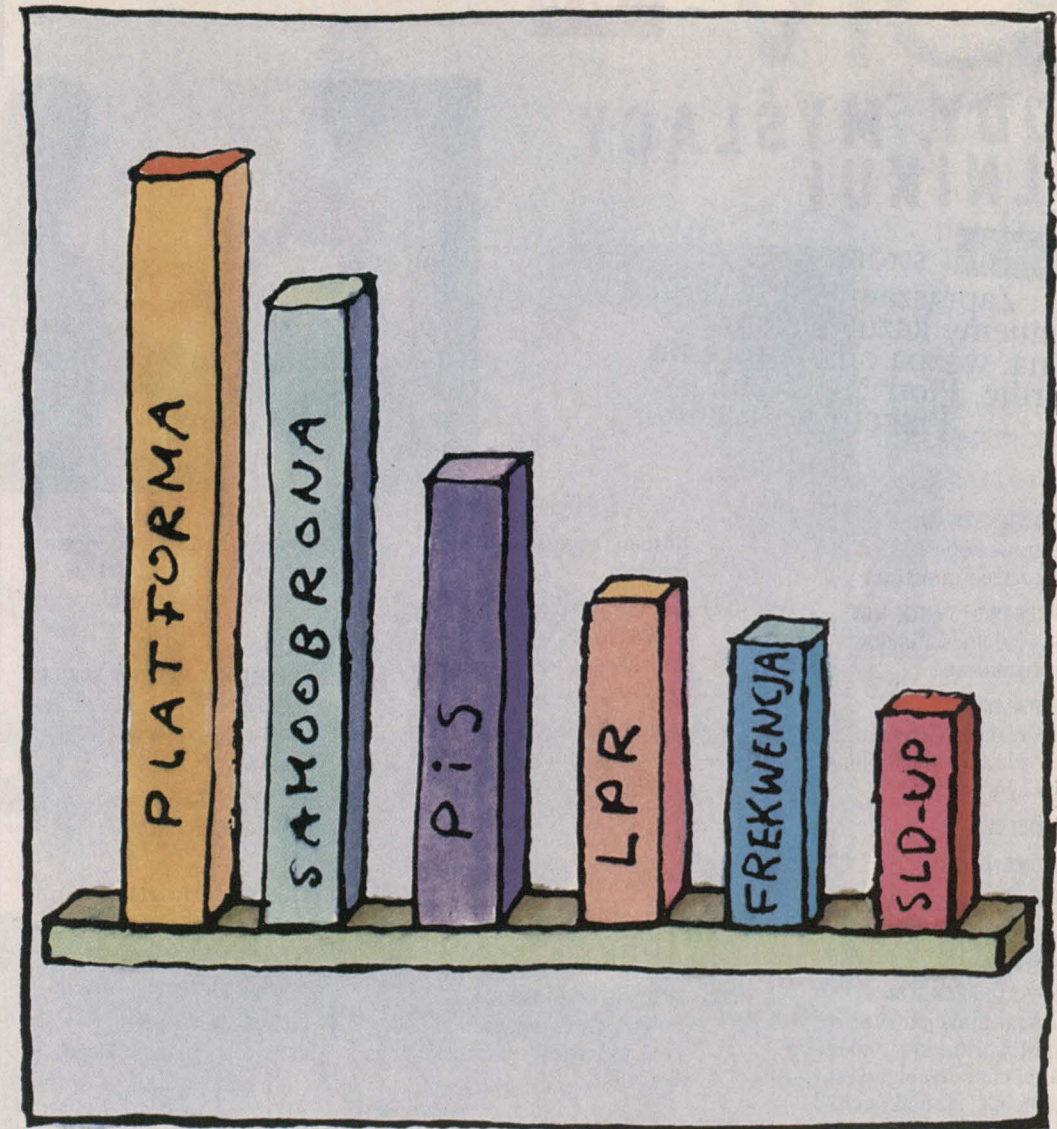
Nowa Toyota Corolla Verso zdobyła w testach bezpieczeństwa Euro NCAP aż 5 gwiazdek i najwyższą w historii ilość punktów przyznaną w kategorii minivan. Dziewięć poduszek powietrznych chroniących kierowcę i pasażerów, trzypunktowe pasy bezpieczeństwa oraz systemy stabilizacji

toru jazdy, kontroli trakcji i wspomaganie hamowania mówią same za siebie. Bezpieczeństwo i wygoda Corolli Verso idą w parze z jej nowoczesną linią i dynamicznymi silnikami, a łatwo składające się siedzenia w systemie Flat-7 utworzą w okamgnieniu idealnie płaską powierzchnię bagażową. Wszystko po to, aby jazda nową Corollą Verso była prawdziwą przyjemnością.



TODAY TOMORROW **TOYOTA**

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o tym, że prominentni

przedstawiciele Samoobrony, czyli Andrzej Lepper, Danuta Hojarska i Krzysztof Filippek, wybierają się z gospodarczą wizytą do Chin na oficjalne zaproszenie Komunistycznej Partii Chin. Bo najpierw trochę nas to zaniepokoiło, ale potem przypomnieliśmy sobie, że to przecież ludzie, którzy jak mało kto znają się na kredytach, a posłanka Hojarska zdała ostatnio maturę z geografii, więc wie nawet, w którą stronę jedzie. Całkowicie zaś uspokoił nas przewodniczący, który zapytany, czy mu się podoba chiński ustrój, odpowiedział: „Jest to innego rodzaju komunizm. Na pewno te prawa człowieka itd. – ja nie wiem, tam trzeba być, żeby to poznać dokładnie. Jeżeli takie metody są stosowane, jakie są opisywane, to na pewno mi się to nie podoba”. Czyli wróci.

...o nienagannej logice

Antoniego Macierewicza, lidera Ruchu Katolicko-Narodowego, który uznał, że niska frekwencja w eurowyborach była w istocie ich bojkotem, a więc „przekreśliła wynik zeszłorocznego referendum akcesyjnego”, czyli „W tej sytuacji partie i posłowie wybrani do Parlamentu Europejskiego muszą mieć świadomość, że nie uzyskali mandatu narodowego do reprezentowania tam Polski”, a tym samym należy zacząć zbierać podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie wystąpienia Polski z Unii Europejskiej. Bo to logika politycznego zombi. A przecież zombi nie istnieją, to o czym pisać?

...o zmaganiach marszałka Oleksego z własną inteligencją,

dzięki której najpierw doprowadził do przegłosowania raportu Ziobry, a teraz kombinuje, jak zmusić posłów do ponownego głosowania nad raportem. Bo choć zaprzął do pracy dwie komisje, w Sejmie wciąż obowiązuje pozdrowienie „Dzień Ziobry!”.

...o Platformie Socjalistycznej powołanej wewnątrz SLD. Działacze tacy jak Mieczysław F Rakowski, Jerzy Wiatr i Grzegorz Kurczuk zaczęli od krytyki nepotyzmu, korupcji i braku demokracji w partii, domagają się też nowego programu akcentującego „wartości socjalistyczne”. O złożeniu samokrytyki zapomnieli. Bo kiedyś takie struktury wewnątrzpartyjne nazywano „poziomki”, teraz trzeba by mówić „śliwki-robaczywki”.

CYTAT tygodnia

W „Gazecie” czytam sport, to, co jest ciekawe, i „Stoleczną”. Albo „Politykę”, albo „Przekrój”.

ADAM CHUDZIAK
11-letni zwycięzca teleturnieju „Dzieciaki z klasą”, o prasie, którą czyta („pasjami”)

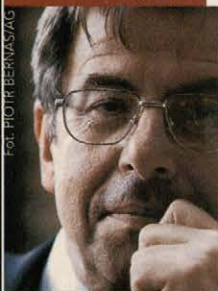


MŁODY, MYŚLĄCY
CZYTELNIKU!

Oddajemy Ci stronę w „Przekroju”. Zapraszamy do hyde parku, gdzie opublikujemy każdą ciekawą, kontrowersyjną, ważną opinię (ocenia, ale nie cenzuruje, Piotr Najsztub). Piszcie do nas!

28

Andrzej Zoll



Okladka:

KIBICE EURO 2004

Fot. ESTELA SILVA/

EPA-PAP/FORUM,

FILIPPO MONTEFORTE/

EPA-PAP/FORUM,

STEVEN GOVERNO/AP

Fot. JASON

REED/REUTERS/FORUM

Fot. PIOTR BERNAS/AG

Fot. STEVE EARLEY/

THE VIRGINIAN-PILOT/

POLARIS/EAST NEWS

Fot. PARENTS/BE&W

Fot. DPA/FORUM

6 POWIĘKSZENIA
Europa kopie;
I pogrzeb imperium

18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne

24 PYTAMY
Bronisława Geremka,
co zdziałła Unia Wolności
na uchodźstwie

25 ODESZLI

26 KOMENTARZE

27 RACZEJ RACZKOWSKI

NAJSZTUB PYTA

28 KRAJ URZĘDASÓW
Zaczął funkcjonować
mechanizm, który pozwala
środkami demokratycznymi
zmieniać kierunki polityki.
Społeczeństwo nie jest
bezaradne – wierzy
profesor Andrzej Zoll

GORĄCY DOKUMENT

34 ARMIA PANA PRINCE'A
Blackwater zatrudnia
w Iraku 450 osób.
To najbardziej tajemnicza
spośród wojskowych
korporacji

POLAK W UNII

38 UCIECZKA BIAŁEGO KAPITAŁU
17 tysięcy lekarzy chce
wyjechać z Polski
za chlebem. Kto nas
będzie leczył?

HYDE PARK

42 Platforma samoobrony

LUDZIE

44 PONADDZIEWIKOWY SPÓR
Właśnie rodzi się
niezwykły wynalazek,
który ma dwóch ojców.
Ale tylko jeden z nich

dostanie patent i miliony
dolarów

50 JAK WYTRZYMAĆ Z JOANNĄ
CHMIELEWSKĄ
Instrukcja obchodzenia się
ze znaną pisarką

54 MARKIZ DE FIAT
Luca di Montezemolo jest
piękny, zdrowy i bogaty.
To najpotężniejszy człowiek
we Włoszech

56 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HISTORIA FIRM
I MAREK

58 MOC SIĘ ROZPUSTCZA
Na świecie co sekunda pije
się cztery tysiące filiżanek
Nescafé

NAUKA

64 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

66 PRZEKLĘTE IMIĘ TWOJE
Zanim dasz dziecku dziwne
imię, przeczytaj, jak
wpływają imiona na nasze
życie

70 TIK ZOPEROWANY
Bluzgasz, walisz głową
w ścianę, nie możesz
opanować tików? To wina
twojego mózgu, ale można
go już wyregulować

72 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

74 EURO ZA 825 MILIONÓW
EURO
Rozpoczęły się mistrzostwa
Europy w piłce nożnej
– trzecie co do wielkości
sportowe wydarzenie
na świecie

PATRZĄC I CZYTAJĄC

76 WIDZIAŁEŚ, TO ZOBACZ
Im bardziej próbujemy

wydrzeć obrazom Vermeera
strzępy rzeczywistości,
tym więcej pojawia się pytań

84 LISTY

85 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

86 FILM – „Świt żywych
trupów”

88 MUZYKA – Krzysztof
Krawczyk „To, co w życiu
ważne”

90 KSIĄŻKI – Manuela
Gretkowska „Europejka”

92 TEATR – Działacz Terenowy
Grzegorz Jarzyna

94 TELEWIZJA – Powrót
Wojciecha Pijanowskiego

ROZMAITOŚCI

96 KULINARNE PIÓRO POLSKI;
WINNY BIEŃCZYK;
krzyżówka, jolka

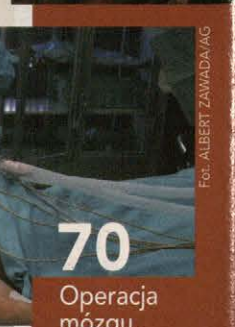
98 ZALEWAJKA KAZIMIERZA
KUTZA

34

Prywatne
usługi
wojskowe

76

„Dziewczyna
z perłą”
Vermeera
ożyła w filmie



70

Operacja
mózgu
turetyka

Inspektor
Gadżet

72



VICHY
LABORATOIRES

Redukcja zmarszczek na czole: 31%

Redukcja zmarszczek wokół oczu: 33%

Redukcja zmarszczek wokół ust: 23%

Skuteczność Adenoxine™
przeciw zmarszczkom
została udowodniona
naukowo.

MYOKINE

Krem korygujący zmarszczki

3 mg Adenoxine™ dziennie,
aby wymazać zmarszczki
już po 21 dniach.

INNOWACJA
PRZECIW
ZMARSZCZKOM



Test kliniczny pod kontrolą dermatologiczną. Rezultaty po 3 miesiącach.

Ilustracja: średni odsetek* redukcji zmarszczek uzyskany w grupie 40 kobiet.

VICHY. ZDROWIE TO PODSTAWA. ZACZNIJ OD SKÓRY.

Wylącznie w aptekach. Cena ok. 98 zł

www.vichy.com

powiększenie

17 PROCENT POLAKÓW GŁĘBOKO WIERZY, ŻE NASI PIŁKARZE DOTRĄ DO FINAŁU EURO 2004. TYLKO 18 PROCENT WIE, ŻE NIE BIERZEMY UDZIAŁU W MISTRZOSTWACH

EUROPA KOPIE

MAX SUSKI

Piłkarskie szaliki,
czapki, narodowe flagi
Portugalii włączyły
do asortymentu nawet
sklepy spożywcze
i babcie handlujące
na ulicy tanimi
biustonoszami. Flagi
powiewają na antenach
taksówek, na rynnach,
latarniach
i na sznurkach
z suszącą się bielizną

Miejsca w hotelach brakuje od miesięcy. Hotelarze, rzecz jasna, korzystają z okazji: podnieśli ceny noclegów o 40 procent

Przy kawiarnianym stoliku na gwarnej Rua des Flores w Porto siedzi dwóch jasnowłosych 40-latków. Rozglądają się po ulicy i wylapują wzrokiem przybyłych do miasta kibiców piłkarskich. – Hej! – krzyczą do grupy, która nie wygląda na Portugalczyków. – Skąd jesteście? Z Danii, ze Szwecji? – Ze Szwajcarii. A wy? – pada odpowiedź i pytanie. – Holandia! – podnosi kufel piwa jeden z jasnowłosych. Wymieniają ze Szwajcarami uściski, pozdrowienia. Ciepło, naturalnie, nie ma mowy o dresiar skim chamstwie. Przed meczem inauguracyjnym grupy kibiców greckich i portugalskich przez godzinę tkwiły tuż obok siebie na rozpalonym placu przed stadionem. Gdy jedni krzyczeli „Helas!”, drudzy odpowiadali „Portugal!”. Po kilku próbach doszli w wymianie wrzasków do takiej wprawy, że trudno było brać ich za kibiców przeciwnych drużyn.

GDZIE JESTEŚ, EUSEBIO?

Zwykli Portugalczycy mimo przegranej w meczu inauguracyjnym z Grekami nie należą do tych, którzy w rozpacz wyrzucają telewizor przez okno. W telewizji łatwo natrafić na propagandowe przerywniki przypominające złote czasy tamtejszego futbolu. Ale legenda Eusebio, którego nogami reprezentacja dokopała się w roku 1966 trzeciego miejsca w świecie, liczy już sobie niemal 40 lat. Choć nie można pominąć ostatniego wyczynu FC Porto – tegorocznego zwycięży Ligi Mistrzów – to siła samych wspomnień była zbyt słaba na zwycięstwo nad Grekami. Gdy portugalska drużyna, przegrywając 0:1, opuszczała w przerwie boisko, podszedłem do grupy wymalowanych kibiców.

Gdy odważyłem się zasugerować, że Grecy byli lepsi, odpowiedzieli ze śmiechem, że nie mówią po angielsku. Tylko 20-letni Andre pociągnął temat: – Myślę, że grali na podobnym poziomie. A ta bramka to prawie samobój. Minę miał jednak nietęgą. Gdy na początku drugiej połowy Grecy strzelili karnego na 2:0, nastroje na trybunach całkiem podupały. Dwa niewielkie sektory zajmowane przez kibiców z Grecji były głośniejsze niż reszta pachnącego nowością, zdolne-

go pomieścić 52 tysiące widzów Estadio Dragao.

OKAZJA CZYNI KUPCA

Przy okazji takiej imprezy wszyscy oczywiście chcą zarobić. Fei, chińska dziennikarka, którą spotkałem w pociągu w Hiszpanii, próbowała zarezerwować hotel w Porto trzy miesiące temu. Bez powodzenia – udało się jej znaleźć nocleg dopiero w mieście Braga, kawał na północ od Porto. W czterogwiazdkowym Vila Gale, gdzie mieszałem, wolnych pokoi brakuje praktycznie od pół roku. Hotelarze, rzecz jasna, korzystają z okazji. Podnieśli ceny – jak sami przyznają – o 40 procent.

Na ulicach kto żyw, sprzedaje flagi, chustki, szaliki, czapki i koszulki w bordo-zielonych barwach.

Na szczęście w najbiedniejszym kraju byłej Piętnastki nie jest drogo – „narodowy” T-shirt można kupić za niecałe cztery euro. Co innego sprzedawane na stadionie oficjalne koszulki ze znacznikiem UEFA – za te trzeba zapłacić sześć razy tyle.

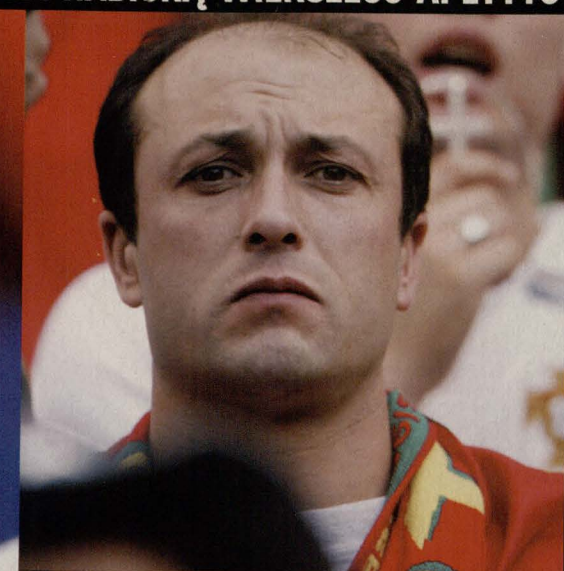
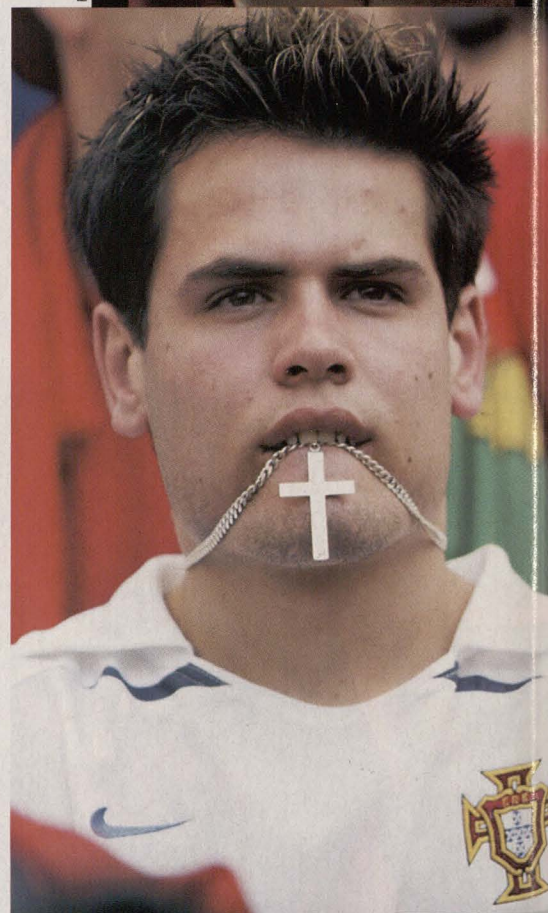
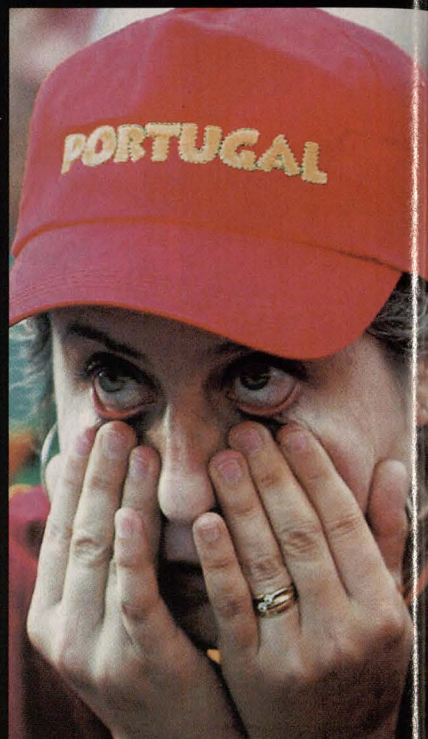
GRANICE WRÓCIŁY

Siły porządkowe poważnie podeszły do kwestii zapewnienia bezpieczeństwa. Zanim dotarłem na koronę stadionu, trzykrotnie sprawdzono mi bilet, musiałem też minąć jakąś dziwną bramkę-wykrywacz-czegoś-tam. Na czas mistrzostw przywrócono w Portugalii kontrole graniczne. Policja nawet na stadionie nie rzuca się specjalnie w oczy, ale nad miastem stale krąży helikopter. Regulamin wyraźnie ostrzegał amatorów używek, że osoby pod wpływem narkotyków nie będą na stadionie tolerowane tak samo jak osoby wyraźnie wstawione – dla tych ostatnich określono nawet maksymalny poziom alkoholu we krwi: 1,2 promila. Nie widziałem jednak, żeby kogoś badano na podobną okoliczność.

Do końca imprezy jeszcze daleko – finał dopiero 4 lipca. Wszyscy dobrze się bawią, a dzieciarnia płci obojga intensywnie kopie piłkę w każdym zaułku starego miasta.

MAX SUSKI, PORTO
O EURO 2004 TAKŻE NA S. 74

Fot. AP, EPA, PAP/Forum (3), SIPA/EAST NEWS, WŁODZIMIERZ SIEMAKOWSKI/PRZEGLĄD SPORTOWY (2)





Rok 1992,
Reagan już
na emeryturze
w czasie wizyty
na Alasce

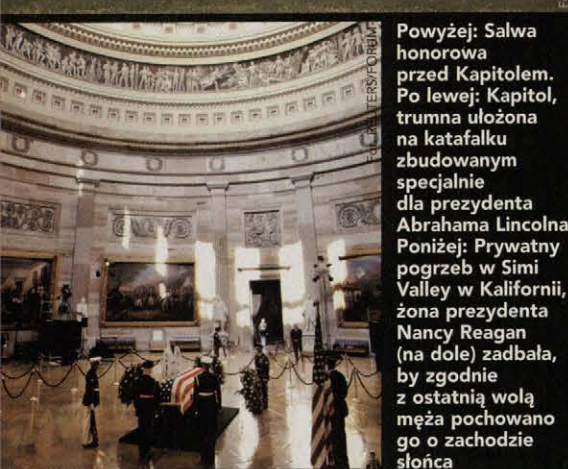
To był najbardziej uroczysty pogrzeb państwowy w USA od 30 lat. Amerykanie przez tydzień żegnali się z Ronaldem Reaganem. Zmarłego prezydenta pochowano zgodnie z planem opracowanym co do minuty wiele lat temu

JAKUB MIELNIK

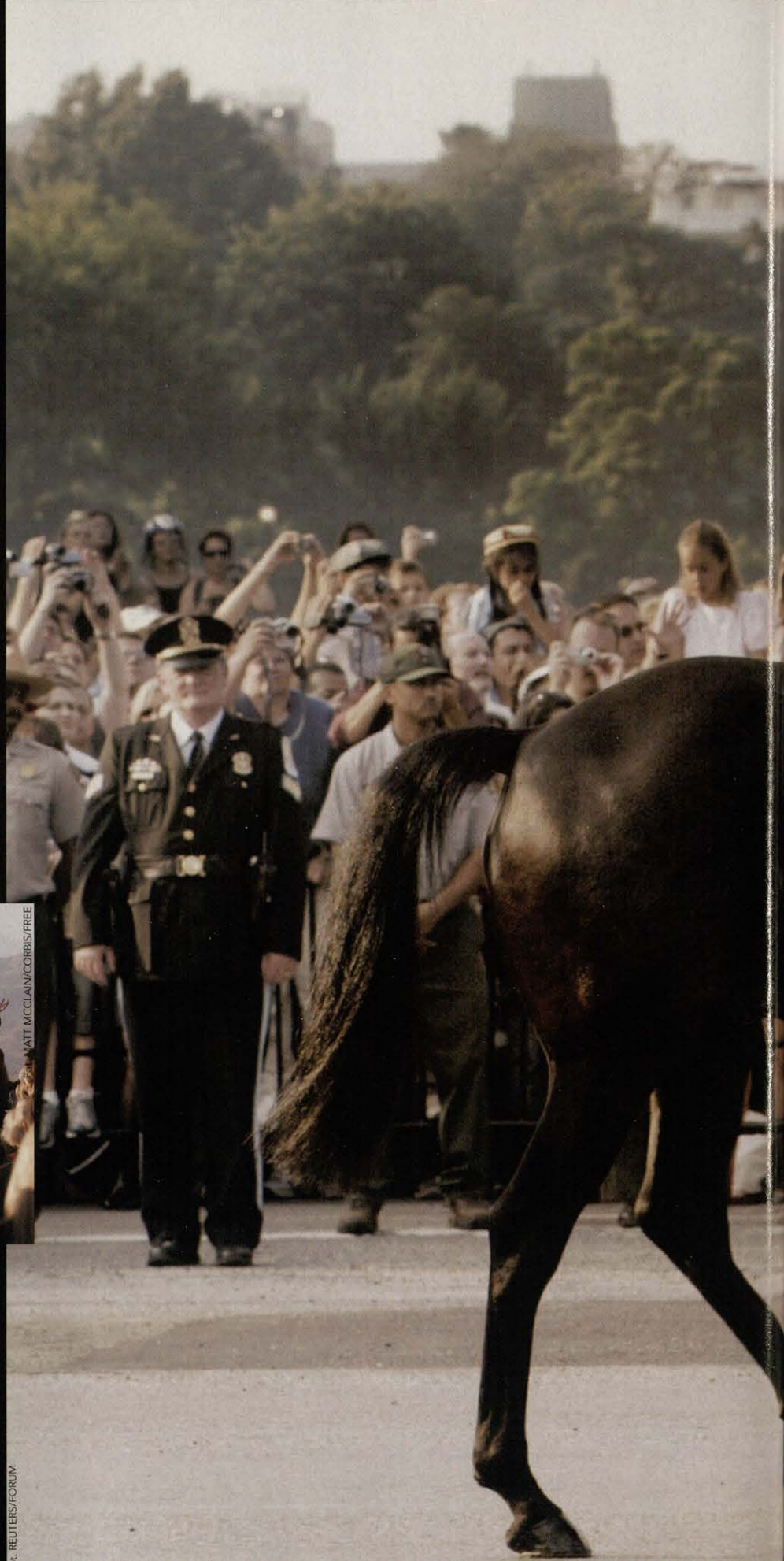
PIERWSZY POGRZEB IMPERIUM



Constitution Avenue, Waszyngton. Trumna z ciałem Reagana na lawecie w otoczeniu eskorty honorowej



Powyżej: Salwa honorowa przed Kapitołem. Po lewej: Kapitol, trumna ułożona na katafalku zbudowanym specjalnie dla prezydenta Abrahama Lincolna. Poniżej: Prywatny pogrzeb w Simi Valley w Kalifornii, żona prezydenta Nancy Reagan (na dole) zadbała, by zgodnie z ostatnią wolą męża pochowano go o zachodzie słońca



Koń bez jeźdźca symbolizował poległego wojownika. W strzemiona włożono mu ulubione buty Reagana do konnej jazdy. Odwrócono je do tyłu na znak, że zmarły rzuca ostatnie spojrzenie swoim wiernym żołnierzom



Posiedzenie Federalnego Centrum Operacji Pogrzebowych po śmierci Ronalda Reagana. Szczegóły pogrzebu opracowano w 1981 roku, gdy Reagan rozpoczął pierwszą kadencję. Później żona i przyjaciele rodziny kilkakrotnie aktualizowali plan uroczystości

le tu kukurydzy! – zawołała Nancy Reagan, gdy prezydencki Air Force One z trumną jej męża na pokładzie przelatywał nad rodzinnymi stronami Ronalda Reagana. Trumna z ciałem aktora, który umarł jako jeden z najbardziej szanowanych amerykańskich prezydentów, dwa razy przemierzyła USA od Kalifornii po Waszyngton. Pamiątkowe „kółko” nad Tampico w stanie Illinois było chyba jedynym epizodem uroczystości pogrzebowych Ronalda Reagana, którego nie zaplanowała wcześniej jego żona.

Pierwsza Dama zawsze uchodziła za szarą eminencję Białego Domu. I to ona jeszcze za prezydentury męża co do minuty rozpisala tygodniowe uroczystości pogrzebowe. W ostatnich latach Nancy Reagan aktualizowała tylko ich scenariusz.

NA KATAFALKU LINCOLNA

Warkot werbli, marszowe orkiestry, wypolerowane cholewy policjantów na motorach, a nawet koń, który szedł za trumną Reagana – wszystko było częścią narodowego widowiska, jakiego Amerykanie nie oglądali od 1973 roku, gdy w stolicy chowano z państwowymi honorami prezydenta Lyndona B. Johnsona.

Niemal każdy element tygodniowych uroczystości pogrzebowych miał swoją symbolikę. Czarny koń, który szedł za trumną, nazywał się Sierżant York na cześć amerykańskiego pacyfisty i bohatera I wojny światowej. Siodło Yorka było puste, a w strzemionach niósł włożone tyłem do przodu buty prezydenta do konnej jazdy. Koń bez jeźdźcy miał symbolizować zmarłego żołnierza, a odwrócone buty – ostatnie spojrzenie wojownika na wierne oddziały.

Z kolei pod kopułą Kapitolu na Reagan czekał katafalk, na którym kiedyś spoczywała trumna ze zwłokami samego Abrahama Lincoln. Salwę honorową na cześć pogromcy komunizmu oddała bateria haubic z czasów II wojny światowej, a nad miastem przelecia-

ła eskadra myśliwców F-15 w szyku upamiętniającym poległego lotnika.

Wszystkie uroczystości odbywały się na oczach tysięcy osób. Zanim do stojącej na katafalku Lincoln trumny dopuszczono

zwykłych Amerykanów, zgromadzeni na Kapitolu dygnitarze najedli się strachu.

ZADYSZKA STAREJ GWARDII

– To nie są ćwiczenia! Zagrożenie z powietrza, cztery minuty na opuszczenie budynku! – wrzasnął policjant z ochrony Kapitolu do weteranów dwóch prezydenckich kadencji Ronalda Reagana, którzy czekali spokojnie na przybycie konduktu. Był tam między innymi dawny sekretarz stanu Alexander Haig. Były prokurator generalny Edwin Meese syczył koktajl z eksviceprezydentem Danem Quayle'em i magnatem medialnym Rupertem Murdochem. Policjanci zaalarmowani o zbliżającym się niezidentyfikowanym samolocie nie mieli litości dla ich zasług, wieku i uroczystych strojów.

– Zaczęliśmy wychodzić, ale kazano nam zdjąć buty na obcasach i biec – mówiła pani senator Murkowski o drodze po 116 schodach prowadzących na Kapitol. W Waszyngtonie pannał niemiłosierny upał, więc dystygowane towarzystwo dotarło na dół zdyszane i spoczone. – Miło było patrzeć, kto jeszcze potrafi biegać, a kto już nie – skwitował ewakuację Kapitolu William Webster, emerytowany szef FBI.

Zamieszanie wywołał samolot gubernatora stanu Kentucky, który śpieszył na pogrzeb. Na pokładzie nastąpiła awaria systemu identyfikacji i kontrola lotów nie wiedziała, jaki samolot wszedł w pilnie strzeżoną przestrzeń powietrzną nad Waszyngtonem. Sędziowie amerykańskiego sądu najwyższego w piwnicy czekali na ustalenie, czy samolot gubernatora nie jest opanowany przez zamachowców-samobójców zamierzających zakłócić przebieg uroczystości.

Na czas pogrzebu reaktywowano dawny sztab Reagana. Jak za czasów dwóch kampanii prezydenckich republikańscy weterani za-

instalowali się w hotelu Mayflower. Ich głównym zadaniem była organizacja uroczystości i dystrybucja zaproszeń. Hotelowy bar zaroził się od ludzi, których nazwiska dawno zatarły się w pamięci, takich jak Jerry Parr, ochroniarz, który był z prezydentem w chwili zamachu. Jak za dawnych lat dzwoniący do Mayflower mogli usłyszeć w słuchawce: – Tu biuro Ronalda Reagana.

KANONIZACJA PREZYDENTA

Finał trwających tydzień uroczystości nastąpił w piątek o zachodzie słońca. W USA był to dzień żałoby. Zamknięto urzędy państwowe i giełdę na Wall Street. „Zachodzące kalifornijskie słońce miało miękkie, czerwony kolor, wiała lekka bryza. Gdy ostatnie promienie odbiły się od błyszczącego Pacyfiku, Nancy przytuliła flagę, którą owinięto trumnę Ronalda Reagana” – tak zaczął relację tygodnik „Time”. Już wcześniej, zgodnie z planem, koło grobu wmurowano kawał pokrytego graffiti berlińskiego muru, do którego obalenia Reagan walczył się przyczynił.

Głosy krytyków jego prezydentury utonęły w atmosferze patriotycznego uniesienia. Ceniony zwłaszcza w naszej części Europy Reagan nie był najbardziej lubianym prezydentem USA. W czasach urzędowania cieszył się mniejszym poparciem niż Lyndon Johnson, John F. Kennedy, Dwight Eisenhower, a także Bill Clinton. Według sondażu przeprowadzonego przez amerykańską telewizję C-SPAN w 1999 roku Reagan został wśród prezydentów USA sklasyfikowany dopiero na szóstym miejscu. Amerykanie pamiętają jego niechęć do zaakceptowania problemu AIDS i aferę Iran-Contras. To za prezydentury Reagana CIA namówiła Saddama Husajna do wojny z Iranem, a potem potajemnie dostarczała ajatollahom broń, która oficjalnie miała służyć do zwalczania komunistów w Nikaragui.

– Reagan był wielkim przywódcą, ale często prowadził kraj w niewłaściwym kierunku – uważa David Herbert Donald, historyk z Harvardu. – Jego teorie gospodarcze miały zrównoważyć budżet, ale doprowadziły do deficytu, który opanował dopiero Clinton – wtórował mu Sean Wilentz z Princeton.

Mimo to zwolennicy Reagana zabiegają o wykucie jego podobizny na Mount Rushmore, obok płaskorzeźb takich prezydentów jak Waszyngton czy Lincoln. Jeszcze przed pogrzebem Republikanie w Senacie podzielili się na zwolenników nadania jego imienia Pentagonowi i tych, którzy woleliby widzieć jego podobiznę na którymś z banknotów. Znanego z poczucia humoru Reagana te spory już nie dotyczą. – Ciekaw jestem, jak wyglądałoby dziś 10 przykazań, gdyby spróbować je przechnąć przez Kongres Stanów Zjednoczonych – mawiał za życia.

JAKUB MIELNIK

SONY

To nie tylko telewizor. To nowy punkt widzenia.

To kino, to album fotograficzny, to baza danych, a wszystko na szerokim ekranie, wszystko niesłychanie wyraźnie. To nie tylko telewizor. To **WEGA Engine**.

To potęga systemu **inteligentnego wzmocnienia obrazu**, więcej głębi i jeszcze lepszy kontrast. To nie tylko telewizor. To technologia **Digital Reality Creation**

– wysoka rozdzielczość i wyjątkowa ostrość. To nie tylko telewizor.

To zapewne najbardziej rzeczywisty obraz, jaki możesz mieć.



WEGA ENGINE

„Sony” i „WEGA Engine” są zastrzeżonymi znakami handlowymi Sony Corporation, Japonia.

www.sony.com.pl

Dzięki Tobie będzie to Sony

GALOP KUTZA

KAZIMIERZ KUTZ PRZEGRĄŁ PROCES Z ROBERTEM KWIATKOWSKIM

Sąd uznał, że wicemarszałek Senatu zagalopował się na łamach „Przekroju”. – Kazimierz Kutz przekroczył granice dopuszczalnej krytyki, a jego określenia wobec Roberta Kwiatkowskiego były i nieprawdziwe, i obraźliwe – uzasadniła wyrok sędzia Małgorzata Kuracka z Sądu Okręgowego w Warszawie. Kazimierz Kutz mówi, że wraz z tym wyrokiem stał się męczennikiem agonii komuny. – Byłem tak długo moralizowany przez sąd, jakbym zgwałcił przeoryszkę. Przypomnijmy, że Kutz na łamach naszego tygodnika nazwał Kwiatkowskiego „współczesnym politykiem” i „młodym komisarzem



Fot. PIOTR BERNAS/AG

Kazimierz Kutz ma przeprosić byłego prezesa TVP

partyjnym, który chce zrobić karierę”. Zarzucił prezesowi TVP, że skomercjalizował telewizję, zapominając o jej misji kulturalno-edukacyjnej. Reżyser przegrał sprawę, bo – zdaniem sądu – nie wykazał prawdziwości swoich słów ani też nie dowiódł, że działał w interesie społecznym, a zarzuty pod adresem prezesa TVP były mało rzeczowe i niepoparte dowodami. Sąd I instancji nakazał Kutzowi przeprosić byłego prezesa TVP na łamach „Przekroju”. Wyrok nie jest prawomocny. Reżyser złożył już apelację. Po ogłoszeniu wyroku Kwiatkowski nie krył satysfakcji: – Może teraz inni się opamiętają i skończy się ten festiwal nienawiści. Nie wykluczył, że będzie pozywał inne osoby, które się o nim źle wyrażały. (JOGA)

Z DATKÓW WIERNYCH



Gospodarze licheńskiego sanktuarium przyjmą z miłością każdego

MA 98 METRÓW WYSOKOŚCI, 77 METRÓW SZEROKOŚCI I 138 METRÓW DŁUGOŚCI. SANKTUARIUM LICHEŃSKIE JEST NAJWIĘKSZĄ ŚWIĄTYNIĄ W POLSCE, SIÓDMĄ CO DO WIELKOŚCI W EUROPIE, A JEDENASTĄ W ŚWIECIE

W Licheniu koło Konina odbyły się uroczystości poświęcenia świątyni Matki Bożej Licheńskiej. Wzięli w nich udział parlamentarzyści, przedstawiciele rządu oraz biskupi z Białorusi i Ukrainy.

Ostateczny koszt tego gigantycznego przedsięwzięcia owiany jest tajemnicą. Wiadomo jedynie, że główny wykonawca – firma Budimex – swoją pracę wycenił na sto milionów złotych, a jak dowiedziała się „Gazeta Wyborcza”, same okna kosztowały trzy miliony dolarów, producent zaś wykonywał je przez pół roku.

Na powstaniu bazyliki skorzystał Lichen, jeszcze kilka lat temu nieznana nikomu wioska, obecnie zaś świetnie prosperująca ośrodek z licznymi stoiskami otwarty

mi do późnej nocy, rozbudowaną infrastrukturą mającą ułatwić przemieszczanie się pielgrzymów oraz licznymi kwaterami.

Prymas Polski kardynał Józef Glemp podkreślił podczas uroczystości, że księża marianie, gospodarze licheńskiego sanktuarium, przyjmują z miłością każdego. – Turystom wskazują skarby duchowe, zagubionym wskazują właściwy drogowskaz i okazują moralną pomoc. Chcemy w to wszystko włączyć się my: wierzący w Chrystusa i ufający Maryi – zapewniał kardynał Glemp.

Ksiądz Eugeniusz Makulski, kustosz sanktuarium, który zajmował się gromadzeniem środków na dokończenie budowli, utrzymuje, iż pochodzą one jedynie z ofiar wiernych i pielgrzymów. (ŁS)

POWĄZKI ZAMIAST WOLNOŚCI

PROCHY RYSZARDA KUKLIŃSKIEGO SPOCZNĄ W SOBOTĘ NA WARSZAWSKICH POWĄZKACH

Dla jednych pozostanie bohaterem narodowym, dla innych zdrajcą. Po śmierci pułkownika Ryszarda Kuklińskiego toczy się spór, gdzie powinny spocząć jego prochy.

Maria Nurowska, autorka książki o Kuklińskim, powiedziała „Życiu Warszawy”, że życzył sobie, by jego prochy rozsypać nad Bałtykiem, bo nie chce leżeć obok komunistów. – Był zapalonym żeglarzem. Gdy wypływał na morze, miał poczucie wolności – mówiła Nurowska. Wspominała, że kiedy mu zasugerowała, że pewnie zostanie pochowany na woj-

skowych Powązkach, obruszył się: – Oszalałaś! Chcesz mnie położyć obok Bieruta!

Kukliński zmarł 11 lutego w Tampie na Florydzie. Miał 74 lata. Dwa miesiące temu na życzenie żony urna z jego prochami przykryta białą-czerwoną flagą z godłem narodowym została wystawiona w kaplicy bocznej katedry polowej Wojska Polskiego w Warszawie. W sobotę prochy w asyście Kompanii Reprezentacyjnej Orkiestry Wojsk Lądowych spoczną w pierwszej kwaterze w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach. Pogrzeb z wojskowymi honorami odprawi biskup Sławoj Leszek Głódź.

JOANNA GORZELIŃSKA

MSZA ŻAŁOBNA ROZPOCZNIE SIĘ W SOBOTĘ 19 CZERWCA O GODZINIE 13 W KATEDRZE POŁEWEJ WOJSKA POLSKIEGO, A CEREMONIA POGRZEBOWA O 15 W ALEI ZASŁUŻONYCH NA CMENTARZU WOJSKOWYM NA WARSZAWSKICH POWĄZKACH



Urny z prochami pułkownika i jego syna

Fot. MACIEJ MACIEJCZYŃSKI/REPORTER

Zielone oczy, zielona noc,
zielona trawa...
już samo słowo brzmi orzeźwiająco.

Co by nie mówić,
LECH jest zielony.

Ten sam smak. W nowej butelce.



„SHREK ma mówić ze szkockim akcentem (a nie – jak dotąd – z kanadyjskim), bo wywodzi się z klasy robotniczej”

– uznał komik Mike Myers używający głosu zielonemu ogrowi. Przeróbki kosztowały 900 tysięcy dolarów



Parada Równości zamieniła się w Wiec Wolności (od prezydenta Kaczyńskiego)

Fot. MARTA DYLEWSKA/REPORTER

SMUTNY DZIEŃ DEMOKRACJI

PRZY ROSNĄCEJ AGRESJI Z OBU STRON RACZEJ NIE DA SIĘ PROWADZIĆ RZECZOWEJ DYSKUSJI O TOLERANCJI W POLSCE

Decyzją prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego nie odbyła się zaplanowana Parada Równości, podczas której ulicami miasta przejść miało kilka tysięcy gejów i lesbijek. Organizatorzy, chcąc ominąć zakaz, zastosowali fortel i w piątek tuż po 13 rozpoczął się Wiec Wolności zorganizowany przez „środowiska humanistyczne” na placu Bankowym. Nietety, mimo wesołej muzyki, happeningów i tańców ponad tysiąc uczestników bawiło się w atmosferze wrogości licznych gapiów.

Ktoś rzucił tortem w Szymona Niemca z Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbi-

jek na rzecz Kultury, ktoś rzucił się z pięściami w tłum. Słyszał było wyzwiska i personalne wycieczki. To wszystko odbywało się w asyście wszechobecnej policji.

Czy tego rodzaju agresywna uliczna debata ma sens? Trudno oczekiwać od fanatyków ze skrajnej prawicy rzeczowej dyskusji na temat tolerancji w Polsce, ale to nie oni powinni być stroną w tej dyskusji, tylko ci nieprzekonani, dla których homoseksualizm jest wciąż niezrozumiałym zjawiskiem. O nich warto powalczyć. Tych pierwszych przecież już nic nie przekona.

ŁUKASZ SOKOŁOWSKI

SYNDYK W PORNOBIZNESIE?

SEKSUALNA REKORDZISTKA ŚWIATA MARIANNA ROKITA CHCE PUŚCIĆ Z TORBAMI PINK PRESS, POLSKIEGO POTENTATA PORNOGRAFICZNEGO

O 22-letniej Mariannie świat usłyszał 14 listopada 2003 r., gdy wystartowała w II Seksualnych Mistrzostwach Świata organizowanych przez Pink Press. Mając do pokonania dwie utytułowane zawodniczki, zwyciężyła bezapelacyjnie z wynikiem 759 męskich orgazmów (95 orgazmów na godzinę). Teraz firma rekordzistki Rokita and Partners złożyła w Sądzie Gospodarczym w Warszawie wniosek o ogłoszenie upadłości koncernu Pink Press. – Oni dwa lata nie płacą składek ZUS za swoich pracowników, a mnie nie wypłacili od stycznia – skarży się rekordzistka. Marianna Rokita chce przejąć logo Pink Pressu, licencje,

kontrakty zagraniczne oraz archiwum zdjęć pornograficznych.

Wniosek o upadłość wydawnictwa faktycznie wpłynął do warszawskiego sądu, ale został zwrócony do uzupełnienia. To znaczy, że procedura ogłaszania upadłości nie rozpocznie się, dopóki firma Rokita and Partners nie wpłaci 200 złotych. – To są tak drobne pieniądze, że nie warto nawet o tym mówić – mówi Marianna Rokita.

– To próba zrobienia sobie promocji naszym kosztem – mówi Krzysztof Garwatowski, rzecznik Pink Pressu, i dodaje, że to Rokita jest im winna pieniądze, bo chociaż dzięki jego firmie pobiła rekord świata, wykręciła się od podpisania z nią kontraktu.



Fot. KUBA DĄBROWSKI

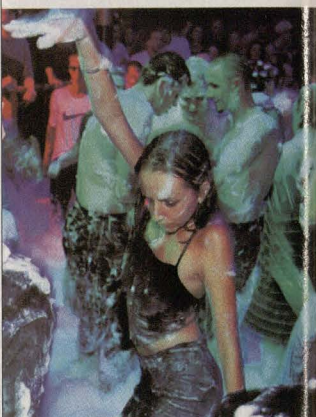
Pink Press działa na polskim rynku pornograficznym od początku lat 90., dzisiaj jest potentatem. Wydaje 30 tytułów prasowych i kręci kilkanaście filmów rocznie. Sprzedaje akcesoria erotyczne w sieci sex shopów i przez Internet. Jest też organizatorem Eroticonu – największych erotycznych targów w Polsce. Firma właśnie ruszyła na podbój zachodniej Europy – w Hiszpanii i we Włoszech sprzedaje pierwsze polskie magazyny pornograficzne.

(S.M.)

(MAGO)

SZOFR CZEKA NA PIJAKA

Pod hasłem „Wróć bezpiecznie do domu” ruszy w lipcu program edukacyjny „Dyskoteka”, pierwszy tego typu w Polsce. Osobom między 16. a 25. rokiem życia ma uświadomić konsekwencje prowadzenia samochodu po spożyciu alkoholu. Program „Dyskoteka” to reakcja na zastraszające statystyki pokazujące udział



młodych kierowców w wypadkach drogowych. Najczęściej dochodzi do nich po imprezach, przeważnie podczas weekendów – stąd nazwa „wypadki dyskotekowe”. Do akcji przystąpiła Komenda Główna Policji oraz salony Renault. Jej założeniem jest nie tylko działalność informacyjna (w dyskotekach będą rozdawane ostrzegawcze ulotki), lecz także praktyczna. Specjalni kierowcy salonów Renault w wybranych dyskotekach w największych miastach Polski mają pełnić funkcję szoferów – będą odwozić do domów zmotoryzowanych imprezowiczów, którym nie udało się zachować trzeźwości. „Dyskoteka” jest częścią większej akcji „Kierowca na szóstkę” i potrwa do końca września.

MAMIE I TACIE MÓWI PRAWIE WSZYSTKO.

RESZTĘ OPOWIADA
PRZYJACIÓŁKOM,
A ONE SĄ TAKIE CIEKAWSKIE.
NA SZCZĘŚCIE ZA ROZMOWY
Z 5 BLISKIMI OSOBAMI
PŁACI TYLKO **39 GROSZY**
ZA MINUTĘ (48 GR Z VAT),
A GDY WOLI NAPISAĆ
– **16 GROSZY** ZA SMS-A
(20 GR Z VAT). DZIĘKI
USŁUDZE „ZAWSZE RAZEM”
ROZWIĄDUJE JEJ SIĘ JĘZYK.
TY TEŻ TAK MOŻESZ!

AKTYWUJ USŁUGĘ
POD BEZPŁATNYM NR 9797.



tak tak

MOŻESZ WIĘCEJ

• Finał konkursu **MISTRZ MOWY POLSKIEJ** odbędzie się 21 czerwca w warszawskim Teatrze Polskim.

Wśród nominowanych są Jan Nowak-Jeziorański, Maciej Orłoś, Jan Rokita i Józef Oleksy

SADDAM BEZ SĄDU

Przetrzywanie Saddama po przekazaniu władzy w ręce rządu irackiego naruszałoby prawo międzynarodowe. – Saddam jest jeńcem wojennym, a zgodnie z konwencjami genewskimi po zakończeniu okupacji tacy więźniowie muszą być zwolnieni, jeśli nie postawiono im aktu oskarżenia – ogłosił Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Tymczasem w Iraku ciągle trudno znaleźć śmiatki, którzy chcieliby być prokuratorami i sędziami w procesie. Salem Chalabi, przewodniczący trybunału, który ma sądzić Saddama, jest jedynym, którego nazwisko ujawniono. Inni ze strachu przed zemstą lojalistów Saddama pozostają anonimowi. Zapewnienie im bezpieczeństwa pochłania połowę budżetu sądu, ponad 37 milionów dolarów.



Proces Saddama zacznie się zapewne dopiero za rok

Z obawy o życie pracy w trybunale odmówiło wielu kandydatów na sędziów. Ciągłe brakuje też głównego prokuratora, który przygotowałby przekonujący akt oskarżenia. Mimo zatrzymania 40 z 55 najbardziej poszukiwanych dygnitarzy reżimu irackiego nie udało się wśród nich znaleźć ani jednego, który poszedłby na współpracę z oskarżycielami. Bez tych zeznań szanse na skazanie Saddama są małe, bo brak dokumentów, które potwierdzałyby, że zlecał zbrodnie, o które jest oskarżany.

JAKUB MIELNIK



Zamachowcy-samobójcy gotowi na kolejne akcje. Ich liderzy obradowali w gościnnym Teheranie

WYLĘGARNIA TERRORU

W IRANIE NA LISTĘ ZAMACHOWCÓW-SAMOBÓJCÓW WPISAŁO SIĘ JUŻ 15 TYSIĘCY CHĘTNYCH

Wszyscy deklarują, że są gotowi zginąć za islam, atakując Amerykanów i Izraelczyków oraz obrazoburczego w ich opinii pisarza Salmana Rushdiego. Organizację stworzyła 47-letnia Forooz Rejaefar. Na komputerową listę Forooz zapisują się całe irańskie rodziny, od siedmioletnich dzieci do 80-letnich starców. Według Forooz Irańczycy są oburzeni okupacją Iraku i atakami Amerykanów na święte miejsca szyickie.

Władze w Teheranie oficjalnie nie popierają terrorystycznego biura Forooz, ale tolerują jego działalność. – Na razie nie planujemy żadnych misji bojowych – twierdzi Forooz. Do tego potrzebne są bomby,

bombowych w Izraelu.

Organizator „okrągłego stołu” terroru, założyciel Hezbollahu Ali Akbar Mohtasemi, przekonywał, że samobójcze zamachy bombowe przyniosły Palestyńczykom więcej niż wszystkie wojny państw arabskich i rozmowy pokojowe z Izraelem. Uczestnicy obrad ustalili, że trzeba koniecznie kontynuować tę formę walki z „izraelskim nowotworem w sercu świata islamskiego”. W liście do konferencji ekstremistów duchowy przywódca Iranu ajatollah Ali Chamenei podkreślił, że zgromadzenie na ziemi irańskiej ma charakter symboliczny.

MAREK RYBARCZYK

OKSFORD DAJE CZADU

po sesji ulice Oksfordu zmieniały się w strefę konfliktu. W czerwcu na angielskich studentów nie działają żadne kary. – Wojny za pomocą mąki, jaj i świńskich wnętrzności, biegi nago, zabawa w wojnę z automatami na wodę oraz świecące w nocy graffiti – tak odreagowują po ostatnich egzaminach studenci college’ów słynnego



uniwersytetu. Miał temu zaradzić wydany przez władze uczelni kodeks surowych kar obowiązujących sześć kilometrów od centrum Oksfordu. Zakazano nawet strzelania z butelek szampana. Za brudzenie ulic i domów pracownicy uniwersytetu wymierzali „mandaty” w wysokości od 30 do 500 funtów. Szaleństwa przeniosły się wówczas w zaułki i boczne uliczki. Za najbardziej „czadowych” uchodzą studenci prawa i geografii. W ubiegłym roku sprzątanie po czerwcowych szaleństwach kosztowało uniwersytet w Oksfordzie ponad 20 tysięcy funtów.

(RYB)

pieniądze, no i przyzwolenie najwyższego przywódcy religijnego Iranu, ajatollaha Alego Chamenei.

Na razie do ataków na amerykańskie i brytyjskie obiekty wzywał Irańczyków po piątkowych modłach konserwatywny ajatollah Ahmad Dżannati. Teheran nie obawia się udzielać poparcia terrorowi nawet oficjalnie. 2 i 3 czerwca obradowała w Teheranie konferencja określona jako konwencja terrorystów-samobójców. Zjechali na nią przywódcy Islamskiego Dżihadu, Hamasu, Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i libańskiego Hezbollahu – organizacji odpowiedzialnych za dziesiątki zamachów



Samsung 32" LCD TV
LW32A33W

Inspiracja płynie z wnętrza.

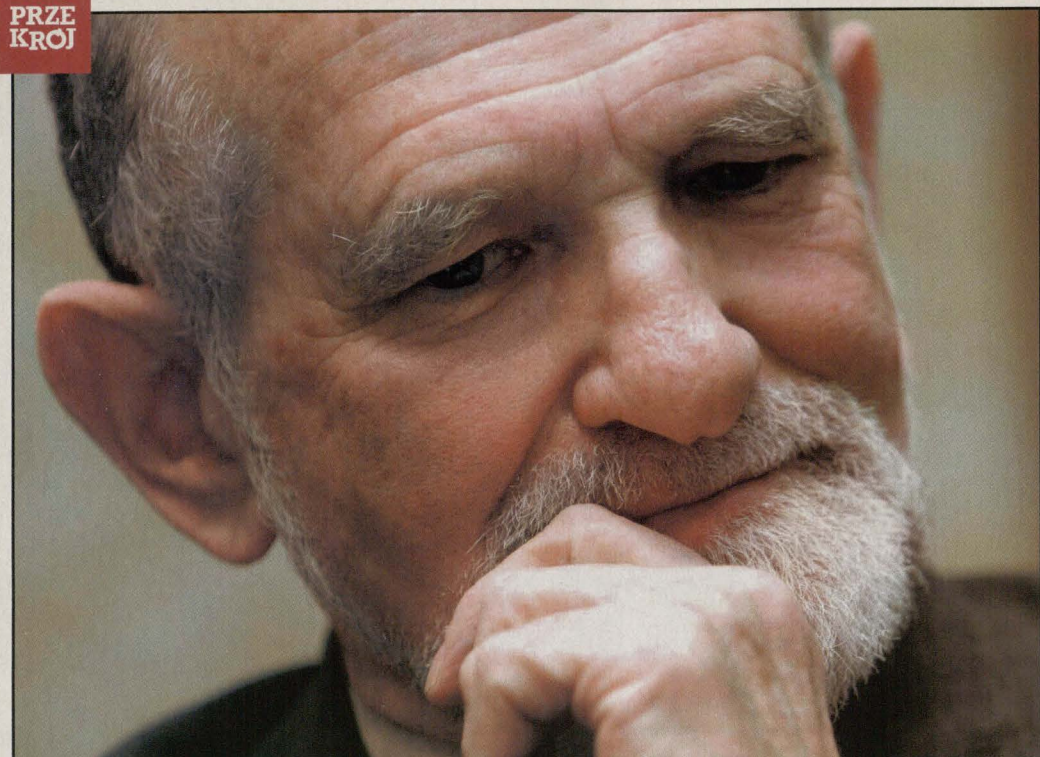
DigitAll Cyfrowa dusza. Nowe telewizory LCD Samsung. Inspirują i zachwycają. Łączą w sobie niepowtarzalny styl i doskonałość technologii. System wspomaganie obrazu DNie™, wysoka rozdzielczość obrazu, olśniewające kolory i krystalicznie czysty dźwięk zapewniają wrażenia, jakich jeszcze nie znałeś. Samsung. Siła płynie z wnętrza. www.samsung.pl

SAMSUNG

Obraz na ekranie jest symulowany. ©2004 Samsung Electronics Co. Ltd.

WOLFGANG PETERSEN, TWÓRCA „TROJ”, wyreżyseruje remake filmu „Bullitt” z 1968 roku.

Wtedy w rolę policjanta Franka Bullitta wcielił się Steve McQueen. Teraz być może zagra go Brad Pitt



Fot. BARTOSZ BOBKOWSKI/AG. PIOTR MAŁECKI/NEWSWEEK/FORUM

PROFESOR BRONISŁAW GEREMEK, UNIA WOLNOŚCI

GEREMEK CAŁEJ EUROPY

BRONISŁAW GEREMEK: Witam. A widzi pani! Alleluja! Unia Wolności jest do przodu.

KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA: Dzień dobry, panie profesorze. A wyglądało na to, że Unii już nie ma.

– (śmiech) Bo za szybko nas pogrzebaliście. I politycy, i dziennikarze.

O, przepraszam. Mam wrażenie, że sami przyłożyliście do tego rękę.

– Nie zaprzeczam, mamy na koncie sporo błędów. Utraciliśmy środowiska inteligentne, przynajmniej – na własne życzenie. Niepotrzebnie wyskoczyliśmy z hasłem wyborczym „Po pierwsze gospodarka”. Sam biję się w piersi, bo to ja kierowałem wtedy Unią. Czegoś w tych naszych działaniach brakowało.

Człowieka?

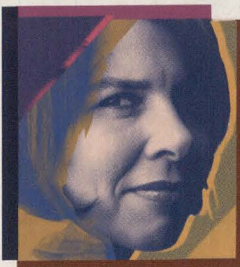
– Tak. To najkrótsza odpowiedź. Ale przecież gospodarka też jest dla człowieka. Tylko że my nie potrafiliśmy tego dobrze tłumaczyć. Zabrakło bezpośredniego kontaktu z ludźmi, zapomnieliśmy, jak ważny jest zwykły uścisk dłoni.

Teraz będzie wam jeszcze trudniej ścisnąć ręce. Przecież Unia Wolności to partia na uchodźstwie.

– (śmiech) A to pani wymyśliła!

To fakt. Nie ma was w parlamencie, nic nie znaczący w polityce krajowej.

CO ZDZIAŁA UNIA WOLNOŚCI NA UCHODŹSTWIE? – PYTA



KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA

– Znowu nas pani chce pogrzebać? Wybory za pasem, wszystko jedno, czy będą w sierpniu, czy jesienią, czy jeszcze później.

Skąd wiadomo, że wróciliście na dobre?

– Unia Wolności w końcu zrozumiała, że trzeba postawić na młode pokolenie. Ci młodzi, których Unia wystawiła w wyborach europejskich, już niedługo zasiądą w ławach poselskich. To oni będą się liczyć w polskiej polityce.

Ale do Parlamentu Europejskiego weszła „stara Unia”. Głosowano na was, bo wystawiliście na pierwszych miejscach same znane twarze.

– Bo to były inne wybory, a walka szła o 54 mandaty. Ale ci młodzi nie byli jedynie dekoracją. „Stara Unia” – mówi pani. No to stara Unia odchodzi i robi miejsce dla młodych. To jest rzeczywista zmiana pokoleniowa. Zobacz pani, jacy fantastyczni są ci młodzi. Nieobciążeni politycznymi schorzeniami ostatnich lat, niewiśnięci w afery. Oni naprawdę wierzą, że państwo jest dobrem wspólnym, o które trzeba dbać, trzeba się troszczyć. Utrata poczucia interesu wspólnego jest moim największym rozczarowaniem 15 lat transformacji. Ale ci młodzi przywrócą wiarę w uczciwą politykę.

Tyle tylko, że to dość odległa i niepewna przyszłość. A teraz Unia Wolno-

ści ma swoje pięć minut, a już niedługo zginie w tej Europie.

– Bez obaw, nie zginiemy. Znaczna część spraw polskich będzie się rozstrzygała w instytucjach Wspólnoty Europejskiej. Spraw, które dotyczą każdego z nas. Wolałaby pani, aby nasz głos w Europie był tylko głosem pasiastych krawatów? Wolałaby pani, żebyśmy zostali skazani na poczucie wstydu, oglądając telewizję? Jak wiadać, część wyborców tego nie chce, bo wie, jak bardzo dobra reprezentacja europejska, taka polska wizytówka, jest ważna dla tego, co się dzieje w kraju. A Bruksela i Strasburg nie są wcale tak odległe, jak nam się mogło do niedawna wydawać.

Czyli nie stanie pan na czele nowego Hotelu Lambert?

– (śmiech) To nie jest Wielka Emigracja ani Hotel Lambert, który zresztą w XIX wieku był wspaniałym ośrodkiem myśli niepodległościowej państwa, które chciano wymazać z mapy Europy. Teraz sytuacja jest zupełnie inna. Mamy jedną ojczyznę Europę obok ojczysty Polski.

Czy to nie patos?

– Nie. To głos jednego z hierarchów Kościoła. To żaden patos i nawet nie retoryka. To jest bardzo realne i racjonalne określenie sytuacji, w jakiej znalazła się Polska.

Unia Wolności odzyskała przynajmniej część poparcia, nie żał panu teraz wyjeżdżać?

– Co nieco zrobiłem, żeby Unia to poparcie odzyskała. Mam, przyznam trochę nieskromnie, poczucie spełnionego obowiązku i mam także oczekiwanie, że sposób mojego istnienia w Parlamencie Europejskim będzie służył krajowi. Przecież ja nie uciekam. Nie emigruję. Będę ciągle w drodze. Między Warszawą, Brukselą a Strasburgiem. To jest status wędrowca, a nie emigranta. Nigdy nie chciałem opuścić Polski. Nawet wtedy, gdy mogłem wybrać spokojną przyszłość w jednym z uniwersyteckich miast.

Pan zna Europę jak mało kto. Z panem będą jeździć ludzie, którzy znajdą się po raz pierwszy na salonach wielkiej europejskiej polityki. Widzi się pan w roli ich mentora?

– O! Co to, to nie. Bycie mentorem nigdy mi nie wychodziło na dobre. Ale jeśli ktoś poprosi mnie o pomoc, to zawsze może na mnie liczyć. Nie mam w tej sprawie żadnych uprzedzeń.

Będzie pan tłumaczem i przewodnikiem?

– Jeśli tylko będą tego chcieli.

Jak pan widzi swoją rolę w PE?

– Trudno mi powiedzieć, jaką funkcję będę sprawował. Oczywiście mam jakiś kapitał zaufania ze strony środowisk europejskich.

Kto pierwszy dzwonił z gratulacjami?

– ...

Niech pan powie!

– Powiem, ale off the record.

O nie! Kto dzwonił, panie profesorze?

– Romano Prodi [szef Komisji Europejskiej – przyp. red.].

Tylko z gratulacjami?

– Nie.

Czy to jest rozmowa z przyszłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego?

– Nie wybiegamy za daleko w przyszłość. Na razie rozmawiamy o powołaniu nowego ugrupowania w PE, Europejskiej Partii Demokratycznej. To inicjatywa chadecka, ale w skład tej partii weszliby być może również liberałowie. Chcielibyśmy, aby była to partia nowoczesna, wrażliwa na sprawy społeczne, sprzeciwiająca się wszelkim nacjonalizmom i totalitaryzmom, a pracująca nad integracją całego kontynentu.

Pan stanąłby na jej czele?

– Nie znoszę partyjnych funkcji. Już raz byłem przewodniczącym partii.

Coś mi się wydaje, że będzie pan po raz drugi.

– Na razie trwają rozmowy. Ale rzeczywiście. Tworzyliby ją między innymi Romano Prodi i ja.

I to wam należałoby się stanowisko szefa PE?

– (gromki śmiech)

Czyli to jednak jest rozmowa z przyszłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA, TVN24

WYNIKI WYBORÓW DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

PO – 15 mandatów

LPR – 10 mandatów

PiS – 7 mandatów

Samobrona – 6 mandatów

SLD-UP – 5 mandatów

UW – 4 mandaty

PSL – 4 mandaty

SDPL – 3 mandaty

Frekwencja: 21 procent

ODESZLI



ANNA ŚWIERCZYŃSKA

Anna Świerczyńska, 46, grafik. Skończyła w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych grafikę pod kierunkiem Janusza Stannego oraz podyplomowe studium scenografii. Pracowała w „Gazecie Wyborczej” od jej powstania w 1989 roku. Należała do grupy grafików tworzących w 1993 roku kształt cotygodniowego „Magazynu” (późniejszy „Duży Format”). Od kilku lat pasjonowała się pilotowaniem awionetek. Po kursie pilotażu na warszawskim lotnisku Bemowo miała już za sobą samodzielne przeloty z Warszawy do Krakowa i na Mazury. Lubiła latać w ekstremalnych warunkach – w nocy lub na samych przyrządach (przy zasłoniętych szybach samolotu). – Samoloty całkowicie ją pochłonięły. To była druga jej miłość zaraz po Miśku, 12-letnim synu – wspomina Jerzy Gumowski, kolega z „Gazety”, fotoreporter i paralotniarz.



RAY CHARLES

Ray Charles, 73, amerykański piosenkarz, pianista, kompozytor, uważany za ojca muzyki soul oraz rhythm and bluesa. Gdy miał sześć lat, stracił wzrok. Wkrótce też został sierotą. Uczył się muzyki w szkole dla głuchych i niewidomych w St. Augustine. Tam ujawnił się jego talent. Już jako kilkunastoletni chłopak pracował jako muzyk studyjny, nagrywając wywodzącą się z wokalnego jazzu muzykę pop. W drugiej połowie lat 50. i w latach 60. stał się jedną z największych gwiazd rhythm and bluesa i wczesnego soulu. Przez długie lata był uzależniony od heroiny. Zasłynął przebojami: „Georgia On My Mind”, „I Can't Stop Loving You” czy „Hit The Road Jack”.

Fot. AP, JERZY GUMOWSKI/AG

Oprocentowanie w skali roku

6.8%

4-letnie Obligacje Skarbowe

Ty też możesz je mieć:

- oferowane w placówkach PKO BP lub przez telefon czy Internet
- wystarczy już 100 zł i jeden podpis
- zmienne oprocentowanie oparte na inflacji
- stała marża odsetkowa gwarantuje realny zysk
- odsetki wypłacane co roku
- możliwość wcześniejszego wycofania pieniędzy

www.obligacjeskarbowe.pl

infolinia: 0 801 310 210 (opłata jak za połączenie lokalne)



Jak prosto oszczędzać



a właściwie
to...

Niech oni grają

Francuzi wygrali. Borowski przegrał. Włosi zremisowali (ledwo). Lepper przegrał. Tusk wygrał. I Giertych też. Belka – nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle gra. Schröder przegrał. Kaczmarek się zagrał. Bush wygrał. Irak (na razie) przegrywa. Najmądrzejsze dziecko wygrało. Kwaśniewski chce się odegrać. Kutz przegrał, bo nie grał. Gra zdominowała nasze życie publiczne i prywatne. Język mediów jest pełen określeń opisujących rzeczywistość jako zmagania prowadzące tylko do jednego finału: porażko-zwycięstwa. Nie wiem właściwie dlaczego, ale całe dorosłe życie stroniłem od konkursów,

wyścigów. Czy dalej już się nie da? Czy stroniąc od wyścigów, stroniłbym teraz od samego życia? Nie dajmy się zwariować, to wszystko jest na niby. Zwycięzcy szybko zamieniają się w przegranych i odwrotnie. Kategorie zmieniają się niezależnie od wagi zawodników, a na koniec i tak okazuje się, że ostatnie wyniki już się zdezaktualizowały i mamy nowych mistrzów i pokonanych. To co jest ważne, jeśli nie wyniki? My, kibice, bez nas tych zawodów nie ma. Następne już w sierpniu. Znowu komuś pozwolimy wygrać, a kogoś odprawimy z kwitkiem.

PIOTR NAJSZTUB



Bazylika sprzeczności

Dzień przed wyborami do Parlamentu Europejskiego w Licheniu konsekrowano największy kościół w Polsce. Kto zapłacił za lukrową bazylikę na 17 tysięcy pielgrzymów? Sto milionów złotych wyłożyli w większości wierni. – Ubodzy ludzie bogatemu Bogu wystawili dom – powiedział podczas uroczystości poświęcenia bazyliki jej pomysłodawca i kustosz ksiądz Makulski. Nie wiem, kogo ta wypowiedź bardziej obraża ani jak mieści się w kościelnej logice „ubogacania”, ale jedno jest pewne: wierni za własne pieniądze postawili kościół swoich marzeń. I nie można im czynić z tego zarzutu. Można natomiast pytać, dlaczego episkopat poparł budowę megabazyliki. Czy dlatego, że pięć lat temu Papież stwierdził w Licheniu, że „architektoniczny rozmach jest wyrazem wiary i miłości do Maryi i jej syna”? A może dlatego, że nowa bazylika to symbol tego, jak przeciętny polski katolik pojmuje swoją religijność? A pojmuje ją w kategoriach widzialnych znaków – adoracji cudownych obrazów, pielgrzymowania, wotów, rozłożystych świątyń, kultu Papieża. Aż głupio pytać, gdzie w tym wszystkim podziła się ewangelia. Bazylika w Licheniu stawia polski Kościół w dwuznacznym świetle, bo pogłębia błędne przekonanie, że zamiast na biednych wydaje on miliony na świątynie. W wypadku Lichenia problem jest inny: to wierni woleliłożyć na bazylikę niż na szpitale czy domy opieki. Woleli po części dlatego, że Kościół nie jest w stanie zmobilizować ich do ofiarności na inne, bardziej ewangeliczne cele. I jeszcze jeden paradoks. Biskupi zebrani w Licheniu wyrazili solidarność z ludźmi pokrzywdzonymi karkołomną polityką socjalną państwa. Co myśleli bezrobotni i samotne matki w Licheniu, przemierzając hektary marmurów i zadzierając głowy na pozłacane plafony? Czy tylko sycili oczy przepychem i zachwycali się okazałością?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MACIEJOWSKI MARIA GRANT-CLAUDIA CARDINALE



© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KAINER GALLERY

raczej RACZKOWSKI



WMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

KRAJ URZĘDASÓW

**Polska choruje na aroganckich urzędników,
niezorganizowanych sędziów, leniwych
nauczycieli i pazernych poborców podatkowych
– alarmuje w rozmowie z Piotrem Najsztubem
profesor ANDRZEJ ZOLL,
obrońca skrzywdzonych przez państwo**



Mamy do czynienia z zanikającą władzą władzy centralnej. Czy to grozi naszym prawom obywatelskim? Urzędnicy zostali pozostawieni sami sobie.

– Nie mógłbym stwierdzić, że mamy do czynienia z prawdziwym zanikiem tej władzy. Natomiast jeśli będziemy rozpatrywali obywatelskie prawo do życia w dobrze funkcjonującym państwie, to to prawo jest bardzo poważnie zagrożone.

A bezkarni urzędnicy?

– Oni są pod kontrolą. Działają instytucje, które mają obowiązek patrzeć urzędnikom na ręce, chociażby urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, Trybunał Konstytucyjny, działa sądownictwo, też administracyjne. Te instytucje kryzysu nie przeżywają.

Może trochę demonizuję, ale biorę pod uwagę cechy właściwe urzędnikom. Oni, nie wiedząc, jakich zwierzczyńców przyniesie przyszłość, działają zachowawczo i wiele koniecznych decyzji nie ujrzy światła dziennego.

– To nie jest związane z tym akurat kryzysem politycznym. Od 1996 roku, kiedy została uchwalona ustawa o służbie cywilnej, nie udało się w Polsce zbudować korpusu służby cywilnej, który miałby służyć obywatelom, a nie władzy politycznej. Po każdej zmianie rządu dochodzi do bardzo głębokich zmian personalnych wśród urzędników. To spowodowało, że oni czują się bardziej sługami ekipy rządzącej niż obywateli.

To ma jakiś wpływ na ilość skarg składanych do pana?

– Ależ oczywiście! Dlatego że urzędnikami są bardzo często osoby nieprzygotowane, przypadkowe, osoby z nadania politycznego, a nie z kwalifikacjami i kompetencjami. Mówię tu o kadrze urzędniczej szczebla centralnego, jak i urzędnikach szczebla samorządowego. Na dodatek nie mamy ustawy o służbie cywilnej w samorządach terytorialnych. A dla obywatela głównym urzędnikiem jest urzędnik samorządowy, u niego załatwia większość spraw. Za jeden z poważniejszych grzechów ekipy Millera uważam to, że zawiesiła funkcjonowanie ustawy o służbie cywilnej. Zaskarżyłem to do Trybunału Konstytucyjnego, on orzekł, że ta decyzja była niezgodna z konstytucją, ale konsekwencji nie było żadnych. Dalej mieliśmy do czynienia z osobami, które pełniły obowiązki, a nie przeszły przez konkursy konieczne, żeby pełnić służbę cywilną.

Żyjemy w czasach swobodnego bezkrólewia. Nie spodziewa się pan w związku z tym fali łamania praw obywatelskich?

– Ten stan jest groźny. Na przykład spójrzmy na ochronę zdrowia. Prawo do ochrony zdrowia jest jednym z ważniejszych praw gwarantowanych w konstytucji. Od 1 stycznia 2005 r. nie będzie obowiązywała zdyskwalifikowana przez Trybunał Konstytucyjny ustawa regulująca to prawo. Jeżeli do września nie zostanie uchwalona nowa, to od 1 października będziemy mieli absolutny chaos i, co gorsza, te prawie 40 miliardów złotych ściągniętych z naszych składek nie będzie mieć administratora.

A może w tak trudnych czasach powinniśmy się niektórych praw lub ich części wyrzec?

– Na przykład jakich?

Na przykład powszechnej i bezpłatnej ochrony zdrowia.

– To są prawa należące do praw człowieka, są niezbywalne i nie możemy rezygnować z ochrony zdrowia. Inną kwestią jest uregulowanie systemu ochrony zdrowia. Pojawia się zasadne pytanie, czy nie powinniśmy w jakimś zakresie zrezygnować z bezpłatnej ochrony zdrowia.

Może z tego prawa powinni korzystać tylko najubożsi?

– Tu się z panem zgadzam – ochrona zdrowia jest coraz droższa i nigdy nie będzie wystarczających pieniędzy na zabezpieczenie pełnej, na najwyższym poziomie ochrony zdrowia dla wszystkich. Trzeba wprowadzić dobrze funkcjonujący system finansowania ochrony zdrowia ze środków publicznych, w którym muszą być zachowane pewne podstawowe warunki, na przykład równy dostęp. Natomiast moim zdaniem albo niektóre świadczenia lekarskie muszą być finansowane ze środków prywatnych pacjenta, albo jakiś procent kosztów świadczenia lekarskiego musi być finansowany przez pacjenta, z tym że trzeba by przy tym wprowadzić dodatkowe mechanizmy. Finansowanie ze środków pacjenta wcale nie oznacza, że ja muszę brać z portfela i płacić, tylko mogę się ubezpieczyć i ubezpieczyciel będzie za to płacił. A jeśli kogoś nie będzie stać na ubezpieczenie, to takie osoby powinien ubezpieczać budżet państwa ze środków pomocy społecznej.

ANDRZEJ ZOLL
MA 62 LATA, JEST PROFESOREM PRAWA KARNEGO, OD 2000 ROKU RZECZNIKIEM PRAW OBYWATELSKICH. URODZIŁ SIĘ W SIENIAWIE, UKOŃCZYŁ PRAWO NA UNIwersytecie Jagiellońskim, W WIEKU 26 LAT UZYSKAŁ STOPIEŃ DOKTORA. PRZY OKRĄGŁYM STOLE REPREZENTOWAŁ SOLIDARNOŚĆ. PRACOWAŁ NA NAJWYŻSZYCH „NIEPOLITYCZNYCH” STANOWISKACH W POLSCE. NA POCZĄTKU LAT 90. BYŁ SZEFEM PAŃSTWOWEJ KOMISJI WYBORCZEJ, W LATACH 1993–1997 PRZEWODNICZYŁ TRYBUNAŁOWI KONSTYTUCYJNEMU. POLITYCY PSL I PIS – JAK PODAŁA „RZECZPOSPOLITA” – ZASTANAWIALI SIĘ, CZY NIE WYSUNĄĆ KANDYDATURY ZOLLA NA SZEFA RZĄDU. W 2003 ROKU DO BIURA RPO NADESZŁO 55 TYSIĘCY SKARG. W OSTATNIM SPRAWOZDANIU SEJMOWYM PROFESOR ZOLL ZAUWAŻYŁ, ŻE PONAD POŁOWA SKARG, KTÓRE OTRZYMAŁ, MOGŁA BYĆ ZAŁATWIONA OD RĘKI W INNYCH URZĘDACH.

Ale znowu słyszymy pełne hipokryzji zapewnienia polityków, że da się wymyślić i wprowadzić system, który zapewni wszystkim równy i bezpłatny dostęp.

– Skończmy z tymi nierealnymi deklaracjami i postawmy sprawę jasno – świadczenia medyczne muszą być częściowo odpłatne.

A co z prawem do bezpłatnej nauki? Może powinniśmy w ten sam sposób pomyśleć o edukacji, która jeśli nie wykona gwałtownego skoku, to nie pomoże nam pokonać istniejącej bariery cywilizacyjnej. Może nawet na poziomie szkoły podstawowej powinniśmy wprowadzić częściową odpłatność po to, żeby szkoły mogły zacząć być lepsze, lepiej wyposażone.

– Po to płacimy podatki, więc tutaj byłbym ostrożniejszy. Szczególnie jeśli chodzi o edukację na szczeblu podstawowym, gimnazjalnym, to jednak – z wyjątkiem szkół prywatnych, które, uważam, dalej należy rozwijać – szkolnictwo do matury powinno być zasadniczo bezpłatne. Natomiast trzeba uspołecznić szkołę, spowodować, żeby była bardziej obywatelska.

Co to znaczy?

– Nasza edukacja nie jest na najlepszym poziomie. Mamy bardzo wąską elitę bardzo dobrych szkół i resztę kiepskich. Przeciętna szkoła nie kształci dobrze. Daje pewne kwantum wiedzy, natomiast nie daje umiejętności, nie uczy myślenia. Zmiany powinny dotyczyć nie systemu bezpłatności, ale zawodu nauczyciela. Bardzo silnie atakuję Kartę nauczyciela. Może dziwić, że robi to rzecznik praw obywatelskich, ale wydaje mi się, że jednym z podstawowych praw jest prawo do dobrej edukacji. Karta nauczyciela jest przeżytkiem, chroni przeciętnego, słabego nauczyciela, a dobremu jest w ogóle niepotrzebna. Niektóre gwarancje zawodu nauczycielskiego muszą być zachowane, ale powinny się znaleźć w ustawie o systemie oświaty, natomiast samą Kartę bym uchylił. Nie do utrzymania jest 18-godzinne pensum pracy dla nauczyciela, nie do utrzymania jest brak mechanizmów, które w autentyczny sposób premiują kreatywność nauczyciela, premiują jego autorski sposób formułowania programów i prowadzenia lekcji. Fatalnie się stało, że przerwano reformę oświaty i przesunięto w czasie nowe matury. Jest bardzo ważne, żeby w momencie zakończenia edukacji szkolnej jej kontrola była zewnętrzna. To jest przecież nie tylko matura uczniów, ale i matura nauczycieli, ocena ich pracy, z której można później wnioskować, oceniać i awansować, względnie rezygnować z pracy tych, którzy jako nauczyciele nie zdają tego egzaminu.

Nie widać polityków, którzy byliby gotowi powalczyć z Kartą nauczyciela. To poważna grupa wyborców.

– Jestem optymistą. Nie widać tych polityków w tym Sejmie. Myślę, że początek nowej kadencji jest dobrym momentem na próbę zmiany.

Jak dalece nasze państwo jest opresyjne wobec swoich obywateli? I czy to się zmienia?

– Zmiany wiążą się na przykład z ideologią partii dochodzących do władzy, ideologia musi zmieniać stosunek władzy do obywateli. Na przykład SLD miało w swoim programie centralizację państwa. To prowadziło do programowego osłabienia władzy samorządowej, wręcz negowania sensu budowania społeczeństwa obywatelskiego. Dla wielu polityków z tego środowiska pojęcie społeczeństwa obywatelskiego było zupełnie wirtualne. A przecież jeżeli poważnie traktujemy polską transformację, to



Fot. PIOTR BERNAS/AGENCJA GAZETA

Wolałbym jednak usłyszeć głos 90 procent Polaków, nawet gdyby ten głos wydali z siebie pod przymusem.

– Polacy są uparci, mógłby się pan doczekać odpowiedzi: To ja im teraz pokażę!

Pokrzywdzeni i sfrustrowani. Z tymi dwiema kategoriami ludzi ma pan chyba, podobnie jak Andrzej Lepper, najczęściej do czynienia.

– Oczywiście, znam sfrustrowanych, niezadowolonych, którzy do mnie piszą, bo mają kłopoty z władzą. Niewątpliwie doszło do marginalizacji dużej grupy, w stosunku do której państwo nie wykonuje do końca swoich obowiązków. I dlatego państwo postrzegane jest przez nich jako nieprzyjazne. Też dlatego, że nie udało nam się wychować kadry przyjaznych urzędników. Bo przecież państwo to jest trochę abstrakcyjne pojęcie, państwo reprezentuje urzędnik w gminie, który zachowuje się ordynarnie w stosunku do klienta. Nie chce, żeby mu głowę zawracać, zamiast być osobą przyjazną. A urzędnik powinien być przewodnikiem obywatela w załatwieniu jego sprawy. Ponad połowa spraw, które wpływają do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, to są sprawy, których by nie było, gdyby ten urzędnik dobrze poinformował obywatela, co musi zrobić, żeby sprawę załatwić.

Czy z za pańskiego biurka lepiej widać, dlaczego Lepper zyskuje poparcie?

– Oczywiście, źle funkcjonujący urzędnik przysparza Lepperowi zwolenników. Leppera popierają najczęściej osoby, które nie są na takim całkowitym marginesie, ale mają kłopoty z państwem. Nie są dobrze wykształcone i nie mogą sobie poradzić z tym źle funkcjonującym państwem.

A jak pan ocenia działanie odpowiedzialności w Polsce? Czy ona praktycznie istnieje? Pan podważa wiele decyzji urzędniczych, podważa pan też ustawy, kieruje je do Trybunału, wiele z tych spraw wygrywa, ale coś złego spotyka ich autorów?

– Nie mamy takiego prostego przełożenia. Ludzie, którzy popełniają błędy, za rzadko ponoszą za to odpowiedzialność. Choć muszę powiedzieć, że są takie sprawy, w których występuję do określonego organu, żądając pociągnięcia do odpowiedzialności dyscyplinarnej, już nie mówię o odpowiedzialności karnej, dyscyplinarnej osoby, która nie wypełniła swoich obowiązków albo przekroczyła swoje uprawnienia.

I są karani?

– Myślę, że tak, choć nie mam możliwości kontroli. No ale przecież mam też zaufanie do organu, do którego się zwróciłem, że sprawę potraktuje poważnie. Jednak problem odpowiedzialności nie dotyczy tylko władzy, my w ogóle mamy problem z odpowiedzialnością obywatelską. Tutaj mamy wiele do zrobienia.

Ale pan nie jest rzecznikiem obowiązków obywatelskich.

– Powiem inaczej. Zmienia się źródło zagrożenia praw obywatelskich. Instytucja, którą kieruję, była pomyślana jako urząd, który ma chronić obywatela przed władzą, miał to być urząd hamujący władzę. Natomiast dzisiaj coraz częściej zagrożeniem dla praw człowieka, praw obywatelskich jest działanie drugiego człowieka czy działanie różnych korporacji, które są poza systemem władzy. Działanie rzecznika praw obywatelskich sprowadza się często do tego, że muszę żądać interwencji od władzy. Interwencji na przykład wobec naruszenia praw pracowniczych

przez duże przedsiębiorstwa, czyli obecnie moją rolę jest też domaganie się egzekwowania obowiązków wobec obywateli.

A byłby pan w stanie wskazać takie sfery działania władzy, które przysparzają obywatelom najwięcej szkód?

– Korupcja jest niewątpliwie czynnikiem, który prowadzi do bardzo dużych szkód, do złego funkcjonowania aparatu. Jeżeli człowiek chce uzyskać pozwolenie na budowę i w związku z tym musi zamówić projekt w określonej firmie, bo inaczej będzie miał z pozwoleniem kłopoty, a ta firma jest powiązana z tym, kto wydaje zgodę, to obywatel czuje się zaszczuty. Czy przedsiębiorstwo, które nie ma szans w jakimś przetargu, jeżeli nie będzie działać w określony sposób. Drugim naszym problemem jest zbyt powolne wymierzanie sprawiedliwości.

Może mamy za leniwych sędziów?

– Nie, myślę, że w dużym stopniu decyduje zła organizacja pracy. Bo przecież mamy wystarczająco dużo sędziów. Jeżeli weźmiemy państwa ludnościowo zbliżone do Polski, na przykład Hiszpanię, to tam nie ma więcej sędziów.

Ale do tej pory żadnemu z polskich ministrów sprawiedliwości nie udało się namówić sędziów, żeby sądzili po południu.

– To nie jest takie proste. W tym procesie biorą udział również adwokaci, świadkowie, oskarżeni, biegli – ludzie, którzy muszą dojechać do miasta, przerzucanie rozpraw na popołudnie może doprowadzić do częstego odraczania sprawy. U nas szwankuje przygotowanie do rozprawy, zabezpieczenie obecności świadków, sprawdzenie, czy zostali zawiadomieni. Tego nie musi robić sędzia. Sędzia powinien mieć asystenta. Zupełną fikcją jest rozwiązanie założone w procedurze cywilnej i karnej, że sprawa powinna być załatwiona na pierwszej rozprawie. Czasami nie może, bo sprawa jest za duża. Jednak wtedy powinno być tak jak dawniej, że jeżeli już się zaczyna sprawę, to się ją prowadzi codziennie przez parę dni i na koniec zapada wyrok.

Jeżeli dzisiaj mam jakieś roszczenie, to mogę się spodziewać jego zaspokojenia za siedem lat – to w ogóle nie ma sensu. A w sądowych sporach podatkowych czy gospodarczych ta przewlekłość może prowadzić do bankructwa i często prowadzi. Działalność administracji podatkowej to wielki obszar szkód.

Może ograniczyć jej bezkarność?

– Zaczyna się działać w tym kierunku, żeby jednak nie było premii dla urzędników skarbowych za ściągnięcie podatki, żeby ich pensja nie była zależna od tego, czy ściągają, czy nie. Podatki to jest prawo, które mają oni realizować, a nie mieć od tego premię, bo ona prowadzi do pewnej patologii.

Widzi pan jakiś inny sposób na okiełznanie urzędników podatkowych?

– Były pomysły, żeby karać za błędne decyzje, ale to jest niebezpieczne, dlatego że błędzenie jest rzeczą ludzką i nawet urzędnik pełen dobrej woli, działający przy tak niejasnym prawie może popełnić błąd. Podatnik musi mieć prostą możliwość odwołania się od decyzji urzędnika do drugiej instancji. Trzeba się zastanowić, czy jest naprawdę konieczne, żeby decyzja pierwszej instancji była

Urzędnik podatkowy musi mieć świadomość, że jeżeli niszczy jakiegos pracodawcę, to działa na szkodę interesów państwa

wykonywana natychmiast. Czy nie powinno być tak jak w postępowaniu administracyjnym, że decyzja jest wykonywana dopiero po uprawnieniu się? Urzędnik podatkowy musi też mieć świadomość, że jeżeli niszczy jakiegos pracodawcę, to działa na szkodę fiskalnych interesów państwa.

Pan się odwołuje do propaństwowego instynktu urzędnika fiskalnego, a ten chyba nie istnieje.

– No to go kształmy i zatrudniamy takich, którzy go mają. Wracamy do podstawowego problemu: kto ma być urzędnikiem? Jeżeli urzędem podatkowym w jednym z miast Małopolski kierowała fryzjerka, bo była krewną kogoś ważnego, to to pokazuje skalę problemu. Ona mogła być znakomitym fryzjerem, ale urzędnik podatkowy to musi być jednak osoba, która potrafi czytać ustawę.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

ZATWIERDZONY JAKO URZĄDZENIE MEDYCZNE WEDŁUG NORM UNII EUROPEJSKIEJ (93/42 EEC)

BIOPTRON
LIGHT THERAPY SYSTEM By Zepter Group

BIOPTRON WPŁYWA BIOSTYMULUJĄCO NA KOMÓRKI:

- harmonizuje procesy metaboliczne
- wzmacnia system immunologiczny
- stymuluje procesy regeneracji organizmu

BIOPTRON W MEDYCYNIE

LECZENIE RAN I REGENERACJA TKANEK
(skuteczność potwierdzona medycznie)

- Rany pourazowe
- Oparzenia
- Rany pooperacyjne
- Owrzodzenia podudzi
- Odleżyny

ŁAGODZENIE BÓLU (skuteczność potwierdzona medycznie)

W reumatologii:

- Eliminuje lub łagodzi ból
- Skraca czas porannego zesztywnienia stawów
- Zwiększa siłę mięśni i aktywność ruchową
- Poprawia jakość snu

W medycynie sportowej:

- Zmniejsza bóle mięśni
- Przyspiesza powrót sprawności fizycznej
- Zmniejsza bóle kręgosłupa i stawów
- Jest doskonałym środkiem pomocniczym w leczeniu: stłuczeń, skręceń, naderwanych ścięgien, zwichnięć, skaleczeń, zasinień.

W fizykoterapii i rehabilitacji:

- Zmniejsza ból i skurcz mięśni
- Poprawia odżywienie tkanek
- Stymuluje zanikanie obrzęków
- Przyspiesza procesy regeneracyjne i leczenie ran

BIOPTRON W KOSMETYCE

- Zmniejsza istniejące zmarszczki i zapobiega pojawianiu się nowych
- Zwiększa efekty zabiegów kosmetycznych
- Skóra staje się zdrowsza, ma świeższy wygląd i jest piękniejsza
- Poprawia napięcie i teksturę skóry
- Czyni skórę bardziej elastyczną
- Leczy zmiany skórne, powstałe na skutek działania stresu
- Odmładza i odświeża skórę
- Pomaga się zrelaksować i poprawia samopoczucie

STOSUJ ŚWIATŁO BIOPTRON CODZIENNIE PRZEZ 4-10 MINUT RANO I WIECZOREM!

Chcesz wiedzieć więcej:

Zadzwoń **0 801 300 300** (opłata wg taryfy lokalnej)
Wyślij sms **0 693 555 555** (opłata wg taryfy Twojego operatora)
o treści bioptron/miejscowość/PK np. bioptron/Radom/PK
Wyślij e-mail **bioptron@zepter.com.pl**
o treści bioptron/miejscowość/nr telefonu/PK

BIOPTRON! ALBO GO MASZ ALBO GO POTRZEBUJESZ!

www.zepter.pl
www.bioptron.com

zepter
INTERNATIONAL



KONIEC AUTOKRATY

Zasady się zmieniły. Rząd ustalił granicę ładowności samochodów ciężarowych na 629 kg i 697 kg dla samochodów 4- i 5-osobowych. Od 1 maja firmy mogą od nich odliczyć cały podatek VAT. Popularne autokratki tracą na ważności.

Renault Clio Soci  t   Oszcz  dne, obrotne i wygodne, cho   2-miejscowe autko. Zapewnia wysoki komfort jazdy przy niskich kosztach eksploatacji. Do wyboru gama wydajnych, ekonomicznych silnik  w, np. 1,2 60 KM lub cichy turbodiesel Common Rail 1,5 dCi 65 KM. Do przegl  du je  dzi rzadko (okres mi  dzyprzegl  dowy wyd  u  zony do 30 000 km), bo cz  ściej nie musi. Doskona  a zwrotno  c  , najnowsze, innowacyjne technologie zapewniaj   komfort i wysoki poziom bezpiecze  stwa. Dost  pny w 3 wersjach wyposa  zenia. Auto o dynamicznej osobowo  ci, co wida  c.

Renault M  gane Soci  t   Niepowtarzalny! Cieszy oko i zapewnia wyj  tkow   przyjemno  c   z jazdy. S  ynie z doskona  ej przyczepno  ci i jest nies  lychanie zwrotny. Unikatowy system zawieszenia gwarantuje wysok   precyzj   prowadzenia. Dynamiczn   j  zd   zapewniaj   nowoczesne i oszcz  dne silniki Diesla 1,5 dCi 80 KM i 100 KM. Komfortowy 2-miejscowy samoch  d dla aktywnych przedsi  biorc  w. Bezpieczny na *****. Dost  pny w ci  gu roku.

„Renault
dysponuje
szerok   gam  
samochod  w
z mo  liwo  ci  
odliczenia
100% VAT”

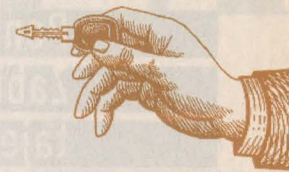
Renault Kangoo Orygina  ! Nowoczesny, praktyczny i... sympatyczny samoch  d pe  en pomys  lowych rozwi  za  n u  latwiaj  cych codzienn   eksploatacj  . Bogate wyposa  zenie seryjne i opcjonalne, dost  pne na trzech poziomach. Du  o te   pomie  ci – dzieki niezwykle pojemnemu baga  znikowi (650 l). 100% odliczenia VAT mo  liwe jest w trzech wersjach silnikowych dla Kangoo 5-miejscowego – 1,2 16V 75 KM oraz 1,5 dCi 65 KM lub 80 KM. Ma te   rozliczne schowki i p  lki, no i dwoje przesuwanych drzwi bocznych. Zasuwa w podskokach.

Renault Espace 100% odliczenia VAT dla 5-miejscowej wersji ci  garowej. A do tego maksimum komfortu. Przestronne, pe  ne   wiat  a w  ntrze, szeroko otwarte na   wiat dzieki panoramicznemu szklanemu dachowi, zosta  o zaprojektowane z my  l   o komforcie kierowcy i pasa  er  w: doskonale wyprofilowane, wygodne siedzenia, pod  lokietniki, zag  l  wki... W zasi  gu r  ki rozmieszczono liczne schowki. Pi  c gwiazdek z bezpiecze  stwa. No luksus po prostu.

W zwi  zku z nowymi zasadami
odliczania podatku VAT
producenci samochod  w w Polsce
obawiaj   si   znacznego spadku sprzeda  y.
Jedynie Renault nie dostrzega
tu dla siebie zagro  zenia.



Ustawa jest w trakcie modyfikacji.
Ustalona przez r  d granica
  adowno  ci mo  e jeszcze
ulec zmianie.



Renault Grand Sc  nic Taki wi  kszy Sc  nic. Wyj  tkowo przestronny samoch  d, kt  ry – tak si   składa – ma a   7 miejsc w wersji osobowej (4 miejsca w wersji ci  garowej). Można je s  kłada  c, dowolnie kształtuj  c w  ntrze. Swobodnie przewiezie du  a rodzin  , du  e przedmioty, albo i jedno, i drugie. Kompaktowe wymiary s  wiadc   o doskona  ej zwrotno  ci, i rzeczywi  cie – Sc  nic wprost przywiera do drogi, zapewniaj  c wysok   precyzj   kierowania. Pe  en innowacyjnych i inteligentnych rozwi  za  n dla wygody, dynamiki jazdy i bezpiecze  stwa. Reprezentacyjny.

Renault Vel Satis Limuzyna z dieslem!   aczy moc i komfort, elegancj   i innowacyjno  c  , oferuj  c bezpieczn   (***** od Euro NCAP) podr    w   wiat luksusu, i to bez VAT (odpis 100% od wersji z silnikiem 2,2 dCi i z automatyczn   skrzyni   bieg  w). Raduje wyj  tkowo wygodn   obs  ug   i unikatowe, ergonomiczne rozwi  zania w   rodku. Okaza  a manifestacja przyjemno  ci i komfortu. Ma styl.

Renault Trafic Furgon XXI wieku. Do wyboru (i do koloru): samochody dostawcze a   do 1200 kg lub 6-osobowe kombi z du  ym baga  znikiem (te   100% odliczenia VAT). Ergonomiczny i funkcjonalny w ka  dym szczeg  le. Uwaga kierowcy spragnieni komfortu – ciche, oszcz  dne, a przy tym dynamiczne silniki a   do 135 KM. Wszechstronny ze wszech miar.



Renault M  gane Sedan To taka d  u  sza, bo z pojemnym baga  znikiem, wersja M  gane. Można odliczy  c 50% VAT (do 5000 z  ). Przyci  ga wzrok i ziemi   –   wietnie trzyma si   drogi. Bardzo elegancki. Czysty profil i bry  a nadwozia podkre  slaj   wyrazisty charakter tego auta. Ergonomiczna, przestronna kabina. Inteligentnie wyposa  zony: np. reflektory i wycieraczki w  lczaj   si   same, gdy trzeba. Zwrotny na drodze i pe  wnie trzymaj  cy kierunek jazdy na zakr  tach, jest wr  cz modelowo dynamiczny. Si  a przyci  gania.

„Od samochod  w
osobowych
mo  na odliczy  c
50% podatku
VAT”



Renault Thalia Komfortowy sedan z baga  znikiem 510 litr  w! Można odliczy  c 50% VAT (do 5000 z  ). W atrakcyjnej cenie oferuje bogate wyposa  zenie seryjne. Dost  pny r  wnie   z nowoczesnymi i ekonomicznymi silnikami wysokopr   nymi Common Rail – 1,5 dCi 65 KM i 1,5 dCi 80 KM. Ciesza te   rozliczne   rodki bezpiecze  stwa, w kt  re zosta   wyposa  zony – poduszki powietrzne, pasy z napinaczami, a nawet (w opcji) ABS. Bezpiecznie polecamy.

100% podatku VAT mo  na te   odliczy  c od samochod  w dostawczych, takich jak: Kangoo Express, Trafic, Master. A 50% od Renault Clio, M  gane 3- i 5-drzwiowego, M  gane Grandtour, Laguna, Laguna Grandtour. Wybrane modele dost  pne s   te   na specjalnych, korzystnych warunkach finansowych w ramach kredytu i leasingu Renault, np. Leasing 3 pierwsze raty gratis.



Przypadki Witka bez kratki



Ty  bis-ek

MARC HUJER

ARMIA PANA PRINCE'A

Pentagon utrzymuje w Iraku 15 tysięcy najemników.

Zabici pod Bagdadem byli GROM-owcy pracowali dla najbardziej tajemniczej spośród korporacji, które prywatyzują wojnę

Dom Raya Williamsa jest ostatni przed ogrodzeniem z drutu kolczastego. Właściciel skończył właśnie kosić, a na trawniku między werandą a sadzawką widać jeszcze wyraźnie ślady kośarki. Za grządkami kwiatów zaczyna się świat, w którym codziennie znikają ludzie gotowi za pieniądze narażać życie w Bagdadzie, Falludży czy Nadżafie. Stojąc na trawniku pana Williamsa, można się tylko domyslać, co dzieje się za polami, łąkami i lasami otaczającymi poligon firmy Blackwater w Moyock w Karolinie Północnej.

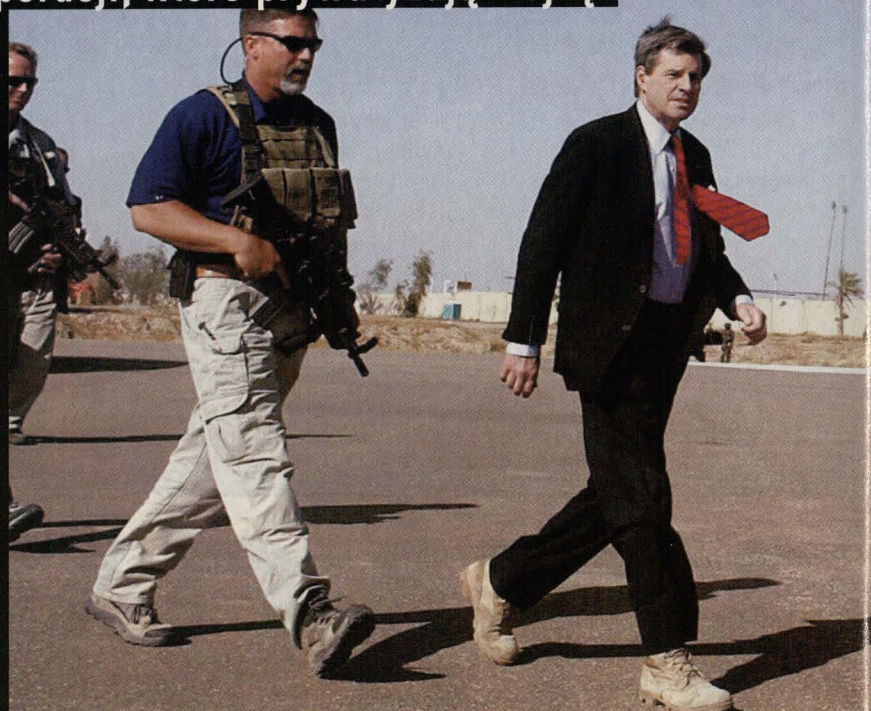
Choć mieszka pod samym ogrodzeniem, Williams wie niewiele o tym, co dzieje się po drugiej stronie drutu kolczastego. Nawet 31 marca 2004 r., kiedy na autostradzie numer 10 pod Falludżą znaleziono zwęglone i okaleczone ciała czterech amerykańskich najemników, Ray Williams nie zdawał sobie sprawy, że jego sąsiedzi mogą mieć z tym cokolwiek wspólnego.

WOJNA JAK CHUSTECZKI

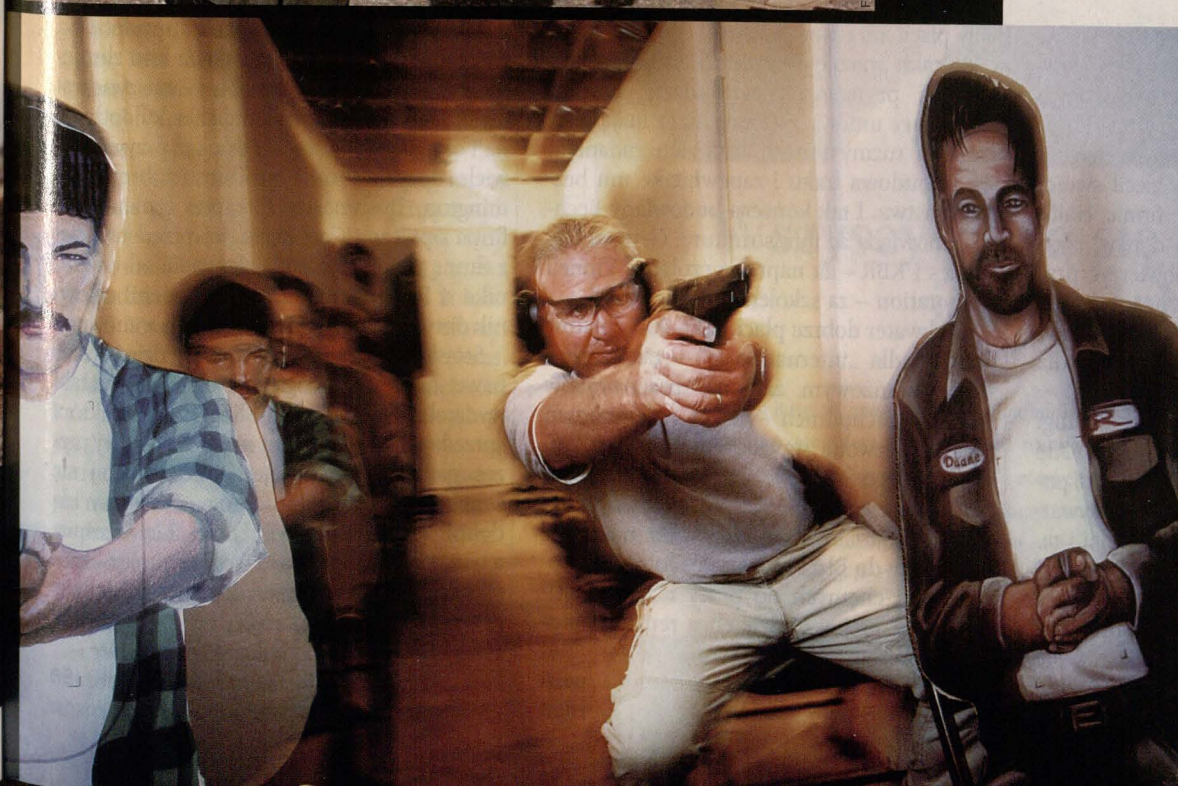
Blackwater to jedna z największych amerykańskich firm działających w Iraku i symbol nowego, prężnie rozwijającego się rynku. Rynku prywatnych usług wojskowych. – Jesteśmy jak Kleenex – mówi rzecznik Christopher Bertelli, porównując Blackwater do czołowego amerykańskiego producenta chusteczek do nosa.

W tej chwili Blackwater zatrudnia w Iraku 450 osób. Konwojują transporty żywności, rozbijają bomby i miny, ochraniają VIP-ów. Wprawdzie inne firmy mają na miejscu więcej ludzi, ale to Blackwater zgarnęła najbardziej prestiżowe kontrakty. Za 21 milionów dolarów zapewnia między innymi ochronę amerykańskiego namiestnika Paula Bremera. Takie zlecenie oznacza nie tylko zysk, lecz także korzyści dla wizerunku firmy. – Zostaliśmy wybrani, bo rząd amerykański ma pełne zaufanie do jakości naszej pracy – mówi rzecznik Blackwater Bertelli.

Goście rzadko mają wstęp do centrali firmy w Moyock. Niedawno Blackwater zrobiła jednak wyjątek i zgodziła się, by na jej poligonie odbyły się międzynarodowe zawody oddziałów antyter-



Przy ochronie instalacji naftowych w Iraku pracuje Polak z Legii Cudzoziemskiej (po prawej). Na górze: Paul Bremer z obstawą. Za ochronę administratora Iraku Blackwater wziął 21 milionów dolarów. Obok: Jim Sierwaski, dyrektor treningowy poligonu Blackwater w sali do ćwiczeń z odbijania samolotów



rorystycznych. Przez dwa dni można było wejść za ogrodzenie i zobaczyć wszystko – strzelnice, sale wykładowe oraz bajkowe atrapy, za którymi kryje się sukces firmy.

NIECH ŻYJE ZABIJANIE

Na osuszonych bagnach Karoliny Północnej stoi miniatura złego świata. Świata, który powiększa się po każdej narodowej tragedii. Po rzezi w Columbine High School, kiedy to dwóch nastolatków zastrzeliło 12 rówieśników, na poligonie w Moyock stanęła atrapa całego liceum. Są nawet głośniki, przez które odtwarza się krzyki dzieci. Od zamachu na niszczyciel „Cole” w Jemenie Blackwater ma własny statek ćwiczeniowy, a po 11 września 2001 r. przybył samolot do szkolenia strażników lotniczych. Po drugiej stronie parkingu koparki orzą właśnie ogromny kawałek łąki. Według rzecznika Blackwater ma tam powstać tor do nauki ofensywnej jazdy samochodem w obszarach wojennych.

Równolegle z zawodami antyterrorystów Blackwater zorganizowała konferencję. Prócz wykładów o uwalnianiu zakładników czy zbieraniu informacji wywiadowczych jest też coś dla zwykłych ludzi – na przykład seminarium o „kuloodpornej psychice”. W hotelu DoubleTree w Virginia Beach setka zamarynowanych w testosteronie mężczyzn słucha byłego generała Davida Grossmanna.

– Przyjmijcie ducha wojny! Niech żyje żołnierskie życie! – woła do słuchaczy założyciel firmy Kilology Reseach zajmującej się psychologią zabijania. Bo Blackwater to nie tylko wynajem śmigłowców bojowych, sprzedaż strzelnic, szkolenia dla policjantów, antyterrorystów i wojskowych, lecz także kursy strzelania dla hobbystów.

TAJEMNICZY PAN PRINCE

Wśród uczestników krąży plotka, że na konferencję przyjechał sam założyciel Blackwater,

człowiek, którego twarzy nikt nie zna. O Eriku Prince wiadomo tylko tyle, że ma 34 lata, jest „dobrym republikaninem” i do tego multimilionerem. Jak duch unosi się nad całą imprezą – wydaje się być wszędzie, ale nigdzie nie jest uchwytany.

– Nigdy, nigdy, przenigdy nie zobaczy pan pana Prince’a. Przypuszczalnie nawet nie uścisnąłby panu ręki – mówi Gary Jackson, prezes Blackwater i były komandos oddziałów Navy SEALs. Jeszcze tego ranka założyciel i właściciel firmy, a poza tym „przyjaciel”, który w marynarce wojennej doszedł zaledwie do stopnia podporucznika, był w jego gabinecie i siedział po drugiej stronie kuloodpornego biurka. Zapytał o interesy, a potem potajemnie wmieszał się w tłum gości. – Tyle mogę powiedzieć: był, a teraz już go tu nie ma – dodaje Jackson.

Tajemnic pana Prince’a nie można bezkarnie zdradzać. Każdy, kto odchodzi z firmy, podpisuje oświadczenie, że nie powie nikomu ani słowa o jej właścicielu. – Gdy po masakrze w Falludży przygotowaliśmy artykuł o Blackwater, wysłaliśmy fotografa, by zdobył zdjęcie Prince’a – mówi Matthew Jones, reporter „Virginian Pilot”, największego lokalnego dziennika. Bez skutku. W gazecie ukazała się czarna sylwetka, a nad nią tytuł: „Założyciel firmy – Najpilniej strzeżony sekret Blackwater”.

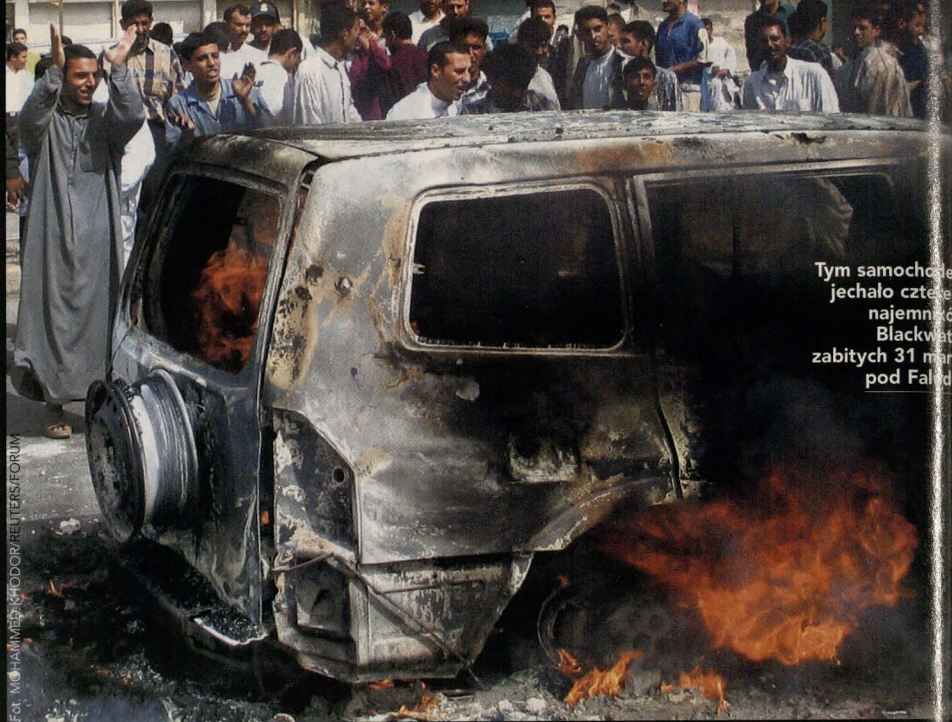
W ciągu ośmiu lat istnienia firma wyszkoliła na poligonie w Moyock 50 tysięcy różnych specjalistów od ochrony. Ale dopiero wojna w Iraku pozwoliła rozkręcić interes na wielką skalę. – To żyła złota – przyznaje Duncan Bullivant, szef Hendersen Risk, brytyjskiej firmy usług wojskowych.

MARINE CZY PODWYKONAWCA?

Rynek prywatnych usług wojskowych narodził się 12 lat temu za sprawą Dicka Cheney’a, ówczesnego amerykańskiego sekretarza obrony, a obecnie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. W roku 1992 Cheney zlecił swojemu późniejszemu pracodawcy, firmie Halliburton, przygotowanie raportu o tym, jakie zadania wojskowe można by powierzyć prywatnym firmom w razie konieczności obrony kraju. Raport kosztował prawie cztery miliony dolarów i zaowocował powstaniem rynku dla prywatnych firm wojskowych.

Zaczęło się od usług kucharskich, obsługi technicznej i transportu żywności. Ale w boomie końca lat 90., gdy rozkwitła gospodarka internetowa i wydawało się, że prywatne firmy zrobią wszystko lepiej, szybciej i taniej, Pentagon zaczął zlecać na zewnątrz również inne zadania wojskowe.

I tak prywatni przedsiębiorcy zajmują się dziś konwojami żywności, ładunkami wybuchowymi, a nawet – jak na przykład ostatnio w Nadżafie – ewakuacją rannych żołnierzy



Tym samochodem jechał czterech najemników Blackwater zabitych 31 marca pod Falludżą

– Nikt już nie pyta, czy jesteś z marines, czy z firmy podwykonawczej – mówi najemnik Blackwater w Iraku

z pola walki. – Fajne jest to, że teraz wszyscy siedzimy w jednej łodzi – mówi pracownik Blackwater. – Nikt już nie pyta, czy jesteś z marines, czy z firmy podwykonawczej.

Tylko w tym roku rząd amerykański wyda na prywatne usługi wojskowe 25 miliardów dolarów. Rynek długo się nie wyczerpie, bo Pentagon tnie koszty. – Tam, gdzie wojsko musiałoby wysłać 160 żołnierzy, wystarczy 25 naszych – mówi prezes Blackwater. – Łańcuch dowodzenia jest u nas krótszy, a poza tym nie utrzymujemy chłopców przez 30 lat i nie musimy płacić im rent i emerytur.

W Iraku pracuje obecnie 15 tysięcy najemników i prywatnych ochroniarzy. Oprócz Blackwater umowy z Pentagonem mają jeszcze dwa tuziny innych firm. Ich zadaniem jest odbudowa Iraku i zapewnienie mu bezpieczeństwa. I tak koncern budowlany Bechtel odpowiada za infrastrukturę, General Dynamics i KBR – za naprawę czołgów, Vinnell Corporation – za szkolenie irackiej armii.

Blackwater dobrze płaci. 800–900 dolarów dziennie dla „international” – tak nazywa się w branżowym żargonie pracowników z krajów zachodnich – to na najemniczym rynku przyzwoita stawka. Pracownicy z krajów Trzeciego Świata dostają co najwyżej jedną dwudziestą, a Irakijczycy – ledwo jedną setną pensji „international”. Po masakrze w Falludży do Blackwater zgłosiło się podobno więcej chętnych do pracy niż kiedykolwiek wcześniej. – Ludzie chcą zemsty – mówi rzecznik firmy.

Eksperti co rusz narzekają na niezadowalający standard usług prywatnych firm wojsko-

wych, słaby nadzór i brak dowództwa. Historie o samowoli najemników krążyły na długo zanim wyszło na jaw, że tłumacze z firm CACI i Titan uczestniczyli w maltretowaniu Irakijczyków w więzieniu Abu Ghraib. – Ci chłopcy jeżdżą po Iraku w swoich ray-banach, bez powodu wystawiając broń z okien samochodów. Co mają o tym myśleć ludzie z Falludży? – pyta współpracownik wywiadu w Iraku.

TYSIĄCE PASKÓW

W pawilonie za kwatery główną Blackwater w Moyock panuje niezmacona atmosfera. Są hamburgery i grill, a na stoiskach firm zbrojeniowych najnowsze karabiny maszynowe, maski przeciwgazowe, kamizelki kuloodporne i okulary słoneczne. Na pokaz przyjechało wiele dużych firm – producenci broni Remington, Bushmaster Firearms i niemiecka firma optyczna Carl Zeiss. Jej przedstawiciel z dumą prezentuje podziękowania od najemnika w Iraku, któremu Zeiss wymienił celownik optyczny mimo braku karty gwarancyjnej.

Stoisko kosztuje 800 dolarów za dzień – dziś nawet małe firmy mogą pozwolić sobie na taki wydatek. Na przykład Sling System, która sprzedaje paski do broni maszynowej. Jej prezes godzinami pokazuje, o ile szybciej się strzela, używając jego pasków. – Interesy idą dobrze, szczególnie dobrze od 11 września, a bardzo dobrze od czasu wojny w Iraku – mówi przedsiębiorca. – Sprzedajemy o wiele więcej pasków. O tysiące więcej.

MARC HUJER

© SÜDDEUTSCHE ZEITUNG/IFA-SYNDYKAT AUTORÓW



Rozmowa z majorem KRZYSZTOFEM PRZEPIÓRKĄ, wiceprezesem Fundacji Byłych Żołnierzy Jednostek Specjalnych GROM

ŁUKASZ SOKOŁOWSKI: Czy macie umowę z Blackwater?

KRZYSZTOF PRZEPIÓRKA: Nie. Współpracujemy z inną firmą, ale jej nazwy nie ujawnię. Zastrzegła sobie anonimowość. (telefon od kandydata do wyjazdu)

Skąd jest ta firma?

– Ze Stanów. Jest równie renomowana co Blackwater. Mają przedstawicieli w każdym kraju, z którego rekrutują pracowników.

Czy Polacy zajmują się tylko ochroną, czy może uczestniczą też w przesłuchaniach więźniów? Czy walczą?

– Nie słyszałem, by proponowano pracę przy przesłuchaniach. Chętni, którym uda się przejść weryfikację, działają w trzech obszarach ochrony: osób, konwojów i obiektów. Kandydaci podpisują umowę bezpośrednio z firmą, a nie z nami. Każdy ma indywidualny kontrakt.

Zarabiacie na tym?

– Nie bierzemy ani grosza. Pomoc byłym żołnierzom jednostek specjalnych w znalezieniu pracy to zadanie statutowe naszej fundacji.

(telefon od kandydata do wyjazdu)

Czy jako fundacja mieliście kiedykolwiek kontakt z Blackwater?

– Jako fundacja nie. Ale świat żołnierzy jednostek specjalnych jest bardzo mały. Tam wszyscy świetnie się znają. Jeżdżą razem na misje po całym świecie, zawiązują znajomości i tak powstają kontakty. Firmy wojskowe mają wśród nich swoich ludzi i to oni prowadzą bezpośrednie rozmowy z żołnierzami. Teraz to zapotrzebowanie jest olbrzymie, więc i aktywność tych ludzi jest większa. Kiedy żołnierz ma już usługę, odchodzi i za jakieś większe pieniądze jedzie za granicę. W Polsce ma ograniczoną perspektywę zatrudnienia. Praca u bogatego biznesmena nie jest szczytem marzeń człowieka, który przez wiele lat aktywnie służył w jednostkach specjalnych.

Ilu byłych GROM-owców pracuje prywatnie w Iraku?

– Wciąż pytacie tylko o GROM. A przecież ten problem dotyczy wszystkich żołnierzy jednostek specjalnych. Jest Pułk Specjalny w Lu-

blinicy, jest 25. Brygada Kawalerii Powietrznej, 6. Brygada Desantowo-Szturmowa. Nam jako fundacji nie chodzi tylko o GROM. Chcemy pomagać też innym żołnierzom. Z tego, co wiem, w samym Iraku jest kilkunastu byłych żołnierzy jednostek specjalnych. Ale my nie monitorujemy dalszych losów ludzi, którzy odchodzą. Wielu ma kontrakty, o których nie mamy pojęcia. Ci dwaj koledzy, którzy zginęli dwa tygodnie temu, mieli właśnie taki indywidualny kontrakt.

(telefon od kandydata do wyjazdu)

Na czym polega wasza współpraca z amerykańską firmą?

– Prowadzimy wstępną selekcję kandydatów. Przyjmujemy ich CV, sprawdzamy, czy jest zgodne z prawdą i czy dany kandydat zna angielski na przyzwoitym poziomie. Bez tego

nie ma mowy o wyjeździe. Potem wysyłamy do firmy CV i to jest nasza rekomendacja. Wszystko trwa około dwóch tygodni. I tu nasza rola się kończy, bo firma kontaktuje się już bezpośrednio z wybranym kandydatem. Następnie jedzie on na miesięczny kurs przygotowawczy, doszkala się, zgrywa z zespołem i wyjeżdża na misję.

Gdzie są bazy treningowe?

– W USA i Anglii.

Pana kandydaci są już w Iraku?

– Weryfikacja trwa długo. Z ludzi, którzy zgłosili się do nas po pomoc, nikt jeszcze nie wyjechał. Często zdarza się, że ktoś obserwował kogoś podczas działań bojowych i od razu zaproponował mu kontrakt.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ SOKOŁOWSKI



Wszyscy czują się u nas jak u siebie w domu...

Z tego jesteśmy znani. Profesjonalna obsługa, prawdziwie domowa atmosfera oraz standard naszych pokoi i sal konferencyjnych przyciągają gości z różnych stron świata. Mamy tym samym powód do dumy, a odwiedzający pewność, że dokonali najlepszego wyboru. Zaufanie naszych gości to doskonała rekomendacja. Zapraszamy.

ORBIS HOTELS

ORBIS GRUPA HOTELOWA

SOFITEL

NOVOTEL

Mercure

ibis

ORBIS HOTELS

Rezerwacja: www.orbisonline.pl www.orbis.pl



Przemysław Jakubowski na czele protestu anestezjologów w 1998 roku. Walczyli o 200 złotych podwyżki i przegrali

JOANNA GORZELIŃSKA

17 tysięcy młodych lekarzy chce wyjechać za granicę, a Ministerstwo Zdrowia nie robi nic, żeby ich zatrzymać. Za kilka lat w Polsce zabraknie lekarzy

UCIECZKA BIAŁEGO KAPITAŁU

Muszę mieć trzech anestezjologów do operacji – mówi chirurg. – Ja mam bilet do Irlandii – odpowiada anestezjolog. Taki dialog można coraz częściej usłyszeć w polskich szpitalach. Nic dziwnego, w krajach Unii Europejskiej na polskich lekarzy czeka 30 tysięcy miejsc pracy. W izbach lekarskich od początku maja wrze jak w ulu – lekarze masowo zgłaszają się po potwierdzenie swoich kwalifikacji. Ministerstwo Zdrowia szacuje, że od 1995 roku na Zachód wyemigrowało ponad 15 tysięcy pol-

skich lekarzy. Teraz zbiera się druga fala. Według wstępnych szacunków kolejne 17 tysięcy lekarzy chce wyjechać z Polski za chlebem. – Nie wiem, czy skala jest rzeczywiście tak wielka, ale okres przejściowy na unijnych rynkach pracy nie dotyczy lekarzy. Ich dyplomy i specjalizacje są automatycznie uznawane. Znikły wszelkie bariery – mówi Konstanty Radziwiłł z Naczelnej Rady Lekarskiej.

PSYCHIATRA OD ZARAZ!

W Wielkiej Brytanii, Niemczech i państwach skandynawskich brakuje lekarzy.

Francuzi też marzą o polskich specjalistach. Polskę zasypały oferty pracy – roi się od nich w „Gazecie Lekarskiej”. Absolwenci medycyny nie tracą czasu – wysyłają CV do kilku zagranicznych szpitali jednocześnie.

– Największe zapotrzebowanie jest na anestezjologów, radiologów, medyków sądowych, histopatologów i psychiatrów. Potrzebni są też lekarze rodzinni, których w Polsce wciąż brakuje: na ponad 20 tysięcy miejsc mamy ich sześć tysięcy – wylicza Radziwiłł.

– Niedługo nie będzie się u kogo leczyć. Starsi lekarze przejdą na emeryturę, a mło-

dych nie będzie. W polskiej służbie zdrowia pojawiają się problemy kadrowe nie do odkręcenia – ostrzega Radziwiłł.

JĘZYK Z DOPŁATĄ

W Szwecji brakuje przede wszystkim lekarzy rodzinnych. Ci z miasteczek i wsi dawno uciekli do Sztokholmu albo do Norwegii, gdzie mogli więcej zarobić. Polski lekarz, który przyjeżdża do Szwecji, na stażu dostaje około 300 tysięcy koron rocznie (około 132 tysięcy złotych). Miejscowy lekarz specjalista, który ma już ugruntowaną pozycję zawodo-

– Żyję jak w raju – mówi Jakubowski po kilku latach pracy w Holandii. Rozmowa z lekarzem na następnej stronie

W POLSCE PRACUJE 89 TYSIĘCY LEKARZY. NA 100 TYSIĘCY MIESZKAŃCÓW PRZYPADA ICH 236. WE FRANCJI TEN WSKAŹNIK WYNOŚI 303, W NIEMCZACH 350, W SZWECJI 311, W BELGII 395, W HISZPANII 424. ZACHÓD EUROPY CHCE ZATRUDNIĆ 30 TYSIĘCY LEKARZY Z POLSKI. JEŚLI WYJEDZIE ICH TYLKO 17 TYSIĘCY (CZYLI CI, KTÓRZY CHCA WYJECHAĆ), NASZ WSKAŹNIK OBNIŻY SIĘ DO 189. BĘDZIEMY WTEDY NIEWIELE LEPSI OD RUMUNII (184), A ZNACZNIE GORSI OD BUŁGARII (345) CZY CZECH (303). I NIE POMOGĄ AKADEMIE MEDYCZNE, KTÓRE ROCZNIE DOSTARCZAJĄ OKOŁO DWÓCH TYSIĘCY ABSOLWENTÓW, BO CZĘŚĆ Z NICH RÓWNIEŻ WYJEDZIE ZA GRANICĘ, A JEDNOCZEŚNIE WIELU STARSZYCH LEKARZY ODCHODZI Z ZAWODU. (DANE EUROPEJSKIE ZA WHO, Z KOŃCA LAT 90.)

mówią lepiej po szwedzku niż Duńczycy. – Wiemy, że poziom nauczania w polskich uczelniach medycznych jest wysoki i w pełni odpowiada standardom europejskim – powiedziała Petersson.

Każdy polski lekarz zainteresowany pracą w Szwecji może się zgłosić do firmy Medena w podwarszawskim Konstancinie. Przed wyjazdem musi przejść kurs i zdać egzamin z języka szwedzkiego z terminologią medyczną. Intensywne kursy językowe organizuje i opłaca Medena. Lekarze w trakcie nauki języka mają też darmowe utrzymanie, wyżywienie i nieze jak na polskie warunki kieszonkowe, którego po zdanym egzaminie nie trzeba zwracać. Dlaczego za darmo? – Bo wykształcenie lekarza w Szwecji kosztuje sześć razy drożej niż przysposobienie polskiego lekarza do pracy – tłumaczą pracownicy Medeny.

SPECJALIZACJA ZA DARMO

Polscy lekarze wyjeżdżają głównie z powodu pieniędzy. Ale nie tylko. – Co roku medycynę kończy ponad dwa tysiące osób. Z tego tylko 700 ma szansę na specjalizację. Reszta jest praktycznie skazana na zasilenie grona bezrobotnych albo na wyjazd za granicę – mówi Radziwiłł. Budżet państwa zapewnia studentom medycyny sześcioletnie studia i rok stażu.

– Po siedmiu latach nauki lekarz nie jest jeszcze w pełni wykształconym profesjonalistą. Musi odbyć specjalizację – podkreśla Radziwiłł. Oburza go, że w Polsce podczas pięcioletniej specjalizacji lekarz miałby pracować za darmo. – To absurd. Ci ludzie po studiach bardzo często mają rodziny, które muszą utrzymać – tłumaczy Radziwiłł.

Jednak państwo umywa ręce od dalszego kształcenia studentów medycyny. Zdaniem prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej taka niekonsekwentna polityka nie leży w interesie ani lekarzy, ani tym bardziej pacjentów i jest bardzo krótkowzroczna. I co z tego, skoro politycy od lat powtarzają wciąż tę samą pieśń, że w budżecie nie ma pieniędzy na podwyżki dla lekarzy. – Należy zadać sobie pytanie, czy ratowanie służby zdrowia nie jest co najmniej równie ważne co dotowanie nierentownych kopalń, kolei i rolników – mówi Radziwiłł. Naczelna Rada Lekarska proponowała wielokrotnie, żeby pieniądze dla lekarzy pozyskać z wzrastającej składki zdrowotnej i akcyzy z papierosów. Ministerstwo Zdrowia milczało.

Nic dziwnego, skoro Agnieszka Gołąbek, rzecznik ministra zdrowia, od kilku tygodni nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy minister podjął jakieś kroki, żeby zatrzymać polskich lekarzy.



Warunki pracy lekarzy w zachodnich szpitalach są nieporównywalnie lepsze niż w polskich

Jeżdżę na rolnkach, gram w siatkówkę. Nie sprawdzam mojego konta, bo wiem, że tam po prostu muszą być pieniądze. Mój szpital jest bardzo wysoko w rankingach, pracuję ze świetnymi chirurgami. Nie walczymy ze sobą. W Polsce, jak się wchodziło na blok operacyjny, trzeba było odbiepieć rewolwer. Każdy chirurg chciał zrobić swoje, a anesteziolog musiał się na wszystko zgadzać albo walczyć, bo pacjent nieprzygotowany do operacji, ale trzeba operować. Znieczulałem trzy operacje i wychodziłem zmęczony, a tu znieczulałem 15 albo 20 i idę grać w tenisa.

Co pan czuje, jak tu przyjeżdża?

– Patrzę na moich kolegów i współczuję im. Błdzi, zmęczeni, sfrustrowani, a ja jak szczypiorek na wiosnę: opalony i szczęśliwy. Kiedy podejmowałem decyzję o wyjeździe, nie chodziło tylko o pieniądze, ale o to, że nie mogłem leczyć pacjentów najnowszymi lekami i najlepszym sprzętem, a rodzinom patrzeć w oczy i mówić, że zrobiłem wszystko, co możliwe. Nie zrobiłem, bo nie mogłem. Leczenie nie jest grą w pchełki, to jest często gra o życie. Prowadziłem oddział intensywnej opieki medycznej w Warszawie w szpitalu akademickim. Miałem 18-letniego chłopaka po wypadku i nie mogłem mu zrobić tomografii głowy, bo w tomografie brakowało jednej pieprzonej żarówki, a sprowadzenie jej kosztowało tyle, że szpitala nie było chwilowo stać, a ja nie mogłem chłopaka przewieźć do innego szpitala, bo nie wytrzymałby transportu. Nie wiem, co on ma w głowie, więc ślinię palec, patrzę, z której strony wiatr wieje, i przypuszczam, że pewnie ma to, ale pewności nie mam żadnej. To jest szaleństwo. Nie wiele brakowało, żebym już nie był lekarzem, ale kiedy w Holandii uśpiłem pierwszego pacjenta, wiedziałem, że nie mogę bez tego żyć.

Czy Holandia wciąż czeka z otwartymi ramionami na polskich lekarzy?

– Oczywiście, ale po co mówimy o Holandii? Niemcy są bliżej. Odgrazali się, że nie otworzą granic, szybko jednak zmienili zdanie, bo w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki nieudanej reformie (podobnej do polskiej), stracili jedną trzecią lekarzy. Wielu przeszło na wcześniejszą emeryturę, bo im się już nie opłacało pracować. Mój kolega, anesteziolog z Polski, na początku roku wysłał swoje CV do biura pośrednictwa w Niemczech i w ciągu tygodnia otrzymał odpowiedź, że chcą go w 10 różnych miejscach.

Myśli pan o powrocie do Polski, jeśli w naszej służbie zdrowia coś się zmieni?

– Zmienia się cały czas – na gorzej. Nie mogę wyskoczyć na dwie godziny na plażę.

W sprawie reformy zdrowia politycy muszą się dogadać ponadpartyjnie. Musi być jedna, sumiennie realizowana koncepcja. Ale to jest niemożliwe

ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM JAKUBOWSKIM, ANESTEZJOLOGIEM

JOANNA GORZELIŃSKA: Tysiące polskich lekarzy chcą wyjechać do pracy za granicę. Mają dość dramatycznego stanu polskiej służby zdrowia...

PRZEMYSŁAW JAKUBOWSKI: Gdybym w tej chwili skończył studia, nie zastanawiałbym się przez trzy minuty, tylko pakował manele i już by mnie tu nie było. Robiłbym specjalizację za granicą. To jest ogromna szansa dla młodych ludzi.

Kiedy pan podjął decyzję o wyjeździe?

– Przełomem był protest anesteziologów pod koniec 1998 roku. Miałem wtedy wszystkiego dosyć. Ale wszystko zaczęło się w 1995 roku, kiedy zapowiedziano ogólnopolski protest lekarzy, a w Warszawie nie miał kto protestować. Nie było związków zawodowych. Powiedziałem: „A co, będziemy tak stać i udawać, że jest super?”. Zwołałem zebranie w moim szpitalu i pierwszego dnia zapisałem do związku 180 osób. W ciągu dwóch tygodni było już dwa tysiące ludzi. Zadaaliśmy 200 złotych podwyżki. Po nieudanych rozmowach w ministerstwie dziennikarka z telewizji zapytała mnie, dlaczego chcę strajkować. Powiedziałem, że jak byłem studentem, za dobrą naukę dostawałem 480 złotych, a jako lekarz zarabiałem 450. To poszło w Polskę. Przez przypadek stałem się przywódcą – rzecznikiem protestujących anesteziologów. W końcu odmówiono nam przedłużenia kontraktów na naszych warunkach. 300 lekarzy zostało bez pracy, tylko w Warszawie 58 osób. Przez pół roku byłem bezro-

ziomie bez pieniędzy. Jeżeli płaci się ludziom godziwie, to ludzie pracują produktywnie. Bez względu, jak to fatalnie brzmi, to jest brutalna, lodowata prawda. Jeśli płaci się grosze, to nikt się nie przykłada, bo po co, i tak dostanie marne pieniądze, więc idzie do prywatnego gabinetu, żeby jakoś zarobić na rodzinę.

Gdzie popełniono błąd?

– Pierwsza ustawa o funduszu ubezpieczeń zdrowotnych, przygotowana przez Solidarność, była bardzo sensowna. Miał być konkurencyjny rynek usług zdrowotnych, zarobki uzależnione od produktywności. To była rewolucyjna ustawa, ale żeby się udała, potrzebne było 14 procent naszych dochodów. Jak AWS z UD doszedł do władzy, to Balcerowicz, który trzymał kasę, powiedział: guzik – będzie 7 procent. Minister zdrowia wytargował 7,5 procent. Nie da się zrobić medycyny za połowę ceny. Zawsze byłem zwolennikiem tak zwanego konserwatyzmu liberalnego: dać ludziom te 7,5 procent dochodów do ręki i niech się ubezpieczają, u kogo chcą, albo niech się w ogóle nie ubezpieczają i wtedy będą za wszystkie usługi płacić. Dzisiaj państwo zabiera z pensji 7,5 procent i niewiele oferuje.

Bo jesteśmy biednym krajem, w którym na wszystko brakuje. Ale założmy, że za kilka lat się uda...

– Jest pani marzycielką. Nie uda się. Nie ma takiej woli politycznej, dlatego że partia, która będzie chciała zrobić porządek z medycyną, musi przegrać następne wybory, bo ludzie zostaną obciążeni finansowo. Proszę mi pokazać, która partia chce przegrać wybory? Dlatego kolejne rządy upychają reformę zdrowia następcom. Sam minister zdrowia nie ma żadnej władzy, musi mieć obgadane z ministrem finansów, że dostanie pieniądze. Dzisiaj służba zdrowia to jest trup reanimowany. Każda władza dołożyła do tego swoją cegiełkę. Nie może być tak, że każda partia ma swoją koncepcję. Musi być jedna koncepcja realizowana sumiennie. Politycy muszą się dogadać ponadpartyjnie, tę reformę muszą zrobić razem. Widzi pani taką możliwość? Nie ma takiej możliwości.

Nie ma pan czasem ochoty, żeby tu wrócić i zrobić porządek?

– Przez dwa lata byłem w Naczelnej Radzie Lekarskiej i próbowałem coś zmienić. To były dwa stracone lata. Proszę mi wierzyć, nie będzie lepiej, bo nie może być. Powiem pani, co się wydarzy. Pod koniec roku pojawi się cudotwórca, który wyjedzie z jakąś koncepcją, tak jak było z Narodowym Funduszem Zdrowia. Wszyscy stwierdzą, że nie wiadomo, czy to jest dobra koncepcja, ale przecież jest tak fatalnie, że już gorzej być nie może. I cudotwórca udowodni, że może.

TEKST I ROZMOWA
JOANNA GORZELIŃSKA



Karlskrona

Gdynia

od 342 zł
+ opłata portowa*

Mam plan!

Promem dopłyniemy do skalistych wysp na południu Szwecji i przekonamy się, że warto zwiedzić Karlskronę. Odpocznimy w hotelu, może pojedziemy dalej...

* opłata portowa 12 zł od osoby

www.stenaline.pl, (058) 660 92 00

Stena Line
Making good time™

PRZEMYSŁAW JAKUBOWSKI, 41 LAT, LEKARZ ANESTEZJOLOG. SKOŃCZYŁ SZKOŁĘ MUZYCZNĄ I WARSZAWSKĄ AKADEMIE MEDYCZNĄ. ODBYŁ TEŻ ROCZNY STAŻ W OKS福德ZIE. W 1999 ROKU STANĄŁ NA CZELE PROTESTU ANESTEZJOLOGÓW. ZWOLNIONY, Z WILCZYM BILETEM PRZEZ PÓŁ ROKU SZUKAŁ PRACY W POLSKIEJ SŁUŻBIE ZDROWIA. BEZ SKUTKU. WRESZCIE WYŚLAŁ CV DO PIĘCIU SZPITALI W HOLANDII. WSZYSTKIE CHCIAŁY GO ZATRUDNIĆ. WYBRAŁ DIRKSLAND NIE DALEKO ROTTERDAMU, GDZIE ZAPROPONOWANO MU NAJLEPSZE WARUNKI. ZAMIAST 800 ZŁOTYCH ZARABIA DZIŚ 25 RAZY WIĘCEJ

Tkwimy między młotem populistów w biało-czerwonych krawatach
a kowadłem zapatrzonego w siebie zbawcy Ojczyzny Jana Rokity.
Wybrać socjalnych „barbarzyńców” czy liberalnych „złodziei”?
Bójmy się, ale nie tracimy nadziei!

PLATFORMA SAMOOBRONY

Coś się kończy, coś zaczyna — pomyślał nieboszczyk, leżąc w przysypywanej ziemią trumnie i słuchając szlochów swoich krewnych i znajomych. W podobnej sytuacji znajduje się nasz kraj, któremu wcześniej czy później (z przewagą tego pierwszego) grożą przedterminowe wybory. Tak, grożą, bo w ich wyniku możemy się obudzić w kraju, gdzie władzę będą dzierżyć bądź Samoobrona, bądź też PO. Teoretycznie nie powinienem wymieniać tych sił obok siebie, ale zwycięstwo którejś z tych partii ma szansę niebezpiecznie podwyższyć poziom populizmu w polskiej polityce. Naprzeciw siebie stoją socjalni „barbarzyńcy” i liberalni „złodzieje”, którzy nie szczędzą sobie nawzajem inwektyw i złośliwości będących doskonałym źródłem błyskotliwych cytatów w prasie i telewizji.

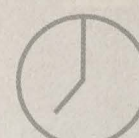
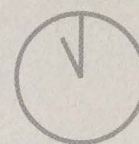
Problem polega na tym, że obie partie nie przedstawiają jakiegokolwiek realnej wizji Polski, a jedynie karmią złudzeniami swój potencjalny elektorat. Partia biało-czerwonych krawatów walczy o minimum socjalne w wysokości 900 złotych dla każdego, partia uśmiechniętej Polski gwarantuje liniowy, 15-procentowy podatek dla wszystkich. Na pytanie, skąd wezmą pieniądze na takowe przedsięwzięcia, odpowiadają zdumiewająco podobnie — mają pomysły. Andrzej Lepper weźmie bogatym, Jan Rokita polikwiduje agencje rządowe — wszystko będzie piękne i ułoży się jak trzeba. Problem leży w tym, że jest to mało prawdopodobne. Nikt nie powie tego otwarcie, ale przy obecnych warunkach politycznych i gospodarczych wprowadzenie pełnego modelu liberalizmu jest niewykonalne. Rezygnacja z pomocy państwa dla ubogich i ofiar przeprowadzanej nie zawsze z powodzeniem transformacji ustrojowej będzie oznaczać konserwację sta-

go, około 15–20-procentowego poparcia dla partii skrajnych i populistycznych, w których rozgoryczony i zepchnięty na margines elektorat będzie widział swoją ostatnią deskę ratunku. Pozbawieni praw gospodarczych mieszkańcy PGR-ów czy byli pracownicy upadłych przedsiębiorstw mają nadal prawa wyborcze, o czym zapominają wszyscy ci, którzy zastanawiają się nad fenomenem Samoobrony. Wszyscy eksperci, którzy chcą zmian w europejskiej polityce rolnej w imię wolnego rynku, nie liczą się z tym, że rolnicy, którzy w większości do bogatych nie należą, stracić mogą jedną z ostatnich szans na modernizację i godne życie. Myślenie o gospodarce jako o systemie, w którym należy odebrać biednym, by reszta mogła żyć jako tako, jest głębokim błędem, o którym będziemy mogli się przekonać, jeśli w porę nie wyciągniemy odpowiednich wniosków. Kolejną bolączką trawiącą nasz kraj jest to, że tak naprawdę nie mamy prawdziwych liberałów — ludzi dbających o rozwój wolności i praw obywatela, dla których myślenie o gospodarce jest tożsame z myśleniem o ludziach. Jeśli za dowód na liberalizm uznamy sytuację, w której radni PO w Krakowie podpisują się pod protestem przeciw parady gejów i lesbijek, to pozostaje mieć nadzieję, że był to odosobniony „wypadek przy pracy”. Gdy z kolei szef NBP Leszek Balcerowicz, uznawany za liberała, mówi o tym, jaką wielką szkoda jest obniżenie przez państwo akcyzy o 5 groszy z powodu rekordowo wysokich cen paliwa, pozostaje tylko usiąść i zapłakać nad tymi, dla których kieszenie Polaków mają tak zdumiewająco małe znaczenie. Dbalność o pieniądze bez dbałości o ludzi naprawdę ciężko podciągnąć pod termin liberalizmu, który ma ich w końcu zachę-

cać do brania spraw we własne ręce. Bój się, że w wypadku, gdy marzenia o niskim podatku liniowym bez żadnych ulg się spełnią i w ich wyniku powstanie luka w budżecie, nie będzie ona łataną przez tych, którzy mają pieniądze, lecz przez wszystkich dotychczasowych beneficjentów państwa opiekuńczego. Jest rzecz jasną i oczywistą, że obecny system zasiłków i zapomóg ma wiele luk, z których korzystają ludzie, którzy na brak pieniędzy nie narzekają. Nigdy jednak dziury w tamie nie łąta się wysadzeniem jej w powietrze, a już na pewno nie w sytuacji, gdy taki a nie inny procent społeczeństwa możemy bezpowrotnie stracić dla demokracji i wolnego rynku. Gospodarka bez regulacji jest rzeczą pożądaną, podobnie jak mądry i odpowiedzialny liberalizm. Obecne gaszenie pieniędzmi publicznymi doraźnych niepokojów społecznych przy braku inwestycji państwa w naukę i kulturę musi zostać zatrzymane. Nie może jednak być zastąpione przez obcinanie wszystkim po równo i przez wprowadzanie opłat za leczenie czy dostęp do studiów wyższych, bo to zniszczy nas wszystkich szybciej, niż możemy się spodziewać. Młode społeczeństwo w naszym kraju jest faktem, młode pozbawione wykształcenia społeczeństwo — wizja, na którą zgodzić się nie możemy. Niezależnie od tego, kto obejmie władzę — czy ugrupowanie, w którym odzwierciedlają się głosy domagające się przeniesienia stolicy Polski i nacjonalizacji firm, czy też stronnictwo zapatrzonego w siebie Jana Rokity, widzącego się już w roli zbawcy Ojczyzny — należy mieć niezbędną nadzieję. Nadzieja rodzi działanie, a działanie wymaga wyboru — niezależnie od tego, czy będzie ku temu okazja w sierpniu, październiku czy na wiosnę.

BARTŁOMIEJ KOZEK

KLASA IC I LO IM. J. SŁOWACKIEGO W PRZEMYSŁU
BUSZKOWICE, 15.05.2004



Oferta Specjalna

Portfela Inwestycyjnego i lokaty terminowej

Oprocentowanie stałe lokaty

7%

Tylko do 30 czerwca 2004 r. inwestując w Portfel Inwestycyjny
możesz skorzystać z 3-miesięcznej lokaty terminowej
o oprocentowaniu stałym 7% w skali roku!

Odwiedź najbliższy oddział Citibank Handlowy
lub zadzwoń: 0 801 605 605

(koszt połączenia: cena 1 impulsu + VAT wg taryfy TP za każdą rozpoczętą minutę połączenia)

www.online.citibank.pl

Bank Handlowy w Warszawie SA
Sektor Bankowości Detalicznej
ul. Goleśzowska 6, 01-249 Warszawa

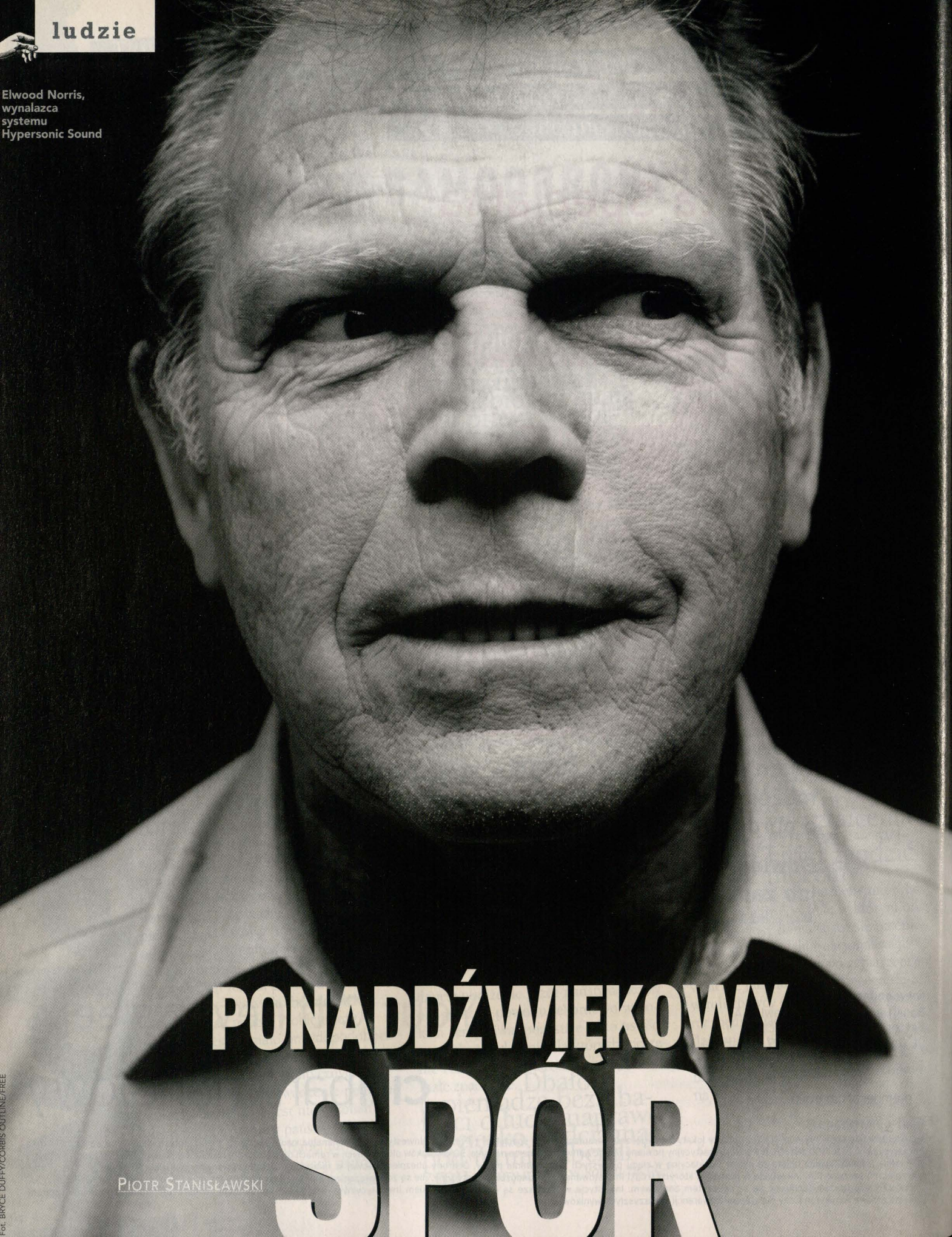
A member of citigroup

Your Citi never sleeps

citibank handlowy

Oprocentowanie stałe 7% w skali roku dotyczy lokaty 3-miesięcznej w ramach oferty specjalnej z Portfelem Inwestycyjnym. Minimalna kwota lokaty to 5 000 złotych. Minimalna wartość Portfela Inwestycyjnego to 10 000 złotych. W Portfel Inwestycyjny powinno zostać zainwestowane co najmniej 50% środków ułożonych w ramach oferty z lokatą terminową. Całkowite lub częściowe wypłaty z Portfela Inwestycyjnego objęte są opłatą likwidacyjną w ciągu pierwszych 5 lat trwania polisy. Ochrony ubezpieczeniowej w ramach Portfela Inwestycyjnego udziela Nationwide Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie S.A. Inwestycje w fundusze, których środki inwestowane są w fundusze inwestycyjne, nie są zobowiązaniem ani nie są gwarantowane przez Bank Handlowy w Warszawie SA. Jednostki uczestnictwa funduszy nie są depozytem bankowym. Inwestycje w fundusze są obciążone ryzykiem inwestycyjnym, włącznie z możliwością utraty części zainwestowanego kapitału. Dotychczasowe wyniki funduszy nie stanowią gwarancji ich przyszłych wyników.

Elwood Norris,
wynalazca
systemu
Hypersonic Sound



PONADDŹWIĘKOWY SPÓR

PIOTR STANISŁAWSKI

F. Joseph
Pompe
twórca Audi
Spotlight



Dwa wybitne umysły i dwie zupełnie różne historie. Właśnie rodzi się niezwykle wynalazek, który ma dwóch ojców. Jednak historia uczy, że ludzie zapamiętają tylko jednego z nich. Tylko którego?

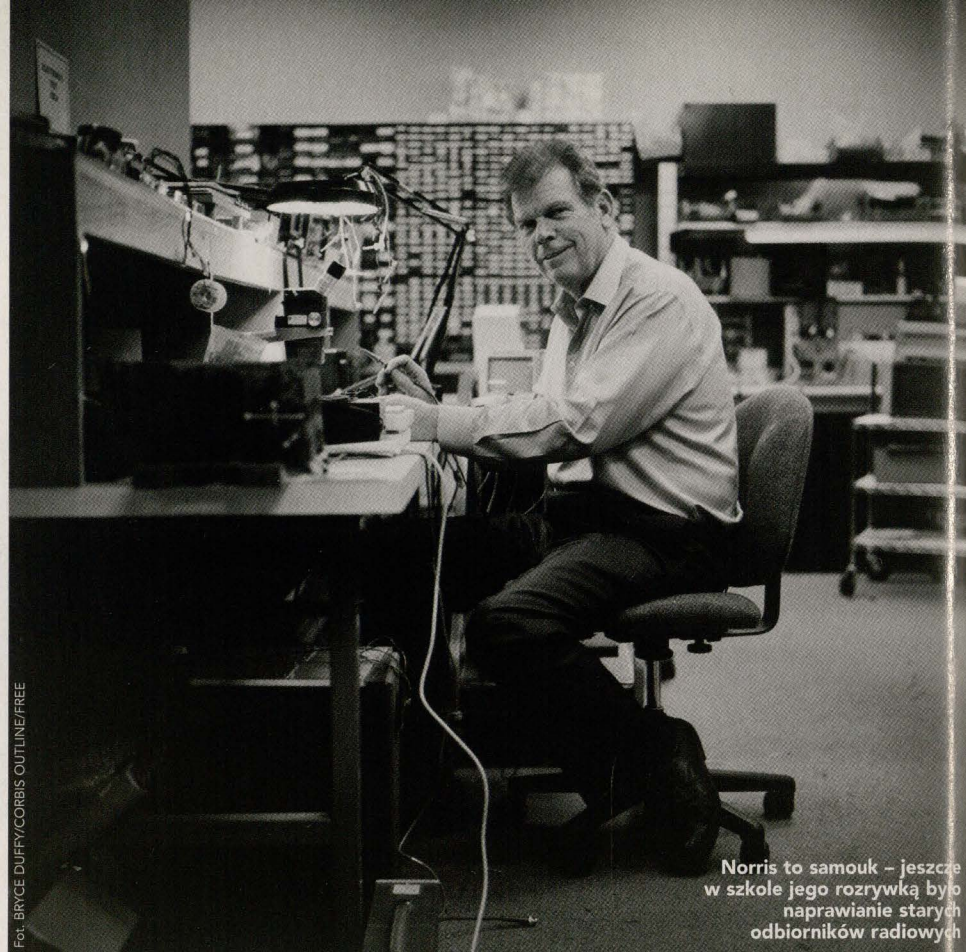
Tym razem nie chodzi o taki wynalazek jak niesławny Segway zwany Gingerem – żalosne skrzyżowanie taczki ze skutermem, które rzekomo miało zrewolucjonizować świat.

Tu w ciągu najbliższych czterech czy pięciu lat pojawią się tysiące zamówień i miliony dolarów. Dostanie je jeden z dwóch

Amerykanów – Elwood Norris lub F. Joseph Pompei. Obaj wynaleźli to samo – system kierunkowych głośników wysyłających dźwięk precyzyjnie niczym promień lasera. Po co?

Wyobraź sobie system kina domowego. Jest 1 w nocy, w pokoju obok śpią małe dzieci, a żona zasnęła nad książką. Tymczasem ty oglądasz właśnie „Helikopter w ogniu” – dźwięk rozkręcony na pełny regulator, żądnych słuchawek, otaczają cię wybuchy, strzały, krzyki, ryk silnika. Tyle że słyszysz je tylko ty – wystarczy, że wstaniesz z kanapy, a wszystko cichnie, słychać tylko niewyraźne echo ścieżki dźwiękowej.

Albo inaczej – w samochodzie jedzie cała rodzina. Mama za kierownicą słucha Tiny Turner. Tata ostrzej – Black Sabbath. Syn podryguje w rytm Linkin’ Park, a córeczka o niewyrobinym guście katuje się Britney Spears. Oczywiście każdy słyszy tylko własną muzykę.



Norris to samouk – jeszcze w szkole jego rozrywką było naprawianie starych odbiorników radiowych

W ciągu pięciu lat technologia dźwięku kierunkowego zawładnie rynkiem, a jej wynalazca zarobi miliony

Takich przykładów są tysiące – już teraz wynalazek chce kupić DaimlerChrysler, Sony, Cisco i Steelcase. Tylko który wynalazek – Audio Spotlight czy Hypersonic Sound? Oba pomysły są niemal identyczne, choć ich twórcy zupełnie różni.

SAMOUK I YUPPIE

65-letni Elwood Norris, zwany Woodym, to samouk. Jedyne kierunkowe wykształcenie techniczne, jakie zdobył, pochodzi sprzed 40 lat – kiedy był w wojsku, pracował przy radarach. Armia skierowała go wtedy na półroczny kurs elektroniki – sporo się tam nauczył, choć dryg do lamp i tranzystorów miał od zawsze. Jeszcze w szkole brał z pobliskiego warsztatu radia w beznadziejnym stanie i sprawiał, że znowu działały.

Jednak pierwsze większe pieniądze na elektronice zarobił, gdy odszedł z wojska i pewna firma z Utah zleciła mu wymyślenie „czegoś medycznego”. Woody wykorzystał jeden z pomysłów podpatrzonych w wojsku i w obudowie od zwykłej latarki zmontował

coś na kształt sonaru do badania wnętrza ciała. Dziś po udoskonaleniu takie urządzenia służą do wykonywania sonogramów dziecka w brzuchu matki.

Jednak wtedy Norris opatentował swój wynalazek i dostał za niego 50 tysięcy akcji firmy. Niezbyt znał się na giełdzie, więc trochę zapomniał o sprawie. Rok później okazało się, że każda akcja warta jest osiem dolarów. Szczęśliwy posiadacz 400 tysięcy porzucił pracę, w której zarabiał 400 dolarów miesięcznie, i zabrał się na serio do wynalazczości. Wymyślił radio wielkości aparatu słuchowego, jednoosobowy helikopter i lokalizator namierzający zaginione dzieci. Zarobił na tym wszystkim niemal 10 milionów dolarów, jednak to dopiero Hypersonic Sound może mu przynieść naprawdę ogromne pieniądze.

Może, chyba że zwinie mu je sprzed nosa konkurent – F. Joseph Pompei. Dziarski, doskonale wykształcony 30-latek oszałamia swoim CV, ale nie może pochwalić się zbyt dużym doświadczeniem. Jego wersja systemu kierunkowego dźwięku Audio Spotlight

to pierwszy większy wynalazek na jego koncie. Większość zawodowego życia spędził u dużego producenta głośników – firmy Bose. Jako 16-latek był najmłodszym inżynierem tej firmy. Ale, jak sam twierdzi, zarząd Bose „nie był zainteresowany wysłuchiwaniami o przyszłości systemów audio od 20-latka”. Zrezygnował więc z pracy i zrobił doktorat z psychoakustyki. Z tak doskonałym przygotowaniem zdecydował się na założenie własnej firmy Holosonic, która zajęła się systemem Audio Spotlight.

Młody, ambitny yuppie ma to wszystko, czego brakuje Norrisowi – wykształcenie, praktykę u producenta głośników, nieskażony wiekiem zapach. Brakuje mu jednak doświadczenia i wyczucia rynku, a to może go wiele kosztować.

DŹWIĘK Z POWIETRZA

Jak to możliwe, że dwóch ludzi niezależnie od siebie wpadło na ten sam pomysł i rozwinęło go w ten sam sposób? Tak naprawdę idea kierunkowego dźwięku nie jest nowa. Prace nad podobnym rozwiązaniem prowadzone są już od niemal pół wieku. Największy postęp miał miejsce na początku lat 80., kiedy kilka dużych japońskich korporacji włożyło mnóstwo pieniędzy w badania. Udało im się osiągnąć niezłe efekty, ale nie

bez abonamentu

NOKIA za 1 zł*

MIX korzyści

80 gr z VAT na stacjonarny

telefon na karte od 1 zł*

- Połączenie samych korzyści.
- Pełna kontrola kosztów i markowe telefony od 1 zł.

- Bez abonamentu, bez rachunków.
- Na stacjonarny tylko 80 gr z VAT za minutę.

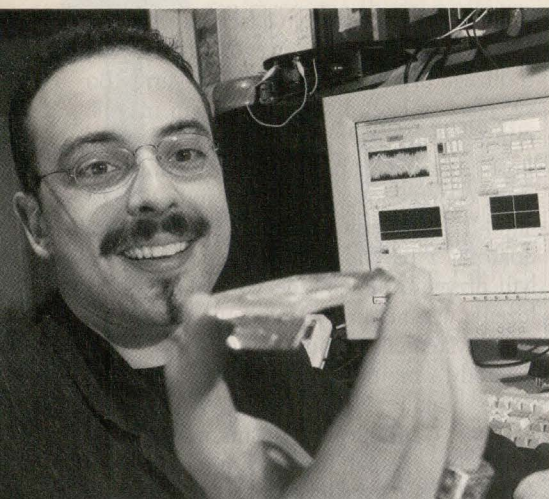


NOKIA 3310
za 1 zł
* (1,22 zł brutto)

NOKIA 3510i
od 19 zł
(23,18 zł brutto)

Sprzedaż i Informacja
0801 400 601
www.plusgsm.pl

mixPlus
GSM



F. Joseph Pompei odebrał staranne wykształcenie – ma 30 lat i doktorat z psychoakustyki

technologii i pomysłów wykorzystanych w obu systemach. Pompei pokpił sprawę – ma tylko dwa patenty, z których w pełni uznany został jeden. Mogłoby się więc wydawać, że sprawa jest przesądzona. Jednak historia pokazała już niejednemu raz, że patent, choć ważny, nie jest wszystkim. Nawet najlepszy papier w rękę nie jest wart ani centa, dopóki ktoś nie zechce za niego zapłacić.

W poszukiwaniu inwestorów Pompei wyrwał się do przodu. W 2001 roku jego Audio Spotlight znalazł się w kręgu zainteresowań jednego z największych producentów samochodów na świecie – firmy DaimlerChrysler. Zamontowano próbną wersję systemu w jednym z koncepcyjnych samochodów. W zasadzie wszystko działało, choć inwestor nie był

Urządzenia Norrisa i Pompei są identyczne. Walka nie toczy się o to, kto jest lepszy, ale kto okaże się sprytniejszy

zachwycony – odbicia dźwięku od siedzeń i szyb psuły efekt izolacji poszczególnych stref dźwięku. Pomysł odłożono na półkę.

Z okazji skorzystał Norris – dogadał się z DaimleremChryslerem, pokazując im swój Hypersonic Sound przygotowany tak, by wyeliminować niedociągnięcia konkurenta. Firma jest zainteresowana, ale do całego przedsięwzięcia podchodzi dość ostrożnie.

Inaczej Sony – tu Woody Norris nawiązał ścisłą współpracę i firma szykuje się do dystrybucji w Europie pierwszej generacji ekranów plazmowych z systemem dźwięku kierunkowego. Mają z nich skorzystać centra handlowe, banki czy muzea, którym zależy na zachowaniu ciszy, a jednocześnie dotarciu z komunikatem do zainteresowanych osób.

Na razie przeszkodą jest cena – każdy zestaw to praktycznie ręczna robota, której koszt znacznie przekracza tysiąc dolarów. Do masowej dystrybucji system może wejść, gdy jego cena spadnie 10-krotnie. To realne, choć wymaga jeszcze sporo badań i wdrożenia masowej produkcji.

Ten właśnie etap jest marzeniem i celem obu wynalazców. Zwycięży i zgarnie główną nagrodę tylko jeden. Wykształcony młokos czy stary wyjadacz samouk? Zobaczmy. Pewne jest tylko to, że za kilka lat w naszych domach zagra jeden z dwóch systemów kierunkowego dźwięku.

PIOTR STANISŁAWSKI

KORZYSTAŁEM Z TEKSTU „THE SOUND WAR” EVANA I. SCHWARTZA Z „TECHNOLOGY REVIEW” ORAZ MATERIAŁÓW Z INTERNETU

Wielkie wynalazki często miały kilku ojców. Tak było z telefonem. Równocześnie wynaleźli go Graham Bell i Elisha Gray. Obie technologie były niemal identyczne. Czemu więc to nazwisko Bella zostało na zawsze związane z wynalazkiem? Gray popełnił największy błąd swojego życia, spóźniając się dwie godziny do biura patentowego. Bell, choć szybszy, opatentował urządzenie, które nie działało, a na dodatek nie pokazał pracującego prototypu. Mimo to po dwóch latach sporów oficjalnie patent przyznano Bellowi. Jeszcze inaczej miała się sprawa z żarówką. Nie wymyślił jej wcale Thomas Edison, tylko niejaki Joseph Swan. 10 lat wcześniej opisał swój wynalazek i opatentował go w Wielkiej Brytanii. Na publikację w „Scientific American” natrafił Edison i nie krępując się specjalnie, zerznął pomysł, nieco go udoskonalając. Po długich bojach sąd nakazał Edisonowi włączenie Swana w zyski z wynalazku. Na dobitkę okazało się, że również w USA patent nie został przyjęty, bo wcześniej podobne rozwiązanie zgłosił nikomu nieznany William Sawyer. Jednak Edison okazał się najlepszym marketingowcem i biznesmenem z całej trójki – to on założył firmę znaną później jako General Electric i zdołał przejąć całą sławę. (PST)



Pioneer w każdym z nas

Mówisz fundusz – myślisz Pioneer. Nic dziwnego! Jesteśmy największym towarzystwem funduszy inwestycyjnych w Polsce. Od 12 lat pomnażamy Twoje pieniądze. Fundusze inwestycyjne Pioneer wybrało już ponad 300 tysięcy Polaków. Dlaczego? Bo jesteśmy profesjonalistami. Tak jak Ty.

Prospekty informacyjne funduszy inwestycyjnych zarządzanych przez Pioneer Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. zawierające szczegółowy opis czynników ryzyka związanego z inwestowaniem w te fundusze są dostępne u prowadzących dystrybucję oraz w Internecie: www.pioneer.com.pl



Fundusze Inwestycyjne



jak WYTRZYMAĆ z Joanna CHMIELEWSKĄ

Oto instrukcja
obsługi
najpopularniejszej
dziś polskiej pisarki.
Czy może raczej
naszej
jednoosobowej
fabryki książek

DANE TECHNICZNE

Moc przerobowa: 2–3 książki rocznie (właśnie ukazała się 50. – „Kocie worki”).

Wytrzymałość: wysoka. Szczególna skuteczność w walce z ruską mafią i polskimi prokuratorami.

Napęd: bób, ostrygi i czerwone wino.

Autoryzowany salon naprawy: Krynica Morska¹.

Symbol jakości: pisarka otrzymała ostatnio Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

POSTANOWIENIA OGÓLNE

Joanna Chmielewska to osoba, do której nie należy podchodzić bez niniejszego instruktażu. W przeciwnym wypadku zetknięcie z obiektem może się skończyć dla potencjalnego kandydata w szczególnie przykry sposób – bezlitosnym opisaniem nas z wszelkimi detalami w jednej z jej książek, w najłagodniejszym przypadku. Jeśli jesteśmy kobietą – obrzuceniem klątwą: „Zasługujesz na to, żeby wyjść za mąż”².

NALEŻY

1. Zaopatrzyć się w dobry korkociąg, chociaż tych w domu Joanny Chmielewskiej dostatek. Powód? Liczni dostarczyciele wina, którzy właśnie dom pisarki wybrali sobie na jedno z miejsc do jego degustacji. Zakrapiane boskim trunkiem wieczory przypadają kilka razy do roku – goszczą na nich przyjaciele i rodzina pisarki, którzy często korzystają z okazji do zakupu rzadkich czerwonych win.

2. Obrzucić ją urozmaiconymi dosadnymi przekleństwami dotyczącymi jej:

- upiornego wyglądu,
- podeszłego wieku,
- upiornego charakteru,
- uwłaczającej umysłowości,
- głupich upodobań,
- butów, które były modne w ubiegłym sezonie, a najlepiej dwa lata temu,
- nieuporządkowanej koafiury, nieudane go makijażu itd., itp.,

za każdym razem, kiedy obstawia typy na wyścigach konnych bądź zaczyna grać w kasynie. Jak twierdzi, przynosi jej to szczęście (podobnie jak żółte majtki).

3. Mieć poczucie humoru. Przymiot ten pisarka ceni u ludzi jako jeden z najistotniejszych. – Powaga jest tarczą głupców – mówi. A dowcip ceni każdy – im bardziej wyrafinowany, tym lepiej: – Para siedzi na ławeczce w parku. Ona: „Paluszek mnie boli”. On całuje ją w rękę. Ona: „Och, już mi lepiej”. On całuje ją w szyję. Ona: „Och, kochanie, coraz lepiej”. To on ją w policzek. Ona: „Kochanie, czuję się świetnie!”. Z sąsiedniej ławki odzywa się facet: „Panie, a hemoroidy też pan leczy?”.

4. Przyzwyczaić się do wrodzonej gadatliwości obiektu. Odpowiedź na jedno pytanie zajmuje mu przeciętnie od 5 do 45 minut. Odpowiedź do wyczerpujących trudno jed-

nak zaliczyć. Jej uzupełnienie to z kolei przeciętnie 15 minut. Czas łączny waha się więc od 20 do 60 minut³.

5. W rzadko stwierdzonym przypływie depresji włączyć jej jeden z filmów z Bondem, którego Joanna Chmielewska jest wielką miłośniczką. Jej kolekcja filmów na wideo liczy kilkadziesiąt tytułów. Komplet odcinków seriali „Miodowe lata” i „07 – zgłoś się”, seria „Różowej pantery”, a także adaptacje filmowe powieści Agathy Christie i Jane Austin to tylko część jej kolekcji. Ta ostatnio wzbogaciła się także o pięć odcinków nadawanego na Discovery i polskich kanałach dokumentu w odcinkach „Grubasy” o Amerykankach obdarzonych nadmierną tuszą. Joanna Chmielewska uwielbia je oglądać, bo – jak twierdzi – oglądając, czuje się szczuplejsza.

6. Nauczyć się instrukcji obsługi stojącej w jej kuchni automatycznej zmywarki. Wkładanie brudnych sztućców bezpośrednio do zlewu spotyka się z protestem, którego natężenie dźwiękowe z trudem mieści się w jakiegokolwiek skali. Sztućce do zmywarki należy wkładać z pietyzmem – noże obok siebie, wierzchołkami w dół, obok widelce.

7. Podlewać kwiaty w ogródku. Ten zaskakuje co roku – w pozornie nieobsianych miejscach wyrastają niespodziewane okazy flory. To zjawisko ma swoją prostą przyczynę: Joanna Chmielewska wysiewa nasiona, po czym o nich zapomina. Rosną same i nie mają pretensji. Ostatnio ogród wzbogacił się o rzadki okaz magnolii.

NIE NALEŻY

1. Podchodzić do niej przed 11 rano. Pisarka w tym czasie nie należy – oględnie mówiąc – do najuprzejmych. W najlepszym razie można od niej usłyszeć: „Wypchaj się”, ewentualnie to, co przyjaciółka, dziennikarka Marta Węgiel: „Cholerny skowronek”. W godzinach przedpołudniowych kontaktu z pisarką dostępuje tylko 14 (słownie – czternaście) kotów, które zwabione świeżymi rybami odwiedzają ją o tej porze na ganeczku od strony ogródka.

2. Zadawać jej pytań, skąd czerpie pomysły do książek. Za to pytanie Chmielewska jest skłonna – co potwierdzają świadkowie – zabić. W wymyślaniu pytań wymagana jest wysoka inwencja własna. Może nas bowiem spotkać sytuacja, która zdarzyła się jednemu z dziennikarzy kilka lat temu. Chmielewska zgodziła się na udzielenie wywiadu. Pytania dziennikarza uznała jednak za nie dość interesujące, więc zaproponowała wymyślenie lepszych i – rzecz jasna – udzielenie odpowiedzi. Wywiad ukazał się kilka tygodni później, a Joanna Chmielewska zgarnęła honorarium jako jego autorka.

3. Nastawiać stojącego w jej salonie telewizora na kanał, na którym nadawany jest program kulinarny. W ciągu kilku ostatnich lat udało jej się schudnąć 14 kilogramów. Jak stanowczo nadmienia – dzięki ogromnym wyrzeczeniom. Co jadła w tym czasie? Informacja

TEKST KAMIL GRYGOROWICZ
ZDJĘCIA RAFAŁ MASŁOW/MELON

może się wydać dziwna, ale jest sprawdzona – gotowany bób. To menu urozmaicane było ostrygami z uwagi na zawartość chromu, którego Chmielewska jest wielką zwolenniczką.

4. Zawracać jej głowy. Rezerwę wolnego czasu przeznacza na pracę zawodową. Trudno ją oderwać od komputera, na którym pisze kolejne powieści. Jak maszyna, czasem po osiem godzin dziennie i niejednokrotnie – jak obecnie – kilka naraz⁴.

5. Dyskutować z nią na temat polskiego prawa, a w szczególności – kary śmierci. Oba te tematy podnoszą jej ciśnienie, co ze względu na przypisane pisarce parametry techniczne nie jest wskazane. Wielokrotnie pytano ją o stosunek do kary śmierci, której jest zwolenniczką (ale na ściśle określonych zasadach). Odpowiedzi jednak wyjmowano z kontekstu, w związku z czym pisarka przestała mówić na ten temat.

6. Szukać w jej obecności czegośkolwiek. Mało co doprowadza ją do podobnej furii jak poszukiwanie przedmiotu zgubionego w zakamarkach jej domu.

7. Wyrzucać w jej obecności czegośkolwiek. Pisarka postępuje w myśl złotej zasady, że wszystko może się jeszcze kiedyś przydać. To jednocześnie jedna z kilku przyczyn, dla których kilka lat temu przeniosła się z 50-metrowego mieszkania przy ulicy Dolnej do okazałej willi w Wilanowie. W tej ostatniej coraz bardziej brakuje jej już jednak miejsca.

8. Prosić o kawę. Tę pisarka posiada tylko w postaci rozpuszczalnej. Szczelnie zamknięty słoiczek stoi w najodleglejszym kącie kuchennego kredensu, a ekspres do kawy – na najwyższej półce (pisarka do dziś nie umie go obsługiwać). Pisarka pije niemal wyłącznie herbatę, najchętniej Earl Grey. Do przyrządzenia naparu używa specjalnego czajniczka z profilowanym dziobkiem. Dokładnie takiego, jakiego używało się przed wojną.

9. Włączać przy niej muzyki powszechnie określanej młodzieżową. Pisarka: – Ja jej nie rozumiem. Teksty są tak głupie, że to woła o pomstę do nieba. Nie zliczę już, ile razy, bo że więcej niż 50, to pewnie, w radiu puszczają taką piosenkę: „Chciałbym być sobą, chciałbym być sobą wreszcie”. I ja już mam tego dość, i ja mówię do tego radia: To bądź sobą, do cholery, co ci w tym, na litość boską, przeszkadza... Wciąż mnie tym maltretują, wciąż i na okrągło. Albo druga – „Przeleć mnie”. Dziewczyna to śpiewa. To ja się dziwię bardzo – jej chłopak to impotent, przepraszam bardzo, czy co...?

10. Plagiatować jej książki. Do tej pory zdarzyło się to dwukrotnie. Plagiatu dokonały dwie debiutujące pisarki, które z książek Joanny Chmielewskiej wycięły całe zdania. – To kretynki pierwszej wody. Pierwsza z nich była nawet na tyle głupia, że napisała do mnie list z prośbą o pomoc w wydaniu kolejnej książki, ponieważ wydawnictwo nie chce jej przyjąć do druku. Zatkąło mnie dość doszczętnie. No bo jak to? No jasne, można plagiatować,

Chmielewska – łamaczka serc wydziału architektury w latach 50.



Pojawiały się plagiaty jej książek. – Jedna z autorek była tak głupia, że napisała do mnie po pomoc w wydaniu kolejnej książki, bo wydawnictwo nie chce jej przyjąć do druku – mówi Chmielewska

ale potem, na litość boską, nie dzwoni się do autora i nie prosi: pomóż mi cię splagiatować – wspomina pisarka. Wraz ze swoim plenipotentem Tadeuszem Lewandowskim podjęli właśnie decyzję o nieskładaniu sprawy do sądu. Jak tłumaczą – nie chcą dostarczać dorosłym autorom reklamy.

11. Zbliżać się do regałów ustawionych w jej pracowni na parterze. Na tych zgromadzona jest cała kolekcja powieści Agathy Christie, której pisarka jest zapaloną czytelniczką. Pracownia to swoiste sanktuarium pisarki. Wstęp do niej jest możliwy, ale za specjalnym pozwoleniem i przyuczeniem. Pisarka pod żadnym pozorem nie pozwala dotykać leżących w niej papierów, a także – komputerów. Nie należy także podłączać stojących w tej pracowni dwóch komputerów do Internetu. Na tychże

urządzeniach powstają kolejne powieści. Zainstalowany w komputerze Internet mógłby grozić ich zagładą. Propozycję jego zainstalowania pisarka odrzucała już wielokrotnie. – A jak mi ktoś wejdzie do komputera i ukradnie tekst?! – awanturuje się.

12. Chodzić w jej ulubionym granatowym szlafroku frotté. Tego przywileju dostępuje tylko kilka najbliższych przyjaciółek. Generalnie szlafroków i ręczników Joanna Chmielewska posiada kilkadziesiąt – wzbogaconych do kompletu ręcznikami w tym samym, ulubionym kolorze – beżowym. Kupowane w Paryżu od lat stanowią jedną z manii pisarki. Kolory w jej życiu mają w ogóle duże znaczenie – potrafi przeproszać gości za to, że w toalecie do ich dyspozycji wisi papier toaletowy w odcieniu niepasującym do wystroju pomieszczenia!

MOŻNA

1. Sprawić jej prezent. Najlepiej – popielniczkę. Chmielewska posiada ich całą kolekcję: 50 sztuk. Część z nich wykonała własnoręcznie przyjaciółka pisarki Alicja, na stałe zamieszkała w Danii, bohaterka kilku jej powieści. Ewentualnie, razem z popielniczką, można jej podarować którąś z powieści: Williama Irisha „Pani widmo”, Vercorsa „Zwierzęta nie zwierzęta” lub Kastnera „35 maja”. Poszukuje ich od lat w antykwariatach, niestety, bez skutku.

2. Skomplementować jej nogi. I zrobić to bez obłudy – nogi Joanny Chmielewskiej wciąż zasługują na podziw i złamały wiele – jak sama nieskromnie wyznaje – męskich serc. W tym cały rocznik studentów wydziału architektury, na którym studiowała w latach 50. A był to wydział – co nie wszyscy wiedzą – wybierany głównie przez mężczyzn, łatwo więc wyobrazić sobie liczbę konkurentów. Wbrew nieścisłościom pojawiającym się od czasu do czasu w prasie pisarka miała tylko jednego męża⁵ i dwóch konkubentów – Wojtkę⁶ i Marka⁷. Obecnie jest stanu wolnego, co niekoniecznie oznacza, że należy jej składać oferty matrymonialne. Potencjalny kandydat oprócz zastosowania się do wyżej przedstawionej instrukcji musi spełniać także wiele innych warunków: być blondynem wzrostu od 180 centymetrów w górę i wyglądać jak Aleksander Domogarow. Jeśli go nie przypominamy, pozostaje nam po prostu próbować z nią wytrzymać...

Podpisano:

KAMIL GRYGOROWICZ

¹ Pisarka spędza tam u swoich przyjaciół zwyczajowo jedną trzecią roku. Panujący nad morzem mikroklimat znakomicie działa na jej zdrowie.

² Kłótni tej boi się większość przyjaciółek pisarki. Brzmiało z pozoru niewinnie insynuując bowiem niezdolność osoby do samodzielnego podejmowania wyborów.

³ Maciek Krzyżanowski, przyjaciel pisarki: „Joanna Chmielewska jest znakomita jako kumpel. No, żony takiej to ja bym nie chciał mieć. Gdybym był jej mężem, nie miałbym się kiedy odezwać!” (cytat pochodzi z filmu Marty Węgiel „Joanna Chmielewska, czyli moje wykopane studnie”).

⁴ Trudno dokładnie wyliczyć nad iloma. Pierwszą z nich jest na pewno książka, którą pisarka nazywa „dziełem życia”. Ma to być humorystyczna encyklopedia historii jej ulubionego konika. Drugą – kolejny poradnik, tym razem przeznaczony wyłącznie dla kobiet. Trzecią – kryminał. Joanna Chmielewska przygotowuje także szósty tom „Autobiografii”.

⁵ „Był idealnym mężem – czułym, opiekuńczym, kochającym... Do czwartku. A w piątek mnie zostawił!”.

⁶ „Brunet, niebieskie oczy, notoryczny oszust... Ale miał wdzięk i na ten wdzięk wszystkie baby leciały... No, ja też, wybaczalam mu wszystko, ten wdzięk załatwiał wszystko, oczywiście do pewnego czasu...”.

⁷ Jedyne żyjący. Pustelnik, mieszka w chatce w Bieszczadach, a kilka lat temu udzielił wywiadu dla prasy, w którym opowiadał o swoim stylu życia. „Blondyn mojego życia i największy mitoman, jakiego kiedykolwiek spotkałam!!!”.

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ I REASEKURACJI S.A.

WARTA
ROK ZAŁOŻENIA 1920



PRAWDOPODOBNIENIE
NAJTAŃSZA OFERTA
NA RYNKU*

Teraz doceniamy Twoje doświadczenie i bezpieczną jazdę.

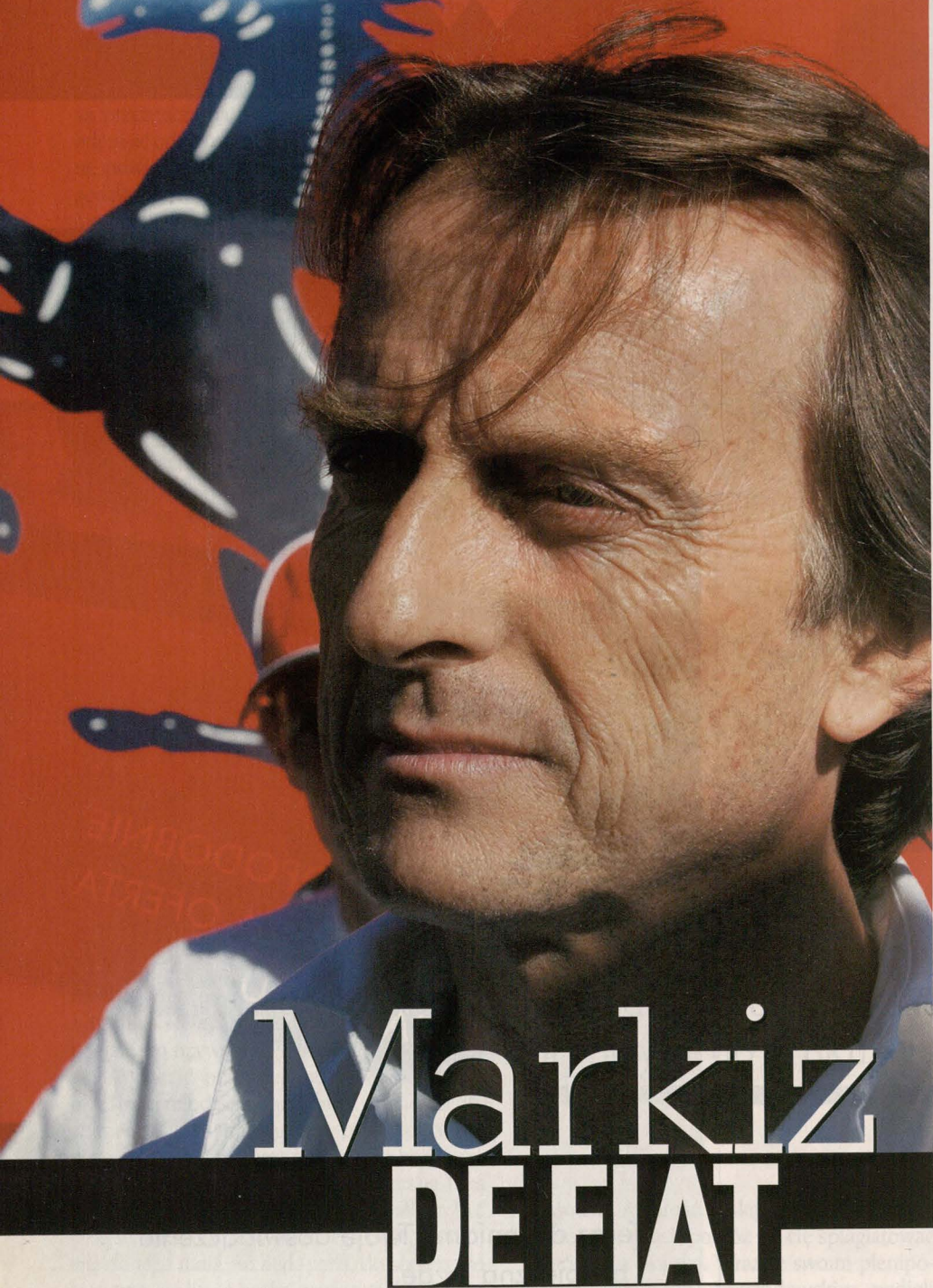
SPRAWDŹ I PRZEKONAJ SIĘ SAM

**Ubezpieczenia komunikacyjne w WARCIE –
DOŚWIADCZENIE W DOBREJ CENIE**

*dla doświadczonych kierowców

www.warta.pl infolinia: 0 801 308 308

opłata jak za połączenie lokalne



Markiz DE FIAT

Fot. CATUFFE/SPA/EAST NEWS

Ma teraz więcej władzy niż Gianni Agnelli, gdy był niekoronowanym królem Italii – skomentował były prezydent Włoch Francesco Cossiga. „Pan Ferrari staje się najpotężniejszym człowiekiem we Włoszech” – napisała „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Dzień wcześniej markiz Luca Cordero Lanza di Montezemolo z namaszczenia klanu Agnelli, oplakujących śmierć patriarchy Umberta, został nowym prezesem Fiata.

Ma 56 lat, choć dzięki sportowej, szczupłej sylwetce wygląda dużo młodziej. Jest piękny,

zdrowy i bogaty. Ma żonę jak z żurnala. Cztery lata temu do ślubu z 29-letnią rzymską blond pięknością Ludovicą Andreoni wioził go Michael Schumacher, a świadkiem był sam Gianni Agnelli. Od ślubu Luca jeździ najdroższym samochodem świata – jednoegzemplarowym ferrari 360 barchetta, które dostał w prezencie od swego świadka.

POTAJEMNY RAJDOWIEC

Ale sukcesy di Montezemolo odnosi nie tylko w życiu osobistym. W ubiegłym roku był najszczerzej opłacanym menedżerem w Italii – zarobił ponad 13 milionów euro, czyli trzy

miliony więcej niż Berlusconi. Patyny i dostojęstwa dodaje jego zawrotnej karierze arystokratyczny herb Cordero di Montezemolo.

Rodzice Massimo i Clotilda nie wstawili się niczym szczególnym, poza tym że należeli do kręgu arystokratycznych przyjaciół młodego Gianniego Agnellego. Złe języki plotkowały wówczas o szczególnej zażyłości między Giannim i Clotildą, której owocem miał być właśnie Luca. Nowy prezes Fiata urodził się w 1947 roku – dokładnie wtedy, kiedy z fabryczki w Maranello wyjechało pierwsze ferrari.

Luca od wczesnej młodości przyjaźnił się z siostrzeńcem Agnellego Cristianem Rattazim. Połączyło ich zamiłowanie do szybkich samochodów. W czasach studenckich ścigali się na rzymskich torach w czerwonym fiaciku 500. Z obawy przed rodzicami startowali pod zmienionymi nazwiskami. Jako para rajdowa wystąpili oficjalnie dopiero w Rajdzie San Remo w 1969 roku. Pojechali fiatem 124 S i zajęli siódme miejsce. W tym samym rajdzie na porsche jechał Sobiesław Zasada.

Mniej więcej wtedy rzutki i błyskotliwy Luca stał się ulubieńcem głowy klanu Agnelli. „Mój przybrany syn” – tak Gianni przedstawiał młodego di Montezemolo swoim bogatym znajomym i wysoko postawionym przyjaciółom. W 1971 roku skończył on prawo na słynnym rzymskim uniwersytecie La Sapienza. Dwa lata później zrobił dyplom z prawa międzynarodowego na Columbia University w Nowym Jorku.

MAŻ OBIEKTU POŻĄDANIA

Po powrocie do Włoch z polecenia Gianniego Agnellego został natychmiast przyjęty do pracy w Ferrari. Żyjący jeszcze wówczas założyciel firmy Enzo Ferrari zrobił Lucę dyrektorem sportowym zespołu Formuły 1. Z kolei legenda mówi, że Enzo przypadkowo usłyszał Lucę perorującego z zachwytem o szkarłatnych bolidach Ferrari, wysłał mu swoją autobiografię z dedykacją, a na koniec odwiódł od pisania doktoratu w Nowym Jorku i sprowadził do fabryki w Maranello.

Jakkolwiek było, w 1974 roku Luca wziął losy stajni wyścigowej Ferrari w swoje ręce, zreorganizował ją i unowocześnił, a przede wszystkim sprowadził nieznanego austriackiego kierowcę Nikiego Laudę. Rok później Lauda i Ferrari zostali mistrzami świata. Austriak powtórzył sukces w 1977 roku. Di Montezemolo był już wtedy szefem public relations koncernu Fiata.

Jego żoną była wówczas Sandra Monteleoni, z którą Luca ma syna. Pierwsze małżeństwo trwało krótko. Cztery lata temu Trybunał Świętej Roty unieważnił małżeństwo, dzięki czemu Luca mógł drugi raz ożenić się w kościele z obecną żoną Ludovicą Andreoni.

Zanim nadeszła jej kolej, markiz di Montezemolo bynajmniej nie próżnował. Zaraz po roz-

staniu z pierwszą żoną związał się z dziennikarką Barbarą Parodi, która powiła mu 22-letnią dziś córkę. Ale stała obecność w kolorowych pismach zapewnił mu dopiero kolejny, trwający 13 lat burzliwy związek z niejaką Edwige Fenech. Powabne kształty pani Fenech pamięta w szczegółach każdy nieco starszy Włoch, bo w latach 70. wystąpiła ona w 53 filmach erotycznych. Wówczas była w Italii symbolem seksu i mrocznym obiektem pożądania. Część tej pikantnej sławy spadła na Lucę. W sondażach na najseksowniejszego mężczyznę plasował się wtedy tuż za Seanem Connerym.

NIEDOSZŁY MINISTER

W blasku tej chwały di Montezemolo został w 1986 roku szefem komitetu organizacyjnego włoskiego mundialu w 1990 roku. W 1991 roku Agnelli mianował go prezesem Ferrari. Koncern miał znów wielkie kłopoty na torach Formuły 1 i w salonach samochodowych. Luca zmodernizował fabrykę, sprowadził z Francji Jeana Todta i zrobił go dyrektorem sportowym. Projektantów i konstruktorów bezczelnie podkupił konkurencji.

Lifting firmy kosztował ponad sto milionów dolarów, ale się opłacił. Już trzy lata później Ferrari miało solidne finansowe wyniki. Na sukces sportowy trzeba było czekać nieco dłużej. W 1995 roku Luca sprowadził ze stajni Benettona Michaela Schumachera, który po raz drugi został właśnie mistrzem świata Formuły 1. Za 20 milionów dolarów rocznie i drugie tyle w kontraktach reklamowych Niemiec nieprzerwanie i do znudzenia wygrywa dla Ferrari wszystko.

Luca di Montezemolo od lat jest w Italii symbolem wszelkich sukcesów: finansowych, erotycznych, sportowych i rodzinnych (Ludovica urodziła mu już dwie córeczki). Pokusie skorzystania z jego legendy nie oparł się nawet Silvio Berlusconi. Na kilka dni przed ostatnimi wyborami oświadczył, że di Montezemolo zgodził się objąć tekę ministra spraw zagranicznych lub przemysłu. Było to równie skuteczne, co bezczelne kłamstwo. Berlusconi wygrał wybory, a Luca zaraz potem odrzucił propozycję, pokazując całej Italii krótką petycję: „Luca! Błagamy, zostań z nami!”. Pod spodem były podpisy wszystkich 700 pracowników Ferrari.

W niedzielę 30 maja, po zakończeniu rodzinnego konwentu, do markiza di Montezemolo zadzwonił wnuk Agnellego John Elkann. Tym razem Luca odmówić nie mógł, bo Agnelli mu wdzięcza wszystko. Włosi gorąco liczą, że uda mu się kolejny cud i tak jak w wypadku marek Ferrari, Maserati, Cinzano, Aqua di Padua, jak z targami w Bolonii, startem jachtu „Azzurra Chalange” w Pucharze Ameryki i mundialem z 1990 roku uda mu się zamienić tonący okręt flagowy włoskiego przemysłu w żyłą złota. Jak będzie, zobaczymy za kilka lat. Wtedy trafią na rynek pierwsze modele Fiata „ery di Montezemolo”.

PIOTR KOWALCZUK, RZYM



**ZNIŻKI NAWET
DO 50%**

Wyjeżdżasz na wakacje?
Zostaw swój dom lub mieszkanie
pod naszą opieką.

SKORZYSTAJ Z LETNIEJ PROMOCJI*

**Ubezpieczenia mieszkaniowe w WARCIE –
KLUCZ DO BEZPIECZEŃSTWA**

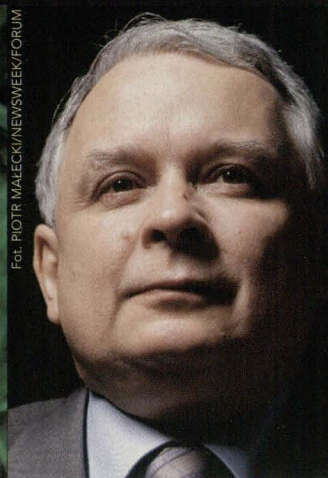
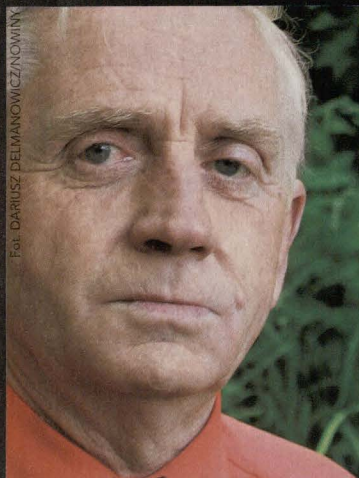
*promocja trwa do 31 lipca 2004 r.

www.warta.pl infolinia: 0 801 308 308

opłata jak za połączenie lokalne

ŚWIECI

ŚWIECI



Andrzej Sobczyk IDZIE PRZECIWKO BEZDOMNOŚCI

Ile czasu można być bezdomnym? Andrzej Sobczyk uznał, że 16 lat to jak na niego aż nadto, i postanowił wreszcie coś zrobić w tej sprawie. Tym bardziej wstydliwej, że Polska jest wreszcie w pełni europejskim krajem i nie przystoi w niej mieszkaniu na ulicy lub tułać się po dworcach.

1 maja 58-letni Sobczyk, bezdomny rozwodnik ze Zduńskiej Woli, zamiast jak dotąd bezskutecznie czekać na przysługujące mu mieszkanie zastępcze, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wyruszył w zaplanowaną na dwa tysiące kilometrów pieszą wędrówkę po kraju. Trasa na mapie ma kształt litery B, co oprócz bezdomności symbolizuje inne smutne rzeczy na b: biedę, bezrobocie, bezradność. Każdego dnia Sobczyk przebywa 15 kilometrów, szukając zrozumienia wśród napotkanych ludzi. Zebrał już tysiąc podpisów poparcia od przypadkowych przechodniów, pracowników sklepów, urzędów i firm.

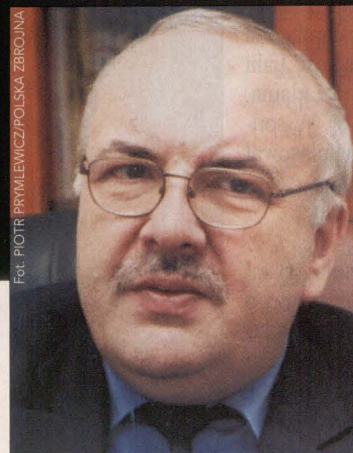
30 września zamierza wkroczyć wraz z podpisami do gabinetu rzecznika praw obywatelskich. To będzie meta. Trzymamy kciuki, żeby to nie był początek kolejnej drogi przez mękę.

Lech Kaczyński ZWOLENNIK TOLERANCJI

Nikt na świecie nie zrobił ostatnio tyle dla nagłośnienia idełów tolerancji wobec mniejszości seksualnych, ile Lech Kaczyński. Czy warszawiacy, wybierając sobie prezydenta, mieli świadomość, że głosują na prawdziwego faceta, który z podniesionym czołem przeciwstawi się obezwładniającej poprawności politycznej i ogłosi we wszystkich mediach, że w Warszawie od kilku lat istnieje impreza pod nazwą Parada Równości?

Dawniej parada owa przemikała cicho i niezauważenie pierwszomajowo wystrojonymi ulicami stolicy, niknęła w cieniu obchodów robotniczego święta. Dziś, dzięki Kaczyńskiemu, cała Polska i część świata wie, że geje, lesbijki oraz ich przyjaciele demonstrują raz do roku w Warszawie swoje pozytywne nastawienie do nieprzychylnych im rzeczywistości. „Jestem zwolennikiem tolerancji wobec tych ludzi, których taka odmiennność spotkała” – powiedział prezydent Kaczyński w wywiadzie z Moniką Olejnik. Gdybyśmy my byli prezydentami Warszawy, zabronilibyśmy przemarszu przez miasto Parady Bliźniat, bo jesteśmy zwolennikami tolerancji wobec ludzi, których taka odmiennność spotkała.

SPADA



Jerzy Rasilewicz KOLESIUJE?

Od kilku tygodni czkawką odbija się w mediach historia niesławnej podróży Józefa Oleksego do Wrześni na wybory. 23 maja marszałek Sejmu polecił na spotkanie swojej partii śmigłowcem wynajętym od Agencji Mienia Wojskowego. Dziennikarze tropiącego aferę dziennika „Fakt” nagrali rozmowę z koordynatorem AMW Antonim Midurą, którą wyemitowało Radio RMF. Z zapisu rozmowy wynika, że AMW trzyma sztamę z kolegami z SLD, ukrywając, jak tylko się da, prawdę o kosztach podróży Oleksego.

Czy prezes AMW Jerzy Rasilewicz wie, co się dzieje u niego w firmie? Czy Agencja to prywatne przedsiębiorstwo, które stać na prezenty w postaci „zniżkowych” przelotów? Nagrana przez „Fakt” rozmowa ujawnia, że przekręty towarzyszyły także rozliczaniu innych lotów polityków SLD. Najwyraźniej Agencji nie zależy na własnych interesach. Ale co to kogo obchodzi? I tak za wszystko zapłaci podatnik. Ciekawe, że także SLD nie dostrzega w sprawie nic zdrożnego i potulnie przyjmuje od AMW instrukcje, jak postępować z natrętnymi pismakami.

SPADA



Garou NIEZNANY KONDUKTOROM

32-latek z Quebecu był przez dwa lata jednym z najpopularniejszych zagranicznych artystów w Polsce. Występował na żywo, nagrał dwa recitale dla telewizji, zdobył platynową płytę za „Seul” i złotą za zeszloryczny „Reviens”. Lecz najwyraźniej się przejadł. Z pięciu zaplanowanych na maj i czerwiec jego koncertów odbyły się dwa. Oficjalnie mówi się, że powodem są „przyczyny techniczne i logistyczne”, lecz ci, którzy widzieli warszawski występ na Torwarze, donoszą, że na płycie hali łatwo było o miejsca nie tylko stojące, lecz także leżące.

Niestety, finał tej trasy był jeszcze bardziej bolesny. Wyjeżdżając z Polski do czeskiej Pragi, Garou wybrał Inter-City, ale wsiadł do wagonu bez biletu i w dodatku nie miał czeskich koron, co zdaniem pracownika warsu dyskwalifikuje pasażera. Nie pomogło rozpaczliwe demonstrowanie euro oraz dolarów. Rozsierdzony konduktor zaczął wyrzucać z przedziału rzeczy artysty. Garou pojechał do Pragi wynajętym samochodem, ale podobno nie zmienił dobrego zdania o Polsce, co nie dziwi, zważywszy na to, że to jedyny kraj poza rodzinną Kanadą, gdzie zrobił dużą karierę.

Na Twoje kliknięcie czeka ponad 10 000 pokoi w 58 hotelach w Polsce!

www.orbisonline.pl

Niezwykłe miejsce urlopowe ZAPRASZAMY

+48 0502 205 005
www.agrobory.pl

WIELKIE DNI OTWARTE 19 - 20 czerwca, godz. 10⁰⁰-16⁰⁰

tel. 847 66 33
0 603 089 600
0 603 389 332
KB: 0 601 221 500

Mieszkania
Wyscigach przy

★ WIDOK NA 140 h PARKU
★ OSIEDLE STRZEŻONE
★ PARKING PODZIEMNY
★ NAJWYŻSZA JAKOŚĆ WYKONANIA
★ APARTAMENTY 33m² - 146m²

Angielski dla dzieci w wieku od 1 do 14 lat metodą Helen Doron

- przyswajanie języka w sposób naturalny, podczas zabawy
- małe grupy – od 4 do 8 uczniów

Serdecznie zapraszamy na bezpłatną lekcję pokazową

Na terenie woj. mazowieckiego i podlaskiego prosimy o kontakt:

Białystok tel. (85) 741 70 29; Białystok, Powiat Warszawski Zachodni tel. (22) 725 26 39; Legionowo, Jabłonna, Nowy Dwór Maz. tel. (22) 784 87 81; Łomża tel. (22) 751 93 95; Łomża tel. (86) 216 22 24; Ostrołęka, Szczytno tel. (29) 760 92 64; Ostrołęka, Józefów, Wawer, Anin, Karzew tel. 0 607 339 520; Pułtusk, Przasnysz tel. (23) 692 41 54; Siedlce tel. (25) 632 87 81; Ursus, Piastów, Michałowice, Podkowa Leśna, Brwinów, Komorów, Pruszków, Grodzisk Maz. tel. (22) 730 02 65

Warszawa: Białoleka, Tarchomin, Marcin tel. (22) 423 15 90; Bielany, Żoliborz, Bemowo, Jelonki, Wola tel. (22) 864 05 55; Bródno, Targówek, Ząbki, Praga Północ tel. (22) 423 15 91; Górali tel. (22) 672 22 39; Mokotów, Ursynów, Piaseczno, Zalesie Górne - tel.: 648 95 55; Powiśle tel. (22) 826 35 20; Saska Kępa tel. (22) 617 80 48; Śródmieście, Ochota, Włochy tel. (22) 621 62 04; Wesoła, Stara Miłosna tel. (22) 773 52 04; Żabki, Marki, Wołomin tel. (22) 762 46 16

Główne Centrum Szkoleniowe w Polsce:
TYCHY, ul. Kopernika 3 (32) 328 49 94
www.helendoron.com.pl

okno ELITA

NOWOŚĆ!
szyba ELITA-GLAS

przykładowy kolor Canadian

luka antywłamaniowy

złota linia

wzmocnienie zamknięte

pięć komór

JEZIEŃSKI

markowe okna

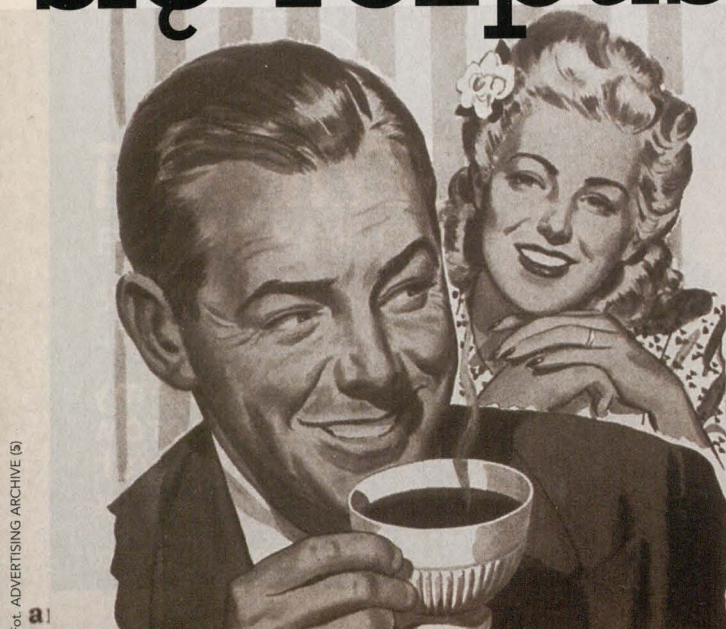
tel. 041 / 300 11 75
mail: biuro@jezierski.com.pl

poszukujemy
partnerów
handlowych
kom. 0501 203 589
www.jezierski.com.pl



MOC

się rozpuszcza



TEMPORARILY, THE



PAWEŁ WIECZOREK

Elektroniczny zegar na szóstym piętrze siedziby koncernu Nestlé liczy filiżanki Nescafé wypite od początku roku. Ostatnie z miliardowych cyfr przeskakują niezauważalnie – na świecie co sekunda pije się cztery tysiące takich filiżanek

Plakaty Nescafé z końca lat 40. i początku 50. XX wieku

Wśród 17 czerwca zegar wyświetlał liczbę 57 902 872 096. W tym miliardy filiżanek wypitych w Polsce. Coraz częściej sięgamy po kawę rozpuszczalną – według ostatnich badań wybiera ją więcej niż co trzeci statystyczny polski kawosz. Wśród marek kawy rozpuszczalnej przoduje zaś Nescafé. Wynaleziona przez doktora filozofii, rozniesiona po świecie w żołnierskich chlebakach.

KAWY ŻAL

Jadący przez Brazylię pociąg zostawiał za sobą aromat palonej kawy. Palonej w kotle lokomotywy. Pod koniec lat 20. plony w Brazylii, która dostarczała wtedy światu 70 procent kawy, wciąż rosły i rosły. Ceny ziaren spadały więc i spadały. Na tanią kawę też nie było kupców: pogrążony w kryzysie świat nie miał na nią pieniędzy.

Ceny były tak niskie, że nie opłacało się już przewozić kawy poza Brazylię – koszty transportu były zbyt wysokie. Stąd brazylijskie próby wykorzystania ziaren jako paliwa do lokomotyw lub jako składnika w wyrobie tworzyw sztucznych. Obie nieudane. Brazylijski Narodowy Instytut Kawy z São Paulo sięgnął po prostsze metody – na stosach spalono 13 milionów worków kawy (każdy po 60 kilogramów), część zatopiono w morzu. „Wrzucili pszenicę do ognia/Do morza kawę wrzucili/Kiedy w ślad za workami/wrzucą opasłych bandytów?” – oburzał się na kapitalistów Bertolt Brecht.

Kawę niszczone, bo nie potrafiono zakonserwować jej ziaren, a także długo ich przechowywać. Skoro nie ma na to metody, to trzeba ją wynaleźć – doszli do wniosku szefowie Instytutu Kawy. I poprosili o wynalezienie specjalistę do spraw konserwowania i zamieniania w proszek mleka i kakao – szwajcarską firmę Nestlé.

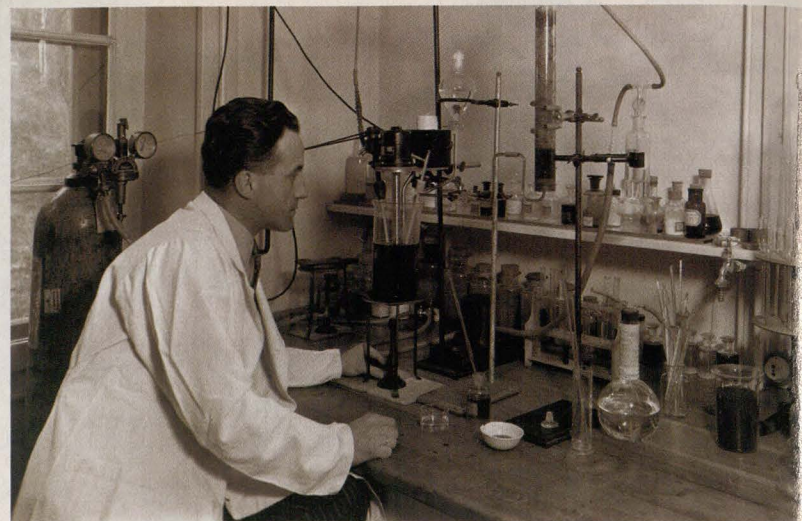
CUDOTWÓRCA ZE SŁOIKIEM

Urodzony w 1814 roku we Frankfurcie nad Menem Heinrich Nestlé był 11. dzieckiem dobrze prosperującego szklarza i kupca szkłem. Młodzieniec przeszedł w jednej z frankfurckich aptek praktykę farmaceutyczną, po czym jako 19-latek wyjechał do Szwajcarii. Tam, w mieście Vevey, zajął się kupiectwem i zmienił pisownię nazwiska na Henri Nestlé. Sprzedawał musztardę, handlował ziarnem, produkował nawozy sztuczne. Jego dochody ustabilizowały się w 1857 roku, gdy został dostawcą gazu płynnego do ulicznych latarni w Vevey. Jednocześnie we własnym laboratorium eksperymentował z napojami i z odżywkami, które zastąpiłyby niemowlętom pokarm matki, pozwalając zrezygnować z takich metod jak na przykład przystawianie niemowlęcia do sutków kozy.

Po latach prób Nestlé uznał prace nad odżywką za ukończone na tyle, że nadał jej nazwę: Farine Lactée Nestlé, czyli Pokarm Mleczny Nestlégo. Składał się z mleka zagęszczonego z cukrem, wymieszanego ze zmielonym pieczy-



Max Morgenthaler (1901–1980), wynalazca Nescafé. Po prawej: Morgenthaler w laboratorium Nestlé w latach 30. ubiegłego wieku



wem psennym. Wiosną 1867 roku u Nestlégo stały już słoiki z gotową odżywką, ale wynalazca nie produkował jej na większą skalę. Gdy jednak podał ją bliskiemu śmierci wcześniakowi, który nie mógł być karmiony mlekiem matki, i gdy chłopiec wyzdrowiał, wynalazcę Farine Lactée uznano niemal za cudotwórcę. W następnym roku Nestlé mógł już otworzyć przedstawicielstwo firmy w Londynie, w ciągu pięciu lat zaczął eksportować odżywkę do Ameryki Południowej i Australii.

W 1874 roku Nestlé przekształcił firmę w spółkę akcyjną i sprzedał ją za milion franków szwajcarskich Jules'owi Monneratowi. Do śmierci w 1891 roku nie zajmował się już odżywkami. Na początku XX wieku założona przez niego firma produkowała – poza odżywkami – mleczną czekoladę i mleko skondensowane. Sprzedaż tego ostatniego, chętnie kupowanego podczas I wojny światowej, spadła znacznie po 1918 roku. Spadały też dochody firmy. Akcjonariusze w 1922 roku powołali więc na prezesa Louisa Dapples – bankiera, który z hasłem „Zadowolony robotnik wytwarza bardziej zadowolające produkty” wyciągał Nestlé z finansowego dołka, stawiając jednocześnie na wynalazczość. Dapples spędził wcześniej wiele lat w Argentynie i Brazylii. Być może dlatego właśnie jemu Brazylijczycy złożyli ofertę zagospodarowania kłopotliwej kawowej obfitości.

KOSTKA BEZ ZAPACHU

Brazylijczycy oczekiwali, że Nestlé zamknie kawę w kostkach podobnych do kostek maggi. Kostka po wrzuceniu do wody miała się zamienić w aromatyczny napój. Pracujący w laboratorium Nestlé Max Rudolf Morgenthaler porzucił więc badania nad sproszkowaniem piwa, wina i soku jabłkowego. Ten 29-letni wówczas absolwent technikum chemicznego i doktor filozofii przez następne cztery lata na różne sposoby walczył o utrzymanie aromatu w przetworzonej kawie. Po dodaniu tłuszczu

do zmielonej kawy ta zmieniała się co prawda w kostkę, ale mdła i bez zapachu. Próby kryształizowania kawy, zagęszczenia jej w syrop, dodania do mleka i zamiany napoju w proszek także prowadziły w ślepą uliczkę. W żadnej z tych postaci „kawa” po zmieszaniu z wodą nie pachniała kawą. Firma zawiesiła badania.

Rozczarowany Morgenthaler, któremu tymczasem powierzono zadanie stworzenia białej czekolady, uparcie i prywatnie wciąż usiłował zamienić kawę w aromatyczny proszek. Nie on pierwszy.

WACHTA SSIE

W 1847 roku pismo „Scientific American” informowało o wynalezieniu kawy w proszku. Jednak informacja ta nie przekuła się w praktykę produkcji. Pierwszy znany patent na przetworzoną kawę – tym razem w pastylkach – wydano w USA w 1865 roku. Ssali ją żołnierze podczas marszu i marynarze na wachcie. Taka kawa ze swoich zalet zachowała bowiem tylko kofeinę, tracąc aromat i smak.

W 1910 roku George Constant Washington, angielski chemik urodzony w Belgii i mieszkający w Gwatemali, jako pierwszy rozpoczął masową produkcję kawy rozpuszczalnej. Nie opatentował pomysłu, aby zachować technologię w najgłębszej tajemnicy. Nie dało się jednak ukryć, że Washington pod ciśnieniem wtryskiwał zaparzoną kawę do rozgrzanej komory, w której na dno opadał odparowany proszek. Taka kawa pozbawiona była jednak zapachu.

Choć Morgenthaler też ostatecznie sięgnął po komorę z gorącym powietrzem, laboranta Nestlé nie zadowalała wyłącznie zmiana płynu w proszek. Wciąż dążył do zatrzymania w proszku aromatu.

SUPERMAN, TEFLON, DŁUGOPIS, KAWA

Morgenthaler ziarna kupował sam, prowadząc doświadczenia w kąciku ogrodu. Tam, za rzędem tui, zbudował urządzenie do prosz-

kowania kawy. Wiosną 1936 roku uznał, że uzyskany proszek można nazwać kawą rozpuszczalną. I to aromatyczną – Morgenthaler użył węglowodanów do zakonserwowania kawy i zatrzymania jej zapachu. Gdy po kilku miesiącach przechowywania proszek wciąż pachniał kawą, 35-letni Szwajcar przedstawił próbkę szefowi laboratoriów. Ten był zachwycony.

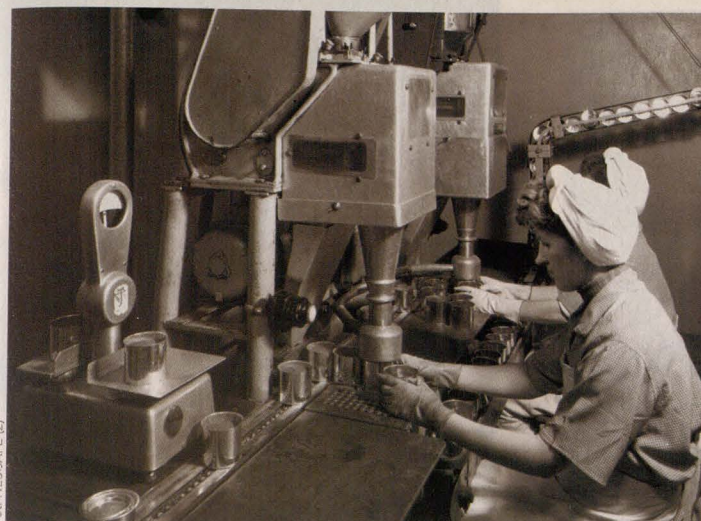
Po latach Robert Dill, przyjaciel Morgenthalera, proponował nawet postawienie pomnika chemikowi: – Ta piękna rzeźba powinna pokazywać, jak Nescafé z 1938 roku zaczyna się rozpuszczać – wyjaśniał Dill w szwajcarskiej telewizji.

Użycie węglowodanów było sednem wynalazku Morgenthalera i główną częścią patentu na Nescafé z 18 lutego 1937 r. Do pracy przystąpili firmowi technicy, inżynierowie i specje od marketingu. Pierwsi przygotowali linię produkcyjną w fabryce Nestlé w Orbe i przeprowadzali kolejne doświadczenia. Marketingowcy zaś opracowali opakowanie, dystrybucję i reklamy pod hasłami „Prosto i szybko” oraz „Kawa bez dzbanka”. Właśnie kawa, a nie jej substytut lub uzupełnienie nowy napój – taki obraz Nescafé budowany jest do dziś.

Reklamy skierowane były do osób, które potrzebują energetycznego kopa – sportowców, studentów, a także do nieżonatych mężczyzn, niezamężnych kobiet oraz żon, które dzięki nowej kawie miały być przygotowane na niezapowiedzianą wizytę.

Pierwsze małe, brązowe puszkki kawy rozpuszczalnej wyjechały z fabryki w Orbe 1 kwietnia 1938 r. – obecnie tę datę uznaje się za narodziny Nescafé. Wymieniana jest pośród nowości tego roku obok długopisu, opublikowania pierwszego komiksu z Supermanem, odkrycia teflonu oraz wprowadzenia w Oklahomie pierwszych wózków w supermarketach.

Nazwa nowej kawy rozpuszczalnej powstała oczywiście z połączenia słów Nestlé i café.



Od lewej:

Napełnianie puszek kawą Nescafé w fabryce w Orbe w 1946 roku

Pakowanie słoików Nescafé do kartonów, 1965 rok

Poniżej: Zrzut racji żywnościowych (w tym Nescafé) dla żołnierzy USA walczących w dżunglach Nowej Gwinei podczas drugiej wojny światowej

Produkowany wówczas w tempie 40 kilogramów na godzinę proszek sprawił marketingowe trudności w Portugalii. „N'es-café” znaczy tam „to nie kawa”.

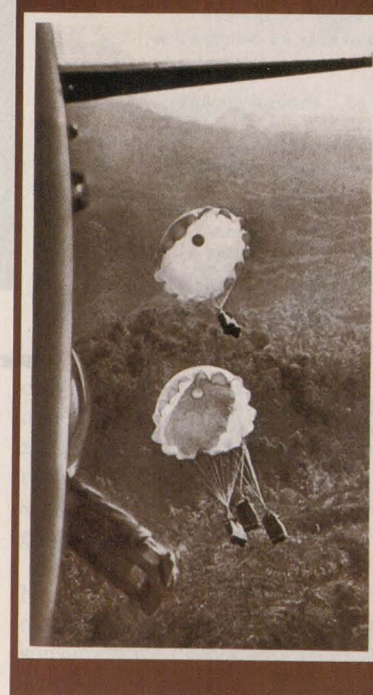
PICASSO ZA PUSZKĘ KAWY

Do wybuchu wojny Nescafé produkowano też w Anglii, we Francji, a od 1940 roku w Argentynie i w Południowej Afryce. W już walczącej Europie neutralna Szwajcaria pozostawała jednak odizolowana, kierownictwo firmy czasowo przeniosło się do Stamford w amerykańskim stanie Connecticut.

Tam, po przystąpieniu USA do wojny, rząd zawiesił ochronę wszystkich patentów. Każdy, kto był w stanie, mógł wtedy produkować Nescafé. Na osłodę jedna z fabryk Nestlé w USA została później odznaczona medalem za męstwo. Ważniejsze, że Nescafé włączono do podręcznych racji żołnierskich. Racja podzielona była na część śniadaniową, obiadową i kolację. Nescafé umieszczono w części śniadaniowej obok kruchych ciasteczek, jajek w proszku, gumy do żucia i papierosów. „Najlepszym sposobem podgrzania wody do rozpuszczenia Nescafé było rozpalenie ogniska z nawoskowanego kartonu pudełka po racjach żywnościowych. Paliło się dobrze, podobnie jak środek do odstraszania komarów” – wspomina Deane E. Marks z pułku piechoty walczącego z Japończykami na Filipinach.

Gdy w chlebaka zabrakło już kawy rozpuszczalnej, Nescafé stawała się obiektem pożądania i generałów, i kaprali. „Pani Eisenhower informuje, że przesłała mi tu, do Afryki, puszkę Nescafé, którą Pan wysłał do niej. Zapewniam, że żaden prezent nie byłby milej widziany. Jestem więcej niż wdzięczny za Pańską troskę i hojność” – pisał 21 sierpnia 1943 r. generał Dwight D. Eisenhower do szefa Nestlé.

„Klawo! Cudnie! Zachwycająco! Aż brakuje przymiotników!” – zachwycał się walczący w Nowej Gwinei kapral Adolph Bind. W li-



ście z 15 grudnia 1943 r. dziękował żonie za świąteczną paczkę. „Położyliśmy statecznik od bomby, na nim postawiliśmy menażkę wody, a pod nim puszkę wypełnioną piaskiem i benzyną. Zapalka i do roboty! Wrzątek w kilka minut. Otwieram przyslaną puszkę Nescafé i napełniam kubki. Morale podskoczyło o setki procent”.

W standardowych paczkach wysyłanych przez amerykański Czerwony Krzyż do obozów jenieckich w Niemczech obok Nescafé jeńcy znajdowali prasowaną wołowinę, puszkę łososia, margarynę, żółty ser, rodzynki, kostki cukru, czekoladę, mydło, rolkę papieru toaletowego i papierosy. Nescafé oprócz papierosów była w obozach jednym z podstawowych środków płatniczych. Tym więcej wartym, im bliżej końca wojny.

W miarę wyzwania kolejnych terenów Nescafé trafiała też do ludności cywilnej. Czasem całkiem znanej ludności: „W Paryżu po-

zyczylem motocykl od Kanadyjczyków i zwiedzałem miasto. Dowiedziałem się, gdzie mieszka Picasso. Zadzwoiłem do drzwi, przedstawiłem się” – relacjonował w liście do żony porucznik Hjalmar H. Boyesen w grudniu 1944 roku. Po ciepłym przyjęciu przez malarza Boyesen zainteresował się stanem spiżarni Picassa. Malarz skwitował to wzruszeniem ramion. „Podjechałem do hotelu i wróciłem z częścią moich racji, w tym z puszką Nescafé, mydłem i papierem toaletowym. Picasso rozpromienił się i orzekł, że jestem drugim Amerykaninem, który dał mu Nescafé. Pierwszym był Ernest Hemingway. Po czym podarował mi rzeźbę przedstawiającą rękę, uprzednio ją podpisując. Odtąd czuję się jak łajdak, bo przehandlowałem puszkę kawy za oryginalnego Picassa”.

WOJNA Z TOREBKAMI

Amerykańscy żołnierze i Czerwony Krzyż roznieśli Nescafé po Europie i Dalekim Wschodzie. Dzięki nim Japonia do dziś jest jednym z najbardziej chłonnych rynków kawy rozpuszczalnej. Tak więc nieoczekiwanie, nawet dla władz Nestlé, w 1945 roku firma była już światowym koncernem kawowym.

Firma chciała utrzymać zainteresowanie swoją kawą rozpuszczalną. Morgenthaler został szefem działu Nescafé, Nestlé uruchamiało linie produkcyjne w kolejnych krajach, walcząc z rozwijającą kawowe pomysły konkurencją. Tej w drugiej połowie lat 40. udało się wyprodukować aromatyczną kawę rozpuszczalną bez dodatku węglowodanów, które usunięto także z Nescafé w 1952 roku – bez straty aromatu. W latach 50. konsumenci częściej niż przed wojną kupowali kawę, a nie herbatę.

W 1956 roku sprzedaż Nescafé znów podskoczyła – zaczęto reklamować ją w telewizji. Wykorzystano to, że przerwa na telewizyjną reklamę była zbyt krótka, aby zaparzyć tradycyjną kawę. Wystarczająco jednak długa,



Fot. ADVERTISING ARCHIVE

by rozpuścić w filiżance kawę instant. Właśnie szybkość i prostotę rozpuszczenia promowano na srebrnym ekranie. W odpowiedzi producenci herbaty wprowadzili torebki do zaparzania. Bitwę z torebkami wygrała jednak proszkowana kawa. Zwłaszcza że słuchająca i tańcząca rock and rolla młodzież nie sięgała po kojarzącą się z babcinymi naparami herbatkę, lecz po szybką i pobudzającą Nescafé.

HOUSTON, MAMY KAWĘ

W 1962 roku blaszane puszki Nescafé zastąpiono szklanymi słoikami, a trzy lata później wprowadzono proces technologiczny, który był niemal tak przełomowy jak odkrycie Morgenthalera. Proces odparowywania kawy w temperaturze minus 40–50 stopni Celsjusza polegający na połamaniu zmrożonego, gęstego wywaru na małe kawałki, z których dzięki wysokiemu ciśnieniu usuwana jest woda, nazywany jest liofilizacją. W 1969 roku Nescafé poleciała w stronę Księżyca na pokładzie Apolla 11 – astronauty badali procesy zachodzące podczas osuszania produktów w niskich temperaturach.

Gdy Apollo z kawą krążył po nieboskłonie, na Ziemi od maja 1965 roku sprzedawano już Nescafé Gold – produkowaną w nowym procesie kawę o silnym aromacie, przygotowywaną z przewagą łagodnych ziaren arabiki (odmiana kawy uprawiana głównie w Brazylii). W wytwarzanej do dziś według unowocześnionego procesu Morgen-

thalera Nescafé Classic przeważają bowiem ziarna robusty zawierające więcej kofeiny niż ziarna arabiki.

Także w latach 60. pojawił się pierwszy raz czerwony kubek Nescafé, dodawany dotąd w promocjach do opakowań kawy (lub rozdawany osobno). W 1967 roku pracująca dla Nescafé kanadyjska agencja reklamowa wpadła na pomysł wykorzystania kubka w promocji odnowionej rok wcześniej kawy Classic. Zaczęto ją bowiem sprzedawać nie w proszku, lecz w granulkach, poprawiając jednocześnie smak i aromat uzyskiwanego z nich naparu. Kanadyjski kubek przypominał raczej filiżankę. Zgodnie z hasłem „Czerwony kubek na posłaniu z ziaren” umieszczano go na palonych ziarnach kawy.

Po kilku latach kubek trafił do Europy i z czasem wysmukłał oraz zmienił przekrój z okrągłego na kwadratowy. W samej tylko Polsce przez ostatnie 10 lat rozproszono kilka milionów takich kubków.

DLA MŁODYCH I CIEKAWYCH

Classic była pierwszą kawą z rodziny Nescafé wprowadzoną oficjalnie na Polski rynek w 1993 roku. Wcześniej Nescafé znano u nas z charytatywnych paczek UNRRA dostarczanych do Polski z USA po zakończeniu wojny, z dolarowych sklepów Peweksu oraz z podróży obywateli PRL na Zachód.

W 1994 roku na rynku polskim zadebiutowała Nescafé Gold, w 2001 roku – Nescafé Espresso. W tej chwili Nescafé przoduje na



Serwująca Nescafé kawiarnia w Londynie, 24 września 1955 roku

Po lewej: Plakaty Nescafé z lat 1938–1955

Kadr z brytyjskiej reklamy telewizyjnej Nescafé z 2002 roku

Po prawej: Wnętrze Café Nescafé (tu Cinema City Bemowo) – jednej z 17 podobnych kawiarni w Polsce



Fot. HULTON/CORBIS/FREE

KTO I ILE PIJE KAWY?

Polacy piją około 23 miliardów filiżanek kawy rocznie (mielonej i rozpuszczalnej). Wypada 590 filiżanek na jednego mieszkańca. Czech pije 398 filiżanek, Węgry 496, Hiszpan 500, Francuz 663, Niemiec 736, zaś Amerykanin 440. Najwięcej kawy na głowę mieszkańca wypijają Skandynawowie: Finowie – 1440 filiżanek, Szwedzi 1116, a Norwegowie – 1029. W Europie Wschodniej największymi kawoszami są Estończycy – 918 filiżanek rocznie oraz Łotysze – 910 filiżanek (dane za 2002 rok).

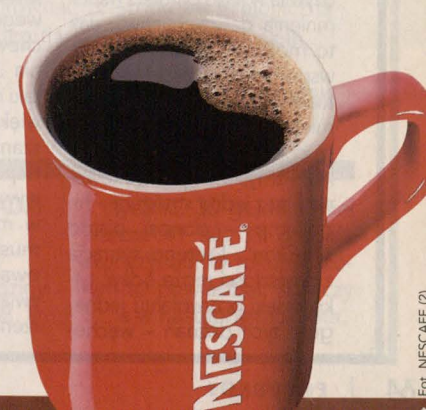
rynku kawy rozpuszczalnej w Polsce (36 procent rynku). Przyczynia się do tego dostępność napoju (na przykład automaty Nescafé z gorącymi napojami), uruchamianie w kolejnych miastach kawiarenek Nescafé oraz konsekwentne kierowanie akcji promocyjnych głównie do młodych ludzi.

Ostatnim sukcesem na polskim rynku jest Nescafé Classic 3 w 1 – saszetka z rozpuszczalną kawą z mlekiem i cukrem. Badania konsumenckie dowiodły bowiem, że 70 procent Polaków słodzi kawę, a 80 procent – dolewa do niej mleko.

Nescafé różnicuje produkty w zależności od upodobań mieszkańców danego regionu świata. W Europie Środkowej kawosze wybierają kawę łagodniejszą, najlepiej z mlekiem, zaś Europejczycy z Południa preferują kawę czarną, mocniejszą. I choć w 130 krajach można kupić 10 rodzajów Nescafé, to w sumie w blisko 40 fabrykach produkowanych jest niemal 200 jej odmian. Do stworzenia mniej lub bardziej subtelnych różnic w smakach stosuje się technologię „przechowania” aromatu świeżo zaparzonej kawy, który dodawany jest powtórnie do tej już sproszkowanej.

Dzięki temu elektroniczny zegar w Vevey pokaże na koniec tego roku liczbę zbliżoną do 130 miliardów wypitych filiżanek Nescafé. Będzie to ponad połowa wypitej na świecie kawy rozpuszczalnej.

PAWEŁ WIECZOREK



Fot. NESCAFÉ (?)



DO BIEGU, GOTOWI, START!



www.MINI.com.pl

Zdradziecka**ślina**

– Palenie przekształca do-
broczynne związki zawarte
w ślinie w niebezpieczny
koktajl zwiększający ryzyko



Fot. PHOTOSTOCK

**JEDWABNIK
MORWOWY,
a dokładnie
pazurki
na jednym
z odnóży jego
gąsienicy.
Z pojedynczego
kokonu,
w który zawija
się gąsienica,
można uzyskać
nawet 1500
metrów nici**

nowotworów ust – stwierdził
doktor Rafi Nagler z Tech-
nion, Izraelskiego Instytutu
Technologii w Hajfie.

Ślina zawiera przeciwutle-
niacze – cząsteczki, które
normalnie chronią organizm
przed nowotworem. Nagler
i jego współpracownicy od-
kryli, że dym papierosowy
niszczy te cząsteczki i za-
mienia ślinę w niebezpiecz-
ny dla zdrowia związek.

Okazuje się, że mieszanina śli-
ny i dymu jest bardziej śmie-
telna dla komórek w ustach
niż sam dym. Palenie i nad-
używanie alkoholu to główne
przyczyny nowotworów warg,
ust, języka, dziąseł, krtani
i gardła. Co roku na świecie
(zwłaszcza w krajach rozwija-
jących się) diagnozuje się
niemal 400 tysięcy przypad-
ków tych chorób. Szansa na
przeżycie pięciu lat z tymi no-
wotworami wynosi mniej niż
50 procent.

Pamięć węchu

Każdy chyba doświadczył sy-
tuacji, w której jakaś woń
ożywiła w jego pamięci wspo-
mnienia dawnych chwil. Jak
to możliwe? Okazuje się, że
wspomnienia konkretnej sy-
tuacji nie są skupione w jednym
miejscu mózgu, ale są „roz-
rzucone” po różnych ośrodkach
zmysłów i porządkowane
przez jedną strukturę – hi-
pokamp – donosi pismo
„Neuron”. Dlatego sytuacja
z przeszłości może odżyć tyl-
ko dzięki przywołaniu jedno-
go z tych doznań – węcho-



Fot. SP/LEAST NEWS

wego, wzrokowego lub słu-
chowego. Prowadzący bada-
nia Jay Gottfried uważa, że
taki mechanizm daje ludziom
większe możliwości wskrze-
szania wspomnień. – Gdyby
wspomnienia były przechowy-
wane w jednym miejscu
w mózgu, by je przywołać,
musielibyśmy zrekonstru-
ować większość aspektów
związanych z danym wyda-
rzeniem – wyjaśnia badacz.

Według niego ewolucja mo-
gła promować taki system.
– Wyobraźmy sobie zagroże-
nie ze strony drapieżnika.
Dzięki skojarzeniom pamię-
ciowym można przewidzieć
atak wroga nawet wtedy, gdy
go nie widzimy, na podsta-
wie sygnałów odbieranych
przez różne zmysły, takich jak
widok jego śladów, zapach
sierści czy szelest w zaroślach
– mówi Gottfried. Niewyja-
śnionym jak dotąd zjawis-
kiem jest niezwykła trwałość
wspomnień zapachowych.
Zgodnie z wcześniejszymi
wynikami badań pamięć ob-
razów zaczyna się zacierać
po kilku dniach, a nawet go-
dzinach od wydarzenia, pod-
czas gdy pamięć zapachów
pozostaje nietknięta nawet
przez rok.

Jo-jo osłabia

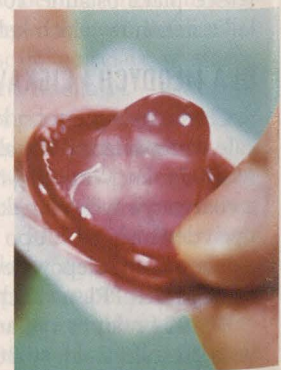
Częste odchudzanie i tycie,
czyli tak zwany efekt jo-jo,

może powodować długo-
trwały spadek odporności
– zaobserwowali naukowcy
z USA. Naukowcy z Centrum Ba-
dań nad Rakim Freda Hut-
chinsona i z Uniwersytetu
Stanu Waszyngton przepro-
wadzili badania w grupie
114 kobiet z nadwagą. Wszys-
tkie przeszły meno-
pauzę i prowadziły siedzący
tryb życia. Przeanalizowano
historię odchudzania kobiet
w ciągu ostatnich 20 lat.
Okazało się, że osłabienie
funkcji układu odporności
było tym większe, im więcej
razy w przeszłości kobieta
celowo traciła na wadze. Te
uczestniczki badań, które
utrzymywały w miarę stałą
masę ciała w okresie kilku lat
(cztery lata lub więcej), mia-
ły znacznie większą odpor-
ność. Obniżenie wagi ciała
może obniżać ryzyko cukrzy-
cy typu II, chorób serca,

a nawet raka. Trzeba jednak
unikać efektu jo-jo, czyli
gwałtownego przybierania
na wadze po schudnięciu.

Rak z kondoma

Większość prezerwatyw za-
wiera rakotwórczy związek
chemiczny. O wykryciu rako-
twórczej N-Nitrozoaminy
w 29 spośród 32 typów zba-
danych prezerwatyw oznaj-
mili eksperci z Chemicznego



Fot. SP/LEAST NEWS

Malarstwo jest nauką przyrodniczą i należy ją traktować jako badanie praw natury.

JOHN CONSTABLE (1776–1837), MALARZ ANGIELSKI

Weterynaryjnego Instytutu
Badawczego w Stuttgarcie.
Uważa się, że ten rakotwór-
czy związek obecny jest
w substancji nadającej pre-
zerwatywom elastyczność.
Z badania wynika, że guma
w kontakcie z płynami ciała
może uwalniać śladowe ilo-
ści N-Nitrozoaminy.
Niemiecki Federalny Insty-
tut Oceny Ryzyka oznajmił,
że codzienne wykorzystywa-
nie prezerwatyw naraża lu-
dzi na stężenia N-Nitrozo-
aminy nawet trzy razy wyż-
sze niż naturalne stężenia
tego związku w pożywieniu.

**Magnetyczna
katastrofa**

Coraz częściej pojawiają się
w świecie naukowym opinie,
że lada moment nastąpi
przemagnesowanie Ziemi,
czyli zamiana miejscami bie-
gunów magnetycznych. Spo-
wodowałoby to znaczne osła-
bienie, a nawet przejściowy
brak ziemskiego pola ma-
gnetycznego, które chroni
powierzchnię naszej planety
przed oddziaływaniem groź-
nego wiatru słonecznego.
Czy należy się tego bać? Na-
ukowcy uspokajają.

W historii Ziemi takie zjawis-
ka występowały już co naj-
mniej sto razy. Są jednak
bardzo powolne i długo-
trwałe. Zmiana biegunowo-
ści może dokonywać się
w ciągu kilkuset tysięcy do
kilkudziesięciu milionów lat.
Również okresy przejściowe
rozciągają się na wiele tysię-
cy lat. Dziś nie można do-
kładnie przewidzieć mo-
mentu, w którym nastąpi
holejne odwrócenie biegu-
nów. Ostatni raz takie zjawis-
ko wystąpiło około 740 ty-
sięcy lat temu.

Chociaż natężenie pola ma-
gnetycznego się obniży, to
najbliższe odwrócenie bie-
gunów nastąpi nie wcze-
śniej niż za pięć tysięcy lat.
Pełny cykl zmiany biegunów
może trwać nawet 10 tysię-
cy lat. Z punktu widzenia
człowieka nie będzie to żad-
ną katastrofą. W dziejach
gatunku ludzkiego wystąpi-
ły już trzy takie odwrócenia
i wszystkie przeżyliśmy.

Tęsknimy za młodością
– choć bez przesady.
nie za wczesną. Badania
przeprowadzone
w różnych grupach
wiekowych pokazały, że:

80%

15–19-latków jest bardzo
zadowolonych ze swojego
wieku

54%

ludzi między 20.
a 29. rokiem życia uważa
ten okres za najlepszy

42%

30–39-latków chciałoby
mieć o 10 lat mniej

43%

osób po czterdziestce,
a przed pięćdziesiątką
sądzi, że najlepiej byłoby
mieć 20–29 lat

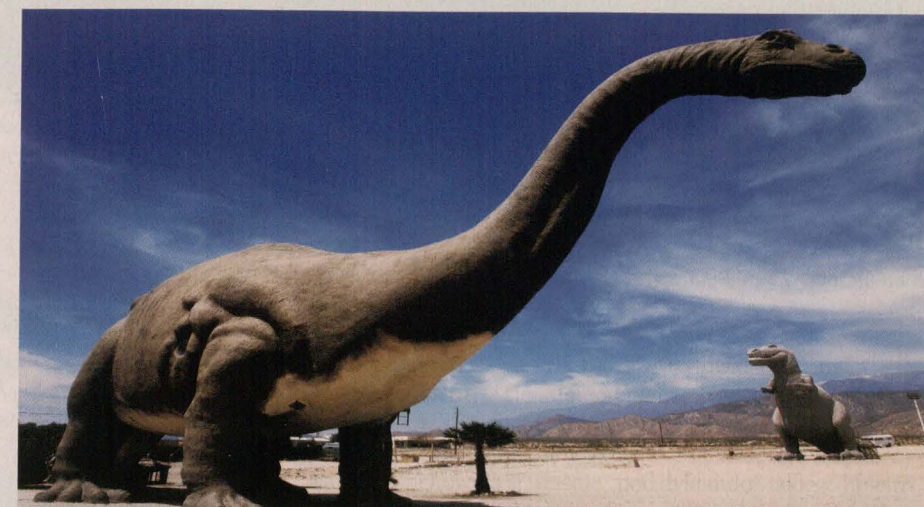
30%

badanych 50–59-latków
marzy, by być wciąż
dwudziestokilkulatkiem

24%

ludzi po sześćdziesiątce.
chciałoby wciąż mieć
więcej niż 20, a mniej
niż 30 lat

źródło: TNS OBOP



Fot. MICHAEL T. SEDAW/CORBIS/FREE

Egzekucja wszech czasów

Dlaczego dinozaury wyginęły 65 milio-
nów lat temu? Próbuje to wyjaśnić
dwie teorie. Niemieccy uczeni stwo-
rzyli trzecią. Nie było to trudne – wymie-
szali ze sobą te już istniejące.

Pierwsza stara teoria zakłada upadek
wielkiego meteorytu w rejonie Zatoki
Meksykańskiej. Chmura pyłu, jaka wzbila
się w powietrze, zablokowała dostęp pro-
mieni słonecznych do Ziemi. Ciemno
jak... no, w każdym razie dla roślin – po-
żywienia większości dinozaurów – za-
ciemno. Druga hipoteza zakłada podobny
efekt, tyle że winą obarcza gigantyczne
erupcje wulkanów, jakie 60–65 milionów
lat temu uformowały wyżynę Dekan w In-
diach. Oba zdarzenia zostały udokumen-
towane przez geologów – czas ich akcji
z grubsza się pokrywa.

Obie teorie da się zgrabnie połączyć
– twierdzą badacze z niemieckiego uniwer-
sytetu w Kiel. Opracowali taki scenariusz:
gromadząca się pod indyjską płytą tekto-
niczną lawa przez długi czas nie znajdowa-
ła ujścia. W końcu płyta zaczęła pękać. La-
wa została uwolniona, a wraz z nią ogrom-
ne ilości gazów. To już znamy. Ale Niemcy
dopisują ciąg dalszy: tuż po eksplozji gwał-
townie spadło ciśnienie w „kominie”, któ-
rym wyleciały lawa i gaz. „Komin” zaczął
się zapadać z prędkością naddźwiękową.

To zrodziło oddolny podmuch, który wy-
pchnął 20 gigaton kruszących skał. Wyle-
ciały w powietrze z energią równą wybu-
chowi siedmiu bomb atomowych. Część
brył mogła mieć spore rozmiary. I tu wła-
śnie tkwi sedno teorii. Zdaniem jej auto-
rów taka gigantyczna skała była w stanie
przelecieć kawał drogi i podczas upadku
tak samo jak meteoryt utworzyć krater. Ten
znad Zatoki Meksykańskiej ma nieregular-
ny kształt, który nie wyklucza upadku me-
teorytu. Ale zdaniem Niemców pasuje też
do uderzenia wielkiej bryły, która nadlecia-
ła z kierunku Indii, a dokładnie znad Ocea-
nu Indyjskiego, bo 65 milionów lat temu
Półwysep Indyjski był wyspą z wolną dry-
fującą w kierunku Azji.

Teorię niełatwo zweryfikować. Pomogło-
by odkrycie pozostałości zapadniętego
„komina”. Wskazówką może być na przy-
kład anomalia grawitacyjna – kiedyś zare-
jestrowano taką na wyżynie Dekan.

Można by też poszperać w kraterze z Za-
toki Meksykańskiej. Do tej pory szukano
tam śladów meteorytu. Zresztą może ślady
samego „pocisku” już znaleziono w Mek-
syku. Tylko dotychczas nikt nie pomyślał,
by je porównać ze strukturą geologiczną
skał występujących pod wyżyną Dekan...

ROBERT GONTAREK

[Zagadka]ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI
Z NUMERU 23/24

Wacek obchodzi urodziny
31 grudnia. Powiedział to

1 stycznia. 30 grudnia miał
jeszcze 49 lat. 31 grudnia
skończył 50. W roku, w któ-
rym to powiedział, skończy
51, a w następnym 52 lata.

psychologia

**Co imię mówi
o twoim
charakterze?
Czy ma wpływ
na życie i zdrowie?
Jak nami manipulują
za pomocą imion
– opowiada
psycholog
DOKTOR KRYSZYNA
DOROSZEWCZ**



Fot. PIOTR MAŁECKI

PRZEKLETE IMIĘ TWOJE

OLGA WOŹNIAK: Czy można by było żyć, nie mając żadnego imienia?

DOKTOR KRYSZYNA DOROSZEWCZ*: To byłoby bardzo trudne. Myślę, że dla osoby nienazwanej skończyłoby się poważnymi zaburzeniami osobowości. Dla człowieka to, co nienazwane, nie istnieje. Dlatego zresztą w wielu kulturach nadanie dziecku imienia oznacza jego „zaistnienie” dla prawa, Boga, współplemieńców i wiąże się z rytuałem.

Myślę, że stworzenie sytuacji „człowieka bez imienia” (choć i już samo to określenie jest swego rodzaju imieniem) byłoby możliwe tylko w warunkach – dość niehumanitarnego zresztą – eksperymentu.

A czy zawsze nazywaliśmy się tak samo?

– Zapisy najdawniejszych polskich imion pochodzą z XII wieku. Najstarsze imiona słowiańskie pochodziły od nazw pospolitych – duża ich część wiąże się z przyrodą: Lis, Lew, Kwiatek, Kawka, Śnieguła. Były też imiona opisujące ludzkie cechy: Krzyk, Wrzeszcz, Chrapek, Gęba, Jęzor, Goły, Cich, Smutek, Wółkuń. Na tej liście zapisane są również imiona magiczne: Niemir, Niemoj, które miały na celu zabezpieczenie dziecka przez urokiem, złymi siłami przez zaprzeczenie jego wartości.

Przełomową datą było przyjęcie chrześcijaństwa w 966 roku – repertuar bardzo się przez to rozszerzył o imiona hebrajskie, biblijne, rzymskie i greckie.

Czy jest jakiś uniwersalny sposób tworzenia imion?

– Nie. W kulturze sumeryjskiej na przykład imiona mogły być całymi zdaniem: Lugal-Ana-Mundu, co znaczyło Sprowadził Go Król Nieba. Grecy z kolei woleli imiona jednorodne, a ponieważ wierzyli, że mają one wpływ na los człowieka, starali się, by miały nobliwy charakter. Rzymianie nie mieli wybujałej wyobraźni – ich imiona były konkretne, pozbawione metaforyki. Odnosiły się do cech fizycznych – Tomasz (bliźniak), Klaudiusz (kulaawy), Małgorzata (perła) – czy do kolejności i pory urodzin – Oktawia (ósma), Sekstus (szósty). Dla Murzynów afrykańskich bardzo ważny był dzień przyjścia dziecka na świat – z imienia wynikało, kto urodził się w niedzielę, a kto w piątek.

Czy istnieją imiona, których lepiej dzieciom nie nadawać?

– Kiedyś takimi tabu były imiona królów. W Polsce do dziś nie nadaje się – popularnego w krajach łacińskich – imienia Jezus. Do XVII wieku dziewczynki praktycznie nie nazywano Maria.

A czy imię, jakie nosimy, ma wpływ na to, jakimi jesteśmy ludźmi?

– Pewien amerykański pisarz stwierdził kiedyś, że nigdy nie mógł dojść, czy imię kształtowane jest przez dziecko, czy też dziecko przeobraża się tak, żeby pasowało do imienia. Badania psychologiczne, które zresztą w tej dziedzinie prowadzi się stosunkowo od niedawna, pokazują jednak, że imię ma wpływ na nasze życie.

Na czym ten wpływ polega?

– Na wpisywaniu się w pewne stereotypy. Lubiemy się nimi posługiwać, bo stereotypy oszczędzają

czas, selekcionują informacje. Nasz umysł w naturalny sposób kategoryzuje za ich pomocą świat. Stereotypy imion dają poczucie kontroli nad innymi, pozwalają przewidywać ich zachowanie. O ile łatwiej jest myśleć, że wszystkie Kaśki są wredne, a Jakubowie oschli.

No dobrze, a jak raz poznamy fajną Kaśkę?

– To komentujemy to stwierdzeniem, że jest nietypowa. Albo: „Jak na Jakuba, to on jest całkiem uczuciowy”.

No ale co my jesteśmy winni? Imię wybierają nam rodzice.

– To prawda, dlatego mówi się nawet, że imiona dzieci stanowią rodzaj wizytówki rodziców. Ci też kierują się stereotypami. Nadają dziecku imię w sposób życzeniowy – chcą, by ich potomek posiadał pewne cechy, które to imię konotuje. Często wychowują je właśnie „pod dyktando” takiego imienia.

Są tu jakieś prawidłowości?

– W XVIII-wiecznych kalendarzach zalecano rodzicom, by dawać dzieciom imiona zgodne z ich „przeznaczeniem”. Jeśli planowano, że potomek zostanie księdzem – powinien być ochrzczony jako Bogusław, gdy miał pozostać na gospodarstwie – to Rolisław czy Ziemomysł. To oczywiście anegdota, ale z każdym imieniem kojarzą się jakieś wartości. Zauważono na przykład, że rodzice z niższych klas chętniej obdarzają swe dzieci imionami niezwykłymi, jakby miały im one zapewnić lepsze życie. Rzadkie imiona mają często dzieci kobiet gorzej wykształconych, samotnych matek. Te ostatnie też często nadają synowi imię jego ojca, by trochę „zaczarować” rzeczywistość, stworzyć silniejszą więź z tatusem, który nie poczuwa się do odpowiedzialności. Ciekawym przypadkiem są również imiona damsko-męskie.

To znaczy jakie?

– Aleksandra/Aleksander, Władysław/Władysław, Daniela/Daniel. Okazuje się, że kobiety nimi obdarzone są nieco inaczej wychowywane. Bardziej w ich wychowanie angażuje się ojciec. Natomiast gdy same mają określić własną płć psychiczną – nadają sobie więcej cech męskich niż kobiety o typowo „kobiecych” imionach.

A czy można powiedzieć, że imię ma wpływ na nasze zdrowie?

– Imiona rzadkie, niepopularne mogą mieć wpływ patogeniczny na noszącą je osobę. Zwykle nadający je rodzice mają problemy z przystosowaniem. To może być zwiastun przyszłych nieprawidłowości w procesie wychowania. Zaskakująco wysoki jest współczynnik zaburzeń psychicznych wśród osób posiadających niezwykle imiona. Ludzie, którzy nie akceptują swojego imienia, mają też gorszą samoocenę.

Dlaczego?

– Jest kilka hipotez: osoba nosząca takie imię miała z jego powodu trudności w dostosowaniu się społecznym – była w dzieciństwie wyśmiewana na przykład, a może rodzice, którym przyszło ono do głowy, dawali tym wyraz własnych problemów, które potem ujawniały się u dzieci.

psychologia

To chyba nie znaczy, że wszyscy z oryginalnymi imionami są zagrożeni chorobą psychiczną?

– Oczywiście, że nie. Jedynacy częściej otrzymują imiona rzadkie niż dzieci z rodzin wielodzietnych. Imiona oryginalne wybierają rodzice najmłodszy i najstarszy, a także ci wykonujący nieatrakcyjne zawody. Jednak to raczej reguła, że matki dzieci o imionach rzadkich częściej ujawniają tendencje do górowania nad nimi, dominacji. Zachowują też częściej dystans uczuciowy do dziecka.

Kiedyś z długowiecznością wiązano imiona Adam i Ewa. Czy ludzie o określonych imionach żyją dłużej?

– Amerykanie przeprowadzili bardzo ciekawe badania – w Stanach ludzie często posługują się dwoma imionami. Skrót pierwszych liter imion i nazwiska tworzy czasem jakiś sensowny trzyliterowy wyraz. Co więcej – wyrazy te mogą być pozytywnie lub negatywnie nacechowane (na przykład ASS czy OAK). Otóż okazuje się, że to znaczenie różnicuje długość życia. Ci z „pozytywnymi” inicjałami są zdrowsi i żyją dłużej niż ci z „negatywnymi”.

Czy ludziom, którzy noszą ładne imiona, jest w życiu lepiej?

– Raczej tak. Takich ludzi postrzega się jako bardziej atrakcyjnych, mądrzejszych, ładniejszych. Z badań wynika, że nawet nauczycielki w szkole lepiej oceniają uczniów z ładnymi imionami. Dotyczy to zwłaszcza dziewczynek.

O, czy to znaczy, że wyborem imienia dla chłopca kieruje jakaś inna logika niż dla dziewczynki?

– Trochę inna. Imię dziewczynki może być bardziej fantazyjne, ma być ozdobą. Imię chłopca jest rozpatrywane w kategoriach bardziej użytecznych: ma podkreślać jego status, dawać mu pozycję w społeczeństwie. Chłopcy rzadziej mają dziwne imiona.

A jakie cechy powinno mieć idealne imię?

– Powinno być przeciętnie popularne, harmonijnie dobrane do nazwiska (są rodzice, którzy wykazują się wątpliwym poczuciem humoru, do nazwiska Pan dodając na przykład imię Tadeusz), nieprovokujące przezwisk, mające polską pisownię i niekojarzące się z niczym kompromitującym.

Ma pani wrażenie, że pewne imiona wydają się skompromitowane? Jak do tego dochodzi?

– Najczęściej przez skojarzenie z jakąś osobą, która je nosi – jak Adolf. Na przykład Alfons zawiązuje swą niesławę komedii Alek-

sandra Dumasa „Monsieur Alphonse”, w której tytułowy bohater był stręczycielem. Imię bywa też kojarzone z jakąś grupą społeczną, w której często występuje, czy jest wyrazem przejściowej mody – jak Isaura.

Czy to ważne, że imię daje się zdrabniać?

– Tak. Różne formy imienia dają dziecku dodatkową informację o stosunku otoczenia do niego. Niedobre są imiona będące źródłem wyłącznie „głasków” (na przykład Misia) czy kopniaków. Imię, które nie da się zdrobnić, trochę upośledza towarzystwo jego właściciela. Z badań przeprowadzanych wśród studentów wynika, że chętniej na imprezę zaproszą Kaśkę niż Katarzynę, Kostka niż Konstantego.

A co myśleć o przezwiskach?

– John Steinbeck powiedział kiedyś: „Jeśli ktoś ma przezwisko, jest to dowodem, że źle dobrano mu imię”. Choć oczywiście przezwiska w pewnych środowiskach to takie rytualne imiona świadczące o przynależności do grupy, na przykład przestępczej. Przezwiska przenoszą w wymiar innych wartości, często zapewniają anonimowość pozwalającą na dokonywanie czynów, których nie zrobiłbym jako człowiek znany z imienia i nazwiska.

W niektórych restauracjach panuje zwyczaj, że kelnerka przedstawia się nam: „Dobry wieczór, mam na imię Agnieszka, będę dziś państwa obsługiwać”.

– To dobry pomysł. Fakt znajomości imienia kelnerki ma wpływ na wysokość napiwków.

Czyli używając imion, da się nimi manipulować?

– O tak! Przeprowadzono badanie, w którym osoba zbierająca datki miała identyfikator z imieniem. To zwiększało hojność dających. Zławsza zaś, gdy imię proszącego o pomoc było takie samo lub podobne jak osoby, do której się zwracał (dawało dwukrotnie więcej pieniędzy). To tak zwany efekt podobieństwa. Ktoś, kto nazywa się podobnie do nas, może z nami znacznie więcej załatwić. Są tu też jednak pułapki. W eksperymencie wykazano, że gdy chore dziecko, na które zbierano pieniądze, miało tak samo na imię jak osoba, do której zwracano się o pomoc – efekt był odwrotny – mniej chętnie pomagaliśmy, jakby bojąc się, że przypa-

łość chorego przez podobieństwo imion przeniesie się i na nas.

Jakie są jeszcze sztuczki związane z imionami?

– Znany jest też efekt pamiętania czyjegoś imienia. Gdy ktoś przy ponownym spotkaniu będzie pamiętać nasze imię, potraktujemy to jak komplement i będziemy skłonni więcej zrobić dla tej osoby. Juliusz Cezar słynął z pamiętania imion tysięcy żołnierzy. Wiedząc o tym efekcie, Jim Farley prowadzący w 1932 roku kampanię wyborczą prezydenta Roosevelta nauczył się na pamięć tysiąca imion i nazwisk wyborców. Jednak źle zastosowana manipulacja imionami może przynieść odwrotny skutek do zamierzonego...

Może nas zniechęcić?

– Tylko w Polsce występuje forma półoficjalna: „pani Olu”, „panie Krzysiu”. Jest irytująca i prowadzi do skracania dystansu – często taką formą posługują się ludzie, którzy chcą stworzyć wrażenie zażyłości i coś nam wcisnąć.

Podobnie należy uważać na to, jakie imię wpisują sobie pracownicy noszący specjalne plakietki-identyfikatory. Klient, gdy słyszy, że ma do czynienia z Basią czy Piotrkim, może to odebrać jako nadmierną poufałość, a firmę jako niezbyt poważną. Z sukcesem kojarzone są oficjalne formy imion.

Czy jakieś imiona nadają się bardziej do pewnych zawodów?

– Można mieć kłopot z dostaniem poważnej pracy, gdy nosi się imię Lola. Ale poważnie mówiąc, niedawno badacze wykryli też podobieństwo między literami wchodzącymi w skład imienia czy nazwiska a nazwami wykonywanych zawodów czy miejscem zamieszkania. Skrajnym przypadkiem jest studentka prawa – Justyna – która twierdziła, że jej imię predysponowało ją do wyboru takiego kierunku studiów, bo pochodzi od słowa justus – sprawiedliwy, prawy. Częściej też w zawodach artystycznych realizują się ludzie o niezwykłych imionach.

Czy da się powiedzieć, jakie imię jest najpopularniejsze na świecie?

– Anna. Obliczono, że nosi je blisko 95 milionów kobiet.

A pani lubi swoje imię?

– Kiedyś mniej je lubiłam, teraz już się przyzwyczaiłam. Ta niechęć wynika oczywiście z krzywdzących stereotypów z nim związanych. Uważa się na przykład, że Krystyna ma słabość do mężczyzn. Na studiach jednak starałam się odnajdywać wybitne kobiety o tym imieniu. Natomiast moja siostra nie posługuje się imieniem, które nosi w dokumentach.

ROZMAWIAŁA OLGA WOŹNIAK

PROFESOR KRYSZYNA DOROSZEWICZ
JEST PSYCHOLOGIEM, PRACUJE
W WYŻSZEJ SZKOLE PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ

Panna Tufli Pufli
“odjechana” komedia muzyczna
Libretto
Stanisław Ignacy Witkiewicz
Muzyka
Janusz Stokłosa
Scenografia i kostiumy
Magdalena Maciejewska
Inscenizacja, reżyseria i choreografia
Janusz Józefowicz

ZAPRASZAMY:
20, 21, 22, 28, 29 i 30 czerwca
oraz 1, 2, 3, 6, 7, 8, 9 i 10 lipca

STUDIO Buffo
ul. M. Konopnickiej 6, 00 491 Warszawa tel. 625 47 09, 339 07 71, fax 622 92 93 www.bileteria.pl www.eBilet.pl

RMF FM prezentuje
patroni medialni
PRZE KROJ
INTERIA.PL
matras KSIĘGARNIE
MERLIN.PL

blaskotliwy debiut
www.wab.com.pl

JOANNA SZYMCZYK
Ewa i złoty kot
MROČNA SERIA

Nowy format reklam w „Przekroju”
Ogłoszenia modułowe

Jeden moduł formatu 60 x 37 mm

WSPRZECZNA POLSKA
Szkoła Wyższa TWP w Warszawie
Pałac Kultury i Nauki, VIII piętro
00-901 Warszawa, pl. Defilad 1
tel./faks (0-22) 624 88 35, tel. (0-22) 656 61 92

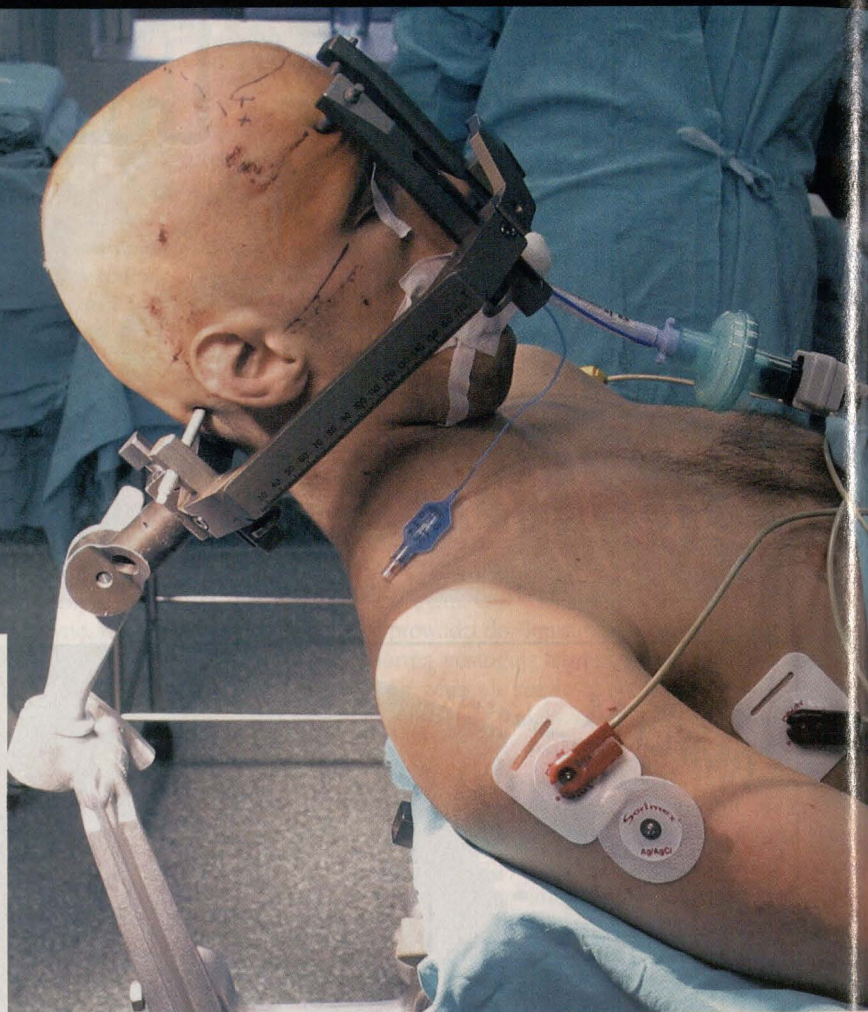
Zapraszamy na 3-letnie studia licencjackie
dzienne i zaoczne na kierunkach:
PEDAGOGIKA – Pedagogika resocjalizacyjna
ADMINISTRACJA – Samorząd terytorialny

Niskie czesne płatne miesięcznie.
Bez egzaminów wstępnych!
Możesz studiować w centrum Warszawy.
(wszystkie zajęcia w PKiN)

www.wszechnicapolska.ids.pl

TIK ZOPEROWANY

Jesteśmy terroryzowani przez własne mózgi. Dzięki temu żyjemy i jesteśmy (zwykle) szczęśliwi. Czasem mechanizmy terroru nawalają. Z tym nie da się normalnie żyć. Można to już jednak operować. Nawet w Polsce



nowe terapie

Zdarza się też i odwrotnie: przymus zrobienia czegoś staje się tak ogromny, że praktycznie nie jesteśmy w stanie go zaspokoić – bez przerwy myjemy ręce, mówimy, chodzimy w kółko, pchamy się w niebezpieczne sytuacje.

Zespół Tourette'a to właśnie przykład takiego zepsucia się mechanizmów przymusu. Nagłe ruchy czy dźwięki, jakie wydają chorzy, to wynik nadmiernego pobudzenia przez dopaminę części mózgu nadzorującej ruchy automatyczne, czyli te, których nauczyliśmy się przez powtarzanie. Ta część mózgu tkwi głęboko – nie zdajemy sobie sprawy z jej działania, dzięki czemu świadomość może się skupiać na przykład na rozwiązywaniu zadań z trzema niewiadomymi lub planowaniu wieczornej imprezy.

Gdy coś się zepsuje w tym automatycznym pilocie, człowiek zaczyna nagle podrzucać ramieniem, wysuwać żuchwę, dotykać głowy, stukać w ścianę – robić miliony zbędnych, powtarzalnych ruchów.

Ludzie tacy są w stanie opanować na jakiś czas ów przymus, ale nadrabiają to z nawiązką. Odczuwają to jak my, gdy na chwilę zatrzymujemy oddychanie, ale potem głęboko

i gwałtownie nabieramy powietrza. Czasem turetycy wypowiadają sekwencje słów – dlatego, że szlak, którym w mózgu przepływa dopamina, styka się z polem odpowiedzialnym za mowę. Wielu turetykom pomagają leki hamujące działanie dopaminy. Innym nic nie pomaga.

– Może dałoby się otworzyć im głowy i coś podregulować? – zastanowili się jakiś czas temu neurologi. Nie znamy przyczyn choroby, wiemy jednak, gdzie powstają objawy.

Jak wymyślili, tak zrobili – pierwszą na świecie operację na mózgu turetyka przeprowadzono w zeszłym roku w Stanach Zjednoczonych. Lekarze wszczepili do mózgu chorego dwie elektrody zasilane baterią. Stymulacja elektryczna blokowala „stację przekaźnikową” w mózgu, a to sprawiło, że objawy choroby zanikły.

W czerwcu podobny zabieg w Polsce wykonali neurochirurdzy z warszawskiego Szpitala Bródnowskiego. Zespołem kierował profesor Mirosław Ząbek.

Podkreścić mózg

Wszczepienie stymulatora nie uszkadza struktur mózgowych – jest całkowicie bezpieczne. Jest też drogie – kosztuje 10 tysięcy dolarów. Polski Fundusz Zdrowia nie finansuje pionierskich metod leczenia. Tu zapłaciło Stowarzyszenie Postępu Leczenia Chorób Układu Nerveowego. Operacji poddano 29-letniego mężczyznę, na którego nie działały żadne leki.

Chłopak wbrew swojej woli co chwila z wielką siłą kopał, wrzeszczał, walił się po głowie. Rozbijał urządzenia, meble, rodzicom połamiał żebra, sam uszkodził sobie oczy, słuch. Choroba przybrała na sile w ostatnich latach.

– Po tygodniu od operacji objawy się zmniejszyły – mówi profesor Ząbek. – Na ostateczny efekt trzeba będzie jeszcze poczekać. Jak długo? To pionierski zabieg – nie wiadomo.

W Polsce na zespół Tourette'a cierpi kilkanaście tysięcy osób.

OLGA WOŹNIAK

KORZYSTAŁAM Z KSIĄŻKI RITY CARTER „TAJEMNICZY ŚWIAT UMYŚLU”

Mózg działa na prąd. Gdy nawali w nim choć jeden podzespolik, reszta zaczyna zachowywać się jak zepsuty samochód. Może produkować dziwne dźwięki, zaburzenia obrazu, niespodziewane ruchy. Ma taką gamę środków, że do ich opisania potrzeba by kilku opasłych tomów, a nie tej półtorej stroniczki. Dlatego napiszę tu tylko o jednym – w kategorii wad urządzenia należy szukać go pod literą T. T jak Tourette'a de la Gillesa zespół. Dlaczego akurat o nim? Dlatego, że opracowano właśnie metodę operacyjnego leczenia tego schorzenia u pacjentów, którym nie pomagają standardowe leki.

Objawy: mimowolne, nagłe, krótkotrwałe, skoordynowane skurcze mięśni jednej lub więcej części ciała (tiki ruchowe). Szybkie, nagłe, krótkotrwałe wydawanie dźwięków lub słów (tiki wokalne). Szczególnie krępująca dla cierpiącego i jego otoczenia jest tak zwana koprofalia – wykrzykiwanie sprośnych słów.

Mimo że odczuwane są jako nieodparte, możliwe jest przez pewien czas świadome powstrzymanie tików. Wysiłek w to włożony zwiększa jednak napięcie, co doprowadza do spotęgowania objawów – człowiek dotknięty zespołem Tourette'a musi się wytykać.

Choroba dotyka osób zupełnie normalnych, często o ponadprzeciętnej inteligencji. Mimo udręki, którą sprowadza, czasem jest źródłem talentu – cierpiał na nią na przykład Amadeusz Mozart. Podejrzewa się, że dzięki niej tworzył wariacyjne, niezwykle utwory.

Wykrzyzc gniew

Neurolog Gilles de la Tourette w 1885 roku pierwszy opisał chorobę tików nazwaną później jego imieniem. Przypadłość ta znana była jednak wcześniej. Objawy dokładnie opisano w średniowiecznych raportach dotyczących ludzi uznanych za... opętanych przez diabła.

I choć z czasem odstąpiono od teorii obarczającej winą za chorobę siły nieczyste, wciąż nie było wiadomo, skąd się bierze.

Pewien psychoanalityk uznał na przykład, że owe tiki to następstwo tłumienia złości, która wydostaje się nagłymi wybuchami. Zachęcał pacjentów, by wyrażali swój gniew w sposób bardziej otwarty. Zwolennicy tej teorii trzymali się dość długo – do roku 1960. Wtedy wynaleziono lek, który łagodzi objawy tej choroby lub nawet całkiem je likwiduje.

Okazało się, że zespół Tourette'a związany jest z nieprawidłowym działaniem w naszym mózgu substancji zwanej dopaminą. To rodzaj

posłańca przenoszącego do różnych obszarów informacje. U turetyków jest jej za dużo. Lek wiąże się z receptorami, które przeznaczone są do jej przyjmowania. W ten sposób nie dopuszcza do ich pobudzenia. To usuwa tiki.

Dziś wiemy, że zespół Tourette'a to zaburzenie neurologiczne związane z wydzielaniem dopaminy, w którym nawala podzespół mózgu związany z wytwarzaniem w nas różnych postaci przymusu. A do czego trzeba nas zmuszać?

Pobudzone neurony

Naczelny przymusem jest – czy komuś się to podoba, czy nie – konieczność zachowania gatunku, czyli rozmnażanie. By do niego doszło, trzeba w nas jednak wykształcić przymus odżywiania, oddychania, poruszania się, zakochiwania, wrzuszania i innych, stanowiących całą listę mniej lub bardziej oczywistych przymusów, której wypełnienie zapewnia nam ostatecznie jedno – poznanie odpowiedniej osoby i wytworzenie z nią potomka.

System, który nas zmusza, jest oparty na zasadzie kija i marchewki. Nakłonieniu nas do działania służą przykre doznania: głód, pragnienie, samotność, ból, smutek. Gdy postąpimy tak, by zlikwidować owe bodźce, dostajemy nagrodę w postaci różnego intensywnością poczu-

cia szczęścia, spełnienia, zadowolenia. Pożądanie – działanie – zaspokojenie. Tak działa to prawidłowo. Czasem zdarza się jednak usterka. Tracimy przymus utrzymywania się przy życiu, mienia się, jedzenia. Efekt: samobójstwo, choroby dermatologiczne i zakaźne, anoreksja.



KARTA robi PIENIĄDZ



Zamów kartę kredytową, w ciągu dwóch miesięcy zrób nią zakupy o wartości minimum 1000 zł, a dostaniesz od nas 100 zł w prezencie.

Zadzwoń: 0 801 602 801*, www.raiffeisen.pl

*Koszt połączenia – cena 1 impulsu + VAT wg taryfy TP S.A. za każdą rozpoczętą minutę

**Raiffeisen
BANK**

Raiffeisen Bank Polska S.A.

**Pudełko z napędem**

Komputer NANODE firmy HOOJUM DESIGN bije konkurencję na głowę – jest cichy i mieści się w dłoni (94x150x160 milimetrów). Ma procesor Pentium 4, kartę sieciową i napęd DVD pozwalający odtwarzać muzykę i filmy. Dostępny w różnych kolorach i wzorach. www.hoojum.com

**Wyceluj i pstrykaj!**

Najnowszy aparat cyfrowy SONY CYBER-SHOT P73 jest łatwy i szybki w obsłudze. Wszystko ustawia się w nim automatycznie. Ma trzykrotny zoom optyczny, a jego 1,5-calowy monitor LCD pozwala przeglądać zdjęcia oraz nagrania wideo (w tempie 30 klatek na sekundę). Około 1700 złotych www.sony.pl

**Dla rozbitków**

NOKIA 3220 dzięki grze mobilnej wzorowanej na popularnym reality show „Rozbitkowie” sprawdzi, jak właściciel telefonu radzi sobie w ekstremalnych sytuacjach. Nauczy go na przykład komunikowania za pomocą znaków świetlnych: wystarczy pomachać telefonem, a diody ukryte w przezroczystych uchwytach same zaświecą pulsującym światłem. www.nokia.pl

Kino w kieszeni

Odtwarzacz muzyczny iMP-1100 firmy iRIVER, czyli coś dla telemaniaków, którzy nie lubią roztawać się z telewizorem. CD player ma dwucalowy kolorowy wyświetlacz, na którym można obejrzeć pliki z filmami zapisane w formacie DivX. Dostępny jesienią 2004 roku. Około 1600 złotych www.iRiver.pl

**Harley z przerzutkami**

Rower STILETTO firmy GIANT kształtem do złudzenia przypomina harleya. Ma wygodne siodło, siedmiobiegową przerzutkę Shimano Altus, a w „rurze wydechowej” – schowany łańcuch. Stalowa rama z widelcem zrobiona jest ze stali chromowo-molibdenowej. Około 2500 złotych www.giant-bike.com

[popmoda]

PRZYJACIEL
roba1

Psy i koty to nudna codzienność. Wynalazki w postaci legwanów czy pytonów też znormalniały i nie robią na nikim specjalnego wrażenia. Nadchodzi czas obdarzania miłością i opieką zwierząt, które dotąd zwykliśmy zwalczać: chrabąszczów, pluskwiaków, szarańch i mrówek.

Hierarchia owadów

Hitem sezonu są żuczki rohatynce i modliszki. Oprócz hodowców – badaczy i zapaleńców – kupują je również zwykli ludzie. – Bardzo możliwe, że zakupimy jeszcze inne owady, choć i tak mamy ich sporo – usłyszeliśmy w warszawskim Markecie Zoologicznym. Choć wzrost sprzedaży w specjalistycznych sklepach jest faktem, to popyt na owady trudno oszacować, bo często zdobywa się je w lesie. – Hodowlę zacząłem od złapania mrówczej królowej podczas jej lotów godowych. To było najtrudniejsze, świete dołożyłem później. Nie było z tym problemu, bo o wszystkim przeczytałem na stronie o mrówkach – chwali się 17-letni Mariusz Sierczyński z Nowego Sącza. Teraz do założenia własnych kolekcji przygotowują się jego koledzy.

Wielbiciele owadów cenią w tych zwierzętach przede wszystkim ciekawy tryb życia oraz socjalny porządek. – Taki kot usiadzie na balkonie i patrzy na ptaki pół godziny, u mrówek mogą sobie pooglądać różne zależności, ich hierarchię, to naprawdę wkręca człowieka. Może mrówki nie obronią domu przed złodziejami, ale też go nie zapaskudzą, nie będą pisać przed drzwiami, żeby je wyprowadzić. No i przede wszystkim ja nie ograniczam ich wolności, zbudowałem idealne odzwierciedlenie środowiska, w jakim żyją. Czują się jak w domu – zapewnia Mariusz. Owady nie są groźne i raczej nie atakują. Wyrośnięta modliszka może ugryźć w palec podczas podawania jej pokarmu, ale to rana porównywalna z zadrażnieniem. Nikomu się nic od tego nie stanie.

Przyjaciół jak mrówek

Ludzi w owadach fascynuje też tajemniczość. Zachowania udomowionych zwierząt są powszechnie znane, natomiast mrówki czy chrabąszcze potrafią, jak mówi Mariusz, wprawić w osłupienie lub rozbawić do łez.

Jednak zanim owady trafią powszechnie do naszych serc i domów, muszą przejść jeszcze długą drogę. Znaczący twierdzą, że najtrudniej przezwyciężyć atawistyczne obrzydzenie. Zdarza się jednak, że po przełamaniu pierwszych lodów powstaje swego rodzaju więź. – Nazywać, to ich nie nazywałem, trochę za dużo „przyjaciół”. Ale uznaję ich za współdomowników – śmieje się Mariusz. – Mrówka nigdy nie zastąpi psa czy kota, ale możliwe, że insekty przejmą po gadach pałeczkę nowości, urozmaicenia oraz przede wszystkim snobizmu. Na razie mogą powiedzieć, że zainteresowanie wzrasta – ocenia właściciel sklepu zoologicznego.

Na rosnący popyt rynek reaguje rozszerzeniem oferty. Serwis terrarystyka.pl radzi, jak i czym żywić larwy pluskwiaków i w jakich warunkach przetrzymywać szarańczę. Możliwe, że niedługo dojdziemy do świadomego hodowania w domu much, komarów i karaluchów. W zasadzie już teraz niektórzy mogą nadać im imiona, trzeba je tylko wylapać.



TOMASZ CZUKIEWSKI





EURO ZA 825 MILIONÓW EURO

Lizbona, 13 czerwca. Steven Gerrard (po lewej) tak nieudolnie podał piłkę do bramkarza, że ten ratował się faulem na Thierry'ym Henry'ym. Zidane (po prawej) wykorzystał rzut karny. Francja przegrywała do 91. minuty mecz wygrana go 2:1. Obie bramki strzelił Zidane.

Atutem piłkarskich mistrzostw Europy jest wyrównany poziom grających drużyn. Pasjonujące mecze z niemożliwymi do przewidzenia wynikami rozgrzewają kibiców do czerwoności

Choć może się to wydawać dziwne, mistrzostwa Europy są aż o 30 lat młodsze niż mistrzostwa świata. Pierwsze rozegrano dopiero w 1960 roku jako Puchar Europy. Dziś piłkarskie Euro to trzecie co do wielkości sportowe wydarzenie na świecie, ustępujące jedynie igrzyskom i mistrzostwom świata w piłce. Tylko w eliminacjach tej edycji rozegrano aż 210 meczów w 10 grupach, by z 50 krajów, które się zgłosiły, wyłonić finałową szesnastkę.

Mistrzostwa Europy są od dawna znacznie ciekawsze niż mistrzostwa świata. Z prostego powodu. Poziom jest bardziej wyrównany i częściej dochodzi do pojedynków wzbudzających wielkie emocje, takich jak niedzielne spotkanie Francja – Anglia. – Dla takich meczów wymyślono futbol – powiedział pomocnik Anglii Steven Gerrard. Przewidywania się sprawdzały. To było pasjonujące spotkanie, które na pewno zapisze się w historii europejskiej piłki. Która

drużyna odbierze puchar Henri Delaunaya, pomysłodawcy mistrzostw? Który zespół zgarnie 18 milionów euro dla zwycięzcy z rekordowej puli 130 milionów? Przekonamy się 4 lipca.

Zdecydowanymi faworytami do wygrania Euro są broniący tytułu Francuzi. Od blisko 20 spotkań nie przegrali, a przez prawie rok nie stracili nawet bramki. To wynik, do którego nawet nie zbliżył się żaden z finalistów. W Portugalii z Anglią wygrali cudem, ale wygrali. Bo mają Zinedine'a Zidane'a. Poza nim są Thierry Henry i Patric Vieira uznawani za najlepszych piłkarzy na swoich pozycjach. Nie tylko w Europie. To zespół bez słabych punktów.

ANGLICY GŁODNI SUKCESÓW

Anglicy, którzy ciągle wspominają rok 1966, kiedy wygrali mistrzostwa świata, twierdzą, że tak dobrej drużyny nie mieli od lat. Zdyscyplinowana, dojrzała i głodna sukcesów. Z Francją prawie się udało. W przeciwieństwie do innych

zespołów Anglicy mają na głowie dodatkowy problem. Swoich kibiców: fanatycznych, pod wieloma względami najlepszych, pod jednym – zachowania – najgorszych.

UEFA zagroziła natychmiastowym wykluczeniem Anglii z mistrzostw, jeżeli znowu dojdzie do zamieszek z udziałem ich kibiców. Angielska federacja robiła, co mogła. Po każdy z 30 tysięcy biletów trzeba było pofatygować się osobiście. Szanse na wejściówki mieli tylko ci, którzy nie mieli wcześniej doświadczeń z policją. Cóż z tego – wściekają się angielscy działacze – skoro kilka tysięcy biletów można było bez ograniczeń kupić przez Internet? W opublikowanym w ubiegły poniedziałek artykule trener reprezentacji Anglii Sven Goran Eriksson ostrzega: „Po ostatnich incydentach w Bratysławie, Zurychu i Sunderlandzie UEFA pokazała nam żółtą kartkę, na więcej problemów nie możemy sobie pozwolić”. Czy największa w historii antychuligańska operacja przyniesie skutek? Na razie

2200 angielskich kibiców dostało zakaz wyjazdu na mistrzostwa. Cztery lata temu taki zakaz wydano tylko stu osobom!

Od lat do faworytów każdego turnieju zaliczani są Włosi. Oni też na każdej pozycji dysponują graczami światowego formatu: Buffon, Nesta, Totti, Vieri. Być może przełamią się w końcu Holendrzy, którzy mają ogromny potencjał oraz równie wielkiego pecha w największych imprezach. A Hiszpania, Szwecja, Czechy? Tym razem do faworytów nie należą Niemcy. Jedna z niemieckich sieci sklepów ze sprzętem RTV obiecuje zwrot pieniędzy za kupiony na mistrzostwa telewizor, pod warunkiem że Niemcy wygrać Euro. Chętnych nie ma zbyt wielu.

No i oczywiście Portugalia, gospodarz ze swoimi gwiazdami. Dla Figo, Couto czy Rui Costy to ostatnia szansa na wygranie wielkiej imprezy. Jednak po porażce 1:2 z Grecją w meczu otwarcia szanse na zaistnienie w turnieju znacznie zmalały, a mistrzostwa bez gospodarzy tracą sporo ze swojego uroku. Czyżby całe zaangażowanie, cały wysiłek, lata przygotowań miały iść na marne? Bo Portugalczycy dokonali cudów.

EFEKT BARCELONY

Dotrzymali danego w 1999 roku władzom UEFA słowa, że na mistrzostwa za pięć lat będą przygotowani pod każdym względem. W najbiedniejszym państwie zachodniej Europy, liczącym zaledwie 10 milionów mieszkańców, zbudowano od podstaw siedem nowych stadionów, a trzy kolejne kompletnie zmodernizowano, w sumie za 650 milionów euro. Rząd i Unia Europejska dołożyły tylko 25 procent. Reszta pochodziła od władz lokalnych i klubów. Ogromne kwoty liczone w miliardach euro pochłonęła budowa nowych dróg, dojazdów do stadionów, remont autostrad, modernizacja kolei i szpitali.

Organizacje finansowe są pewne, że mistrzostwa i związane z nimi inwestycje spowodują poprawę całej portugalskiej ekonomii. Blisko milion gości zostawi w kraju 350 milionów dolarów, wydając je głównie na hotele, jedzenie, pamiątki. W Lizbonie i Porto, gdzie odbędą się w sumie więcej niż połowa spotkań, wszystkie miejsca w hotelach są już dawno zarezerwowane. Dochód z mistrzostw ma osiągnąć 825 milionów euro, prawie trzy razy więcej niż cztery lata temu w Belgii i Holandii. Według przeprowadzonych przez UEFA badań należy liczyć się również z tak zwanym efektem Barcelony. Podobnie jak było ze stolicą Katalonii po igrzyskach olimpijskich w 1992 roku, tak i teraz w Portugalii należy oczekiwać sporego wzrostu zainteresowania przyjazdami do kraju w kolejnych latach. A to przekłada się na kolejne setki milionów euro wydanych w Portugalii. UEFA ostrzega jednak, że przyszłe wpływy będą w dużym stopniu zależeć

od wrażenia, jakie zostawi po sobie gospodarz. A Portugalia stara się być przyjazna.

ZAGROŻENIA: TERRORYŚCI I KIBICE

Zorganizowano wiele bezpośrednich połączeń kolejowych między miastami, w których rozgrywane są mecze. Wszelkie prace na autostradach zostaną na czas Euro zawieszone, by jeździło się wygodniej. Kibice, którzy przez roztargnienie będą chcieli wejść na stadion z niedozwolonymi przedmiotami, takimi jak klucze, szczyrki, radia, będą mogli je bezpłatnie odesłać pocztą do hotelu lub do domu. No i do tego ogromna liczba koncertów, pokazów, wystaw, tak by goście nie mieli czasu się nudzić. O poziom sportowy mistrzostw organizatorzy się nie martwią. Martwią się o bezpieczeństwo.

To sprawa kluczowa. Zagrożenie uświadomiono sobie szczególnie po marcowych zamachach w Madrycie, w których zginęło blisko 200 osób. Nie ułatwia sprawy to, że Portugalia popiera amerykańską interwencję w Iraku. 75 procent Portugalczyków twierdzi, że jest duża lub bardzo duża szansa na to, że Al-Kaida przeprowadzi podczas trwania turnieju zamachy.

Organizatorzy są przygotowani na każdą ewentualność – od starć między chuliganami po zagrożenie terroryzmem. W ciągłej gotowości są NATO-wskie myśliwce F-16. Cały czas patrolowana jest linia brzegowa. Wokół stadionów rozlokowano snajperów. Odwołano urlopy strażakom, ratownikom, straży granicznej. Leonel Carvalho, odpowiadający za bezpieczeństwo podczas Euro, uważa, że nie można mówić, że nic się nie stanie: – Pewnie coś się wydarzy. Naszym zadaniem jest przewidywać i zapobiegać, a jak do czegoś dojdzie, załatwić to szybko i sprawnie.

Największym zagrożeniem oprócz terroryzmu będą tradycyjnie już kibice z Anglii, Niemiec oraz Holandii. 12 tysięcy policjantów zostało przeszkolonych do kontrolowania tłumów i w razie potrzeby walki z nim. Na czas mistrzostw Portugalia zawiesiła swoje członkostwo w Schengen. Każdy wjeżdżający musi mieć ważny paszport i jeżeli jest taka konieczność, wizę. Tylko w pierwszych dniach cofnięto z granicy ponad tysiąc osób, na szczęście nie było wśród nich podejrzanych o terroryzm. Mimo to w oficjalnym oświadczeniu amerykański rząd „nie rekomenduje” swoim obywatelom czarnego wyjazdu na południowy zachód Europy.

Pewne jest, że Portugalczycy zrobią wszystko, by ponad milion turystów i kibiców wyjechało z Portugalii, pamiętając tylko o wielkich sportowych emocjach i nieprzespanych nocach spędzonych w knajpkach nad brzegami Tejo czy Douro.

TOMASZ GORAZDOWSKI

PROGRAM III PR

GWIAZDY EURO 2004

ZINEDINE ZIDANE, Francja. Pomocnik. Urodzony w Marsylii syn algierskich emigrantów. Obok Pelego i Maradony zaliczany do trójki najlepszych piłkarzy w historii. To głównie dzięki niemu Francuzi zdobyli mistrzostwo świata i Europy. W 2001 roku przeszedł z Juventusu Turyn do Realu Madryt za rekordowe 65 milionów dolarów. Niedawno wybrany przez UEFA na najlepszego piłkarza Europy ostatniego 50-lecia.

DAVID BECKHAM, Anglia. Pomocnik. Najpopularniejszy piłkarz świata związany przez lata z Manchesterem United. Od roku gra w Realu Madryt. Jeden z najlepszych rozgrywających na świecie. Mistrz w wykonywaniu rzutów wolnych. Gwiazda światowej popkultury, mąż Victorii Adams ze Spice Girls.



RAUL GONZALEZ, Hiszpania. Jeden z najlepszych napastników świata. Najsukuteczniejszy w historii hiszpańskiej piłki. Kolejny gracz Realu, ulubieniec hiszpańskich kibiców. Trzykrotnie zdobywał Puchar Europy, cztery razy był mistrzem kraju. Słynie z niezwykłego instynktu na polu karnym przeciwnika.

LUIS FIGO, Portugalia. Pomocnik. Zdobywca Złotej Piłki w 2000 roku. Od czterech lat w Realu. Wielokrotny mistrz Hiszpanii (wcześniej z Barceloną). Lider reprezentacji, uznawany za następcę Eusebio.

PAVEL NEDVED, Czechy. Pomocnik. Od 10 lat pierwszoplanowa postać reprezentacji. Uznany w zeszłym roku za najlepszego zawodnika Europy. Z Lazio Rzym zdobył mistrzostwo Włoch, dwa razy Puchar Włoch oraz Puchar Zdobywców Pucharów. Od trzech lat gra w Juventusie Turyn. Kreatywny pomocnik z niezwykłą wytrzymałością.

PATRICK KLUIVERT, Holandia. Napastnik. Zaczynał karierę w Ajaksie Amsterdam. Od sześciu lat związany z Barceloną. Najsukuteczniejszy piłkarz poprzednich mistrzostw Europy. Strzelił w reprezentacji 40 bramek, najwięcej ze wszystkich piłkarzy występujących w Portugalii.

Foto: EAST NEWS (3), AP

WIDZIAŁEŚ, TO ZOBACZ

MAŁGORZATA SADOWSKA

Od lat historycy,
badacze, pisarze,
filmowcy próbują
wydrzeć obrazom
VERMEERA
prawdę o życiu
malarza.
Na próżno

Griet
z „Dziewczyny z perłą”.
Po raz kolejny Scarlett
Johansson zagrała w filmie,
w którym wszystko,
co najważniejsze, dzieje się

DZIEWCZYNA Z PERŁĄ
(1665/66) kryje
w sobie wiele tajemnic:
nie wiadomo, ani kim
była sportretowana
dziewczyna,
ani dlaczego
malarz ubrał ją
w ekscentryczny

Holenderscy mistrzowie handlowali, czym się dało: tulipanami, pończochami, dziełami sztuki. Mieli młyny, gospody, farbiarnie, pracowali w urzędach. Vermeer dzierżawił odziedziczoną po ojcu oberżę

Pisarka Tracy Chevalier przyglądała się młodej kobiecie z obrazu Jana Johanna Vermeera każdego dnia, zaraz po przebudzeniu – plakat z „Dziewczyną z perłą” wisiał przez wiele lat w jej sypialni. – Pewnego ranka zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie Vermeer namalował tę kobietę tak, że jednocześnie jest szczęśliwa i smutna? – opowiada. – W ciągu trzech dni miałam już gotową całą historię. To było bardzo łatwe – po prostu zobaczyłam ją w jej twarzy. Książka Chevalier okazała się bestsellerem i została zekranizowana – „Dziewczynę z perłą” Petera Webbera możemy właśnie oglądać w polskich kinach. I powieść, i film próbują odpowiedzieć na pytanie, kim była modelka jednego z najdoskonalszych malarzy wszech czasów i jakie relacje łączyły ją z mistrzem. Próbuje też pokazać świat, w jakim żył Vermeer.

Obraz powstał w 1666 roku, dziewięć lat przed śmiercią artysty. Nie wiemy, kim jest przedstawiona na nim młoda kobieta (przez pewien czas sądzono, że to najmłodsza z córek malarza, jednak data powstania obrazu nie zgadzała się z wiekiem dziewczynki), dlaczego ma wyjątkowo ekscentryczne nakrycie głowy (przypominający turban zwój materiału), a przede wszystkim, co tak naprawdę oznacza wyraz jej twarzy.

Na pierwszy rzut oka wilgotne usta i blask patrzących śmiało oczu mogą wydać się zalotne. Perła w uchu symbolizować może próżność i pokusę doczesnych „marności”, czyli cielesnych pragnień... Ale kragła perła jest też symbolem ludzkiej duszy i doskonałości. Może więc dziewczyna patrzy tak śmiało, bo pewna jest swoich cnót?

Tracy Chevalier, a za nią autorzy filmu „Dziewczyna z perłą” spróbowali przeniknąć tajemnicę obrazu – opowiadają więc historię nastoletniej służącej Griet, analfabetki, która staje się żoną malarza. Łączy ich niezwykle porozumienie i podszyta erotyzmem, niemal całkowicie pozbawiona słów więź. On karmi się jej zmysłowością, a w zamian dopuszcza do malarskich tajemnic. Film Webbera zanurzony jest w ulubionych Vermeerowskich barwach – żółciach, bielach, błękitach. Kadry, podobnie jak obrazy mistrza, są ciasne, kameralne, budowane głównie na zbliżeniach. Świat malarza został stworzony ze scen

i detali zaczerpniętych z jego obrazów. Bazując na badaniach historyków i historyków sztuki, a przede wszystkim na kilkunastu (z 35 zachowanych do dziś) obrazach, twórcy filmu podjęli próbę zrekonstruowania rzeczywistości, w jakiej żył, przestrzeni jego pracowni i domu.

Tylko czy rzeczywiście można ślepo wierzyć w realizm obrazów Vermeera?

PORZUCONA JAK BUT

Oto wnętrze mieszczańskiego domu: lśniąca posadzka z czarno-białych płytek, oparta o drzwi miotła, niedbale porzucone saboty. Do pokoju przed chwilą weszła służąca, by wręczyć swojej pani list. Na chwilę odstawiła kosz z wypraną bielizną – scenka rodzajowa, jakich wiele, portretująca spokojny mieszczański żywot.

Czemu jednak obraz nosi tytuł „List miłosny”? Skąd dziwny, poufały uśmiešek na twarzy służącej i niepokój w oczach jej pani? Co właściwie robią pantofle na podłodze? I jeszcze ta miotła w kącie pokoju – w miłującym porządek domu to nie do pomyślenia!

Przestańmy na chwilę myśleć o obrazie Vermeera jako o wiernym opisie mieszczańskiego wnętrza i spójrzmy raz jeszcze. W ręku pani widzimy lutnię. Właśnie grała – a może jeszcze nie zaczęła? Wyjęta na wierzch sterta nut wskazuje na to, że czeka na partnera do muzykowania. Nad głową kobiety wiszą dwa obrazy – w końcu obraz był wówczas przedmiotem codziennego użytku. Czemu jednak jeden z nich przedstawia akurat spacerującą samotnie postać, drugi pejzaż morski? „Miłość jest niczym morze, a kochanek niczym statek” – pisał poeta, a na obrazach XVII-wiecznych marynistycznych pejzażach w tle osób czytających listy oznaczały oddalenie od przebywającego gdzieś daleko kochanka. Znakiem oddalenia jest też pierwszy z obrazów. Więc kobieta z „Listu...” czeka na ukochanego! I właśnie dostała wiadomość – chyba jednak niezbyt pomyślną – wskazuje na to jej mina, ale i owe walające się po podłodze pantofle, które symbolizowały w czasach Vermeera porzuconą kochankę. O tym, że chyba nie chodzi o męża, „mówi” nam miotła – „ożenić się pod miotłą” w Holandii znaczyło bowiem tyle, co żyć na kocią łapę...



LIST MIŁOSNY
(1669/70). W czasach Vermeera sprawnie zaczyna funkcjonować poczta. Pojawiają się nawet podręczniki uczące pięknego wyrażania uczuć w listach

Skoro Vermeer malował zawsze ten sam kąt pracowni,
to czemu okienne szybki na obrazach tak często się różnią?

**CZYTAJĄCA LIST
PRZY OTWARTYM
OKNIE (1657).**
Obrazy Vermeera
są tak intymne,
że często
wizowie
przy nich milkną
– zauważył jeden
z badaczy

**PISZĄCA LIST
ZE SŁUŻĄCĄ
(1670–1672)**
– do jakich myśli
uśmiecha się
młoda służąca?



Fot. ERICH LESSINGEK PICTURES

Fot. BRIDGEMAN/BE&W



Fot. ITI CINEMA

Fot. NATIONAL GALLERY/CORBIS/FREE

Griet w pracowni.
– Zaprzyjaźniłem
się z Janem
– śmiał się
operator filmu
Eduardo Serra,
który godzinami
studiował światło
obrazów mistrza

**STOJĄCA PRZY
WIRGINIALE (1670)**
– muzykowanie
sugeruje miłosną
treść scenki,
a potwierdza ją
amork na obrazie

Przez dziesiątki lat dziesiątki badaczy – wśród których nie brakowało „vermeero-maniaków” – analizowało i prześwietlało obrazy mistrza na wszystkie strony. Sporządzono statystyki, z których wynika, że 14 z jego dzieł to wnętrza z oknem (zawsze z lewej strony), na 10 namalowana jest czarno-biała marmurowa posadzka, na 5 mapy, 6 obrazów przedstawia scenę czytania lub pisania listu (sztuka pisania listów rozpowszechniła się właśnie w XVII wieku, także dlatego, że wielu Holendrów przebywało wówczas w koloniach, powstały podręczniki uczące podniosłych zwrotów).

Czy na owych 14 dziełach widzimy zawsze ten sam kąt pracowni Vermeera? Dlaczego więc na poszczególnych obrazach zmienia się układ płytek na posadzce? Czemu inaczej ułożone są szybki w oknach, a w „Nalewającej mleko” dwie z nich sfalowane? Byli tacy, którzy pokusili się o zmierzenie powierzchni pracowni mistrza. Z badań wynikało, że korzystał przynajmniej z trzech pomieszczeń. W którym z nich w takim razie namalował widok zwany „Małą uliczką”? Czy rzeczywiście jest tak, jak chce wielu, że ów nigdy nieodnaleziony zaułek Delft widział Vermeer z okna pracowni? Na temat tego jednego niewielkiego płótna można napisać opasłe tomy, a i tak nie dowiemy się z nich nawet tak prostej rze-

czy jak ta, czy uliczka z obrazu w ogóle istniała. Im bardziej próbujemy wydrzeć obrazom Vermeera strzępy rzeczywistości, tym więcej pojawia się pytań. Tak ma się sprawa z realizmem Vermeera – zonglując rekwizytami codzienności, malarz opowiada o emocjach. Bo to prawda emocji, a nie dosłowne sprawozdanie z XVII-wiecznej codzienności, jest tematem jego obrazów.

NA ŁASCE TEŚCIOWEJ

Dziś sztuka Vermeera przeżywa swój renesans, a jego obrazy są po prostu bezcenne. Zresztą już za jego życia płacono za nie wysokie ceny – tak wysokie, że podróżujący po Holandii francuski szlachcic zdumiał się, widząc niewielki portret, za który właściciel wyłożył 600 guldenów. – 600 guldenów za obraz z jedną osobą? – zdziwił się podróżnik. – Ja nie dałbym za niego nawet sześciu pistoli!

Wiele lat później, już w początkach XX wieku, holenderski profesor żądał za „Małą uliczkę”... miliona guldenów! (Dostał 650 tysięcy). Vermeera podrabiano i wiele razy kradziono. Na przykład „Pisząca list ze służącą” zaginęła dwa razy, za drugim razem ciche negocjacje ze złodziejami trwały aż siedem lat.

Już za życia Vermeer był malarzem cenionym i nie musiał jak jego koledzy po fachu biegać z obrazami po targowiskach albo zdawać się

na łaskę pośredników – miał wąską grupę stałych nabywców, do której należał bogaty kolekcjoner van Ruijven – w filmie ukazany jako człowiek, który próbuje Vermeerem manipulować. Wiele wskazuje jednak na to, że był zaprzyjaźniony z rodziną, a co więcej – pożyczał jej pieniądze. Mimo niezłych cen uzyskiwanych za obrazy Vermeer miał coraz większe kłopoty finansowe, które w czasie wojny z Francją przerodziły się w kolosalne długi. Doprowadziły go one do załamania i w rezultacie wylewu. „Gdy nic już nie zarabiał, popadł w nędzę, czym się tak przejmował, że ogarnęła go jakaś szaleńcza gorączka, w wyniku której w ciągu półtora dnia zmarł” – zeznawała po śmierci 43-letniego malarza żona.

Już wcześniej Vermeer zdany był na łaskę bogatej teściowej Marii Thins – nie dziwnego, utrzymanie 11 dzieci (a niektóre źródła podają, że Vermeer i jego żona Catharine Bolnes mieli ich nawet 15!) musiało być kosztowne. Wszyscy mieszkali w dzielnicy katolików, tak zwanym zaułku papistowskim, w domu teściowej właśnie. To ona pożyczała zięciowi pieniądze i dawała jemu i córce prezenty. Być może, tak jak w filmie, do niej należała biżuteria – w tym słynne perłowe kolczyki – którą „wypożyczała” własnej córce i pozującym modelkom zięcia.

Film – chroniący nieskalany wizerunek „artysty” – tego nie pokazuje, ale Vermeer zajmo-

wał się handlem cudzymi obrazami, dzierżawił też odziedziczoną po ojcu gospodę Pod Latającym Lisem. Niemal każdy XVII-wieczny malarz albo zajmował drobny urząd, albo prowadził młyn, farbiarnię czy oberżę, albo handlował, czym popadnie – od dzieł sztuki po grunty, tulipany i pończochy. Malowali wszystko, może z wyjątkiem ścian: ceramikę, okręty, plafony, kafele, szyldy. Nie byli artystami, lecz rzemieślnikami biegłymi w swym fachu i tak jak wszyscy rzemieślnicy podlegali zwykłemu prawom kapryśnego rynku.

Obrazy nie były wówczas dziełami zarezerwowanymi dla arystokratycznych domów, kolekcjonowali je prawie wszyscy. Dzieła kupowało się na targach, gdzie sąsiadowały z rybami, bydłem i warzywami, albo na aukcjach, z których najzaciejsza odbywała się w amsterdamskiej oberży Oudezijde.

Jak ktoś obliczył, za życia Vermeera obraz kosztował średnio 16,6 guldenu. Tygodniowe zarobki wykwalifikowanego robotnika wynosiły zaś 10 guldenów. Nic dziwnego, że van Eyck, Vermeer, Rembrandt i Steen wisieli w karczmach, piekarniach, warsztatach krajeckich. Rynek dosłownie zalany był obrazami i aby móc się wyróżnić, malarze zwykle specjalizowali się w jednym temacie – kwiatkach, straganach pełnych warzyw i mięs, pejzażach, portretach, wizerunkach wzburzonych

fal. Owo ciągle powtarzanie tej samej sceny czy motywu sprawiało, że nawet średni artyści z czasem osiągnęli malarską wirtuozerię. W końcu Vermeer na większości swych obrazów też wciąż maluje niemal tę samą scenę!

Najwyższą rangę zawodową osiągnęli ci, którzy malowali „historie”, czyli tematy biblijne i mitologiczne, a najniższą kopiści, których było bez liku. Powstała nawet pracownia, w której po cichu kopiowano cenione w Holandii dzieła malarzy włoskich. To było tańsze niż ich sprowadzanie.

Vermeer, który uchodził za eksperta od malarstwa, swego czasu wziął udział w rozstrzygnięciu wielkiego sporu o oryginalność kolekcji włoskich obrazów zgromadzonych przez pewnego antykwariusza dla elekta brandenburskiego. Głosy były podzielone, ale twórca „Dziewczyny z perłą” uznał obrazy za „dzieła tandetne i mizerne”.

TRZY KOLORY – ŻÓŁCIEŃ

O jego własnych obrazach mówiło się inaczej. „Namalowane nadzwyczaj pięknie, kunsztownie, dobrze” – takie oceny wystawił dziełom Vermeera człowiek, który katalogował je i wyceniał na potrzeby aukcji już po śmierci malarza. Nie wiemy, ile obrazów namalował Vermeer, dziś na świecie jest ich zaledwie 35. Historycy sztuki zakładają, że przy swoim

tempie pracy nie mógł ich stworzyć więcej niż 50. W ciągu roku był w stanie namalować najwyższe dwa obrazy, wciąż je poprawiał, usuwał zbędne przedmioty i postaci. Dzięki nowoczesnym badaniom naszym oczom ukazują się dziś zamalowane setki lat temu psy, męskie sylwetki, ślady po ciągłym „przesuwaniu” przedmiotów. Owa niska wydajność Vermeera była zresztą przyczyną poważnych kłopotów finansowych rodziny.

Ta wyjątkowa dokładność była jedną z cech odróżniających go od innych artystów, którzy w ciągu życia zamalowywali nawet setki płócien. Poza tym Vermeer korzystał z takich samych technik jak inni i jak inni miał ulubione kolory. – Biel ołowiowa z kredensu! – dysponuje filmowy Vermeer i już po chwili Griet napętnia słoiczek. Właśnie temu barwnikowi perły na obrazach Vermeera zawdzięczają szczególny blask, a światło – niepowtarzalny białawy odcień. Poza bielą Vermeer chętnie używał kosztownej ultramaryny robionej ze sproszkowanego lapis-lazułu i żółci indyjskiej, którą uzyskiwało się z... moczu indyjskich krów karmionych liśćmi mango. W tym właśnie kolorze jest obity sobolowym futerkiem atlasowy kubraczek, w który odziane są jego modelki. Kubraczek ów znaleziono zresztą po śmierci Vermeera w jego pracowni. Na pewno był tam jeszcze drewniany obrotowy model postaci, którego

Vermeer miał sporo szczęścia – nie musiał jak inni malarze sprzedawać swoich dzieł na miejskich targowiskach

XVII-wieczni artyści chętnie używali. Nie ma jednak pewności – choć sugeruje to film Webbera – czy w pracowni stała camera obscura, prototyp dzisiejszego aparatu fotograficznego. Dzięki camera obscura można było łatwo i precyzyjnie „odrysowywać” malowany obiekt. Plamki światła połyskujące na włosach, sukniach czy twarzach pozujących mają dowodzić, że Vermeer używał tego sprzętu do malowania. Mógł go poznać dzięki przyjacielowi Antonie van Leeuwenhoekowi, który był znawcą nauk matematycznych i przyrodniczych, jednym z twórców mikroskopu. Prawdopodobnie jednak efekt fotograficznej niemal naturalności na jego obrazach to po prostu zasługa mozolnych studiów nad perspektywą.

TWARZĄ W TWARZ Z ZAGADKĄ

Czy książka Chevalier i film „Dziewczyna z perłą” wnoszą coś nowego do wiedzy o Vermeerze i jego sztuce? Czy pozwalają odczytać na nowo sens obrazów mistrza, uchylają rąbka tajemnicy? Cóż, dzięki nim na pewno lepiej możemy zgłębić realia XVII-wiecznej Holandii, stosunki panujące w mieszczańskim domu czy ówczesny warsztat malarza. Ale choćbyśmy nawet najdokładniej poznali sposób, w jaki Vermeer kładł farbę na ręcznie przędzonym i tkanym płótnie, i wiedzieli, czy rozrabiając pigmenty, wolał używać gumy arabskiej czy jednak żelatyny, i tak nie dowiemy się, z kim piła wino uśpiona dziewczyna („Dziewczyna zasypiająca przy stole”) ani do jakich myśli uśmiecha się, patrząc w okno, służąca, która właśnie przyniosła swojej pani list („Pisząca list ze służącą”). Nie poznamy prawdziwych intencji żołnierza odwiedzającego młodą kobietę – ba! – przecież nigdy nie zobaczymy jego twarzy („Żołnierz i uśmieająca się dziewczyna”)! A przede wszystkim nadal nie będziemy w stanie opisać magii cudownego białawego światła obrazów Vermeera.

W 1924 roku w jednym z antykwariatów w Lejdzie znaleziono książkę z wklejonym do niej trzystrońcowym listem. Czas powstania i charakterystyczny podpis przemawiały za tym, że oto udało się odnaleźć jedyny zachowany list Johanna Vermeera pisany do von Leeuwenhoek, mimo to wielu badaczy przeczy jego autentyczności. „Naszym zadaniem nie jest rozwiązywanie zagadek, ale uświadomienie ich sobie, pochylenie głowy przed nimi, a także przygotowanie oczu na nieustający zachwyt i zdziwienie” – pisał autor listu, może Vermeer, o malarzach.

Ale przecież te słowa w takim samym stopniu odnoszą się do nas, zwykłych widzów. Może więc zamiast widzieć w dziełach Vermeera czekające wciąż na rozszyfrowanie rebusy, po prostu przygotujmy się na zachwyt i zdziwienie, zawsze gdy przyjdzie nam stanąć z nimi twarzą w twarz?

MAŁGORZATA SADOWSKA

KORZYSTAŁAM Z KSIĄŻKI ZBIGNIEWA HERBERTA
„MARTWA NATURA Z WĘDZIŁEM”



WAŻĄCA PERŁY
(1664) tak
naprawdę
odmierza proporcje
między dobrami
doczesnymi
(klejnoty)
a ponadczasowymi
(na ścianie za nią
wisi „Sąd
Ostateczny”)



Hip-hopolo

Piszę w sprawie kontrowersyjnego artykułu „Hip-hopolo”. Muszę przyznać, że artykuł jest naprawdę genialny. Bartek Chaciński doskonale wyczuł, że tak powiem, drobne błędy artystyczne opisanych raperów. Chodzi mi oczywiście o „kradzież” fragmentów z utworu „Overcome” i piosenki Bryana Adamsa. Wygląda na to, że Mezo zamienia się w Barbrę Streisand (albo na odwrot...). Wspaniale również opisane jest pojawienie się chały w nietykalnym kiedyś, a dziś śmiesznym i komercyjnym hip-hopie. Trzeba przyznać że hip-hop to w dzisiejszych czasach nic innego, tylko zwykła muzyka rozrywkowa. Trzeba jednak umieć odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego tak się dzieje? Być może chodzi tu o olbrzymią ewolucję tej muzyki? Kto ją zapoczątkował? Wydaje mi się, że na pewno każdy z nas to wie. Muszę jednak powiedzieć, że zaskoczyło mnie to, że na odstrzał wzięto tylko Meza i Jeden Osiem L. Przecież jest jeszcze tylu „wybitnych artystów”.

Beznadziejni Ascetoholix, Włodi, który wyraźnie zszedł na psy, Tede, który to nie chce przyznać się do tego, że popadł w komercję, i maskuje się tym, że to wszystko to tak na pokaz, i wielu innych. Dlaczego w artykule jest mowa tylko o Mezo i Jeden Osiem L? Z tego można wywnioskować, że albo bano się napisać o innych, albo i Chaciński wziął się na tych chłopców do bicia. Pozwolę sobie nie komentować tego, co się stało na rozdaniu nagród Eski. Być może była to prowokacja dziennikarska lub pewna umowa z Jeden Osiem L. Chcieli pokazać, jacy to Oni są niegrzeczni, „Przekrój” chciał o czymś napisać. Wilk syty i owca cała. Mam jednak nadzieję, że tak genialna gazeta jak „Przekrój” nie będzie zniżać się do tego poziomu.

MŁODA CZYTELNICZKA

Bardzo dziękuję za Pani uwagi. Zapewniam, że w smutnych wydarzeniach na Eska Music Awards nie było żadnej umowy. Choć rzeczywiście dziwnie wygląda finał tej sprawy – bo dzięki atakowi na dziennikarza zespół kilkakrotnie trafia do telewizji, w dodatku, co śmieszne, przebieg wydarzeń opowiadając za każdym razem trochę inaczej. Ale to, niestety, jedyne, co śmieszy w tej historii. Co do etykietyki hip-hopolo – tu starałem się opowiedzieć o pewnej charakterystycznej grupie twórców, stąd Jeden Osiem L i Mezo – nie ja im wymyśliłem etykietykę hip-hopolo, przyczepili ją raczej fani hip-hopu. Zdaje sobie sprawę, że i innym raperom zdarza się niebezpiecznie zapędzić w rejony disco polo albo ściągnąć motyw z jakiejś znanej piosenki bez porozumienia z autorem.

Na pewno będziemy jeszcze wielokrotnie pisać o hip-hopie, ale mam nadzieję, że już w innym kontekście.

BARTEK CHACIŃSKI

Czy był Fafik?

Jestem staruszką, od zawsze czytelniczką „Przekroju” oraz wielbicielką niezapomnianego Zbigniewa Lengrena, którego przeuroczy filantrop profesor Filutek również od zawsze występował wraz ze swoim ukochanym kundelkiem, psem Fafikiem, a nie – jak już dwukrotnie podawaliście, ostatnio w numerze 20. s. 76. – Filusiem. Proszę sprostować to czym prędzej, zanim powstanie – być może z napisem – pomnik w Toruniu.

CZYTELNICZKA Z BYTOMIA

Szanowna Pani,
Jest nam niewymownie przykro, ale musimy Panią rozczarować. Zbigniew Lengren dla psa profesora Filutka wybrał imię Filuś nic na to nie możemy poradzić. Natomiast Fafik (1945–1962) był to terier Mariana Eilego. „Przekrój” przez wiele lat drukował „Mysli ludzi wielkich, średnich oraz psa Fafika”. W latach 60. nasz tygodnik przyznawał Srebrne Fafiki – prestiżową nagrodę za osiągnięcia wszelakie. Fafik występował również w teatrzyku Zielona Gęś, a raz trafił nawet na okładkę „Przekroju”, nigdy natomiast nie odważył się zastąpić Filusia u boku profesora Filutka na ostatniej stronie.

REDAKCJA

**PRZE
KROJ**
Zakończony
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P. 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsthub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Marcin Sendek, Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papużyńska (szef), Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Dorota Sajnog, Max Suski, Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Maria Klich, Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth, Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Marcin Kapica (szef), Bogdan Kręzel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej, Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

**EDIPRESSE
POLSKA**

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 12, 00-480 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00.
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

**DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYKRAJOWYCH:**
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orlowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek,

Grażyna Janiak, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUCENT M-REAL
ŚRODEK – GALERIE BRITE 60 G;
PRODUCENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA-KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +46-8-6639963



ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

BITWA SZCZECIŃSKA

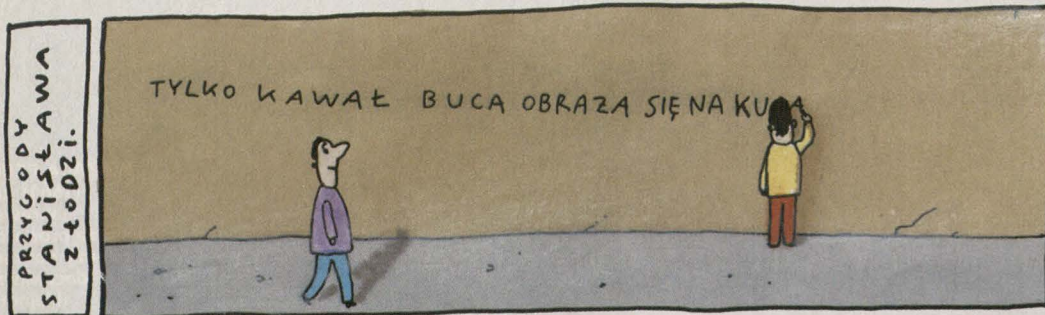
Tysiąc euro i wyjazd na finały Battle Of The Year w Niemczech otrzyma zwycięzca eliminacji największego w Europie konkursu dla breakdancerów organizowanego już po raz 13. W Szczecinie 26 czerwca finałowa edycja BOTY dla Europy Wschodniej. Przyjadą składy z Węgier, Słowacji, Chorwacji, Słowenii, Czech – najlepsi krajowi tancerze. – W sumie do bitwy stanie 17 zespołów, w tym sześć z Polski – mówi organizatorka imprezy Joanna Tyszkiewicz. – Polscy faworyci to Non Toper Mielonka Ready To Battle. Imprezy BOTY to nie tylko breakdance – również rap, graffiti i footbag (zośka). Konkursowi towarzyszą koncerty. Wystąpią: Tede, Pezet/Noon, szczeciński zespół Projektanci i didżeje. Jako gwiazda – Afrob, współpracownik niemieckiej grupy Die Fantastischen Vier. Czego życzyć polskim breakdancerom? Może połamania... (MAGO)

BATTLE OF THE YEAR

– EAST EUROPE

26.06 SZCZECIN, HALA SDS

Battle Of The Year



arcydzieło ●●●●●●●●
 świetne ●●●●●●●●
 dobre ●●●●●●●●
 przeciętne ●●●●●●●●
 słabe ●●●●●●●●
 dno ●●●●●●●●



JESTEŚ PORUSZONY?



www.MINI.com.pl



ODWROTNOŚĆ NUDY



HOLLYWOODZKA MASAKRA PIŁĄ ŁAŃCUCHOWĄ

Fot. UIP

Ta śmiertelna choroba przenoszona jest kilkoma drogami – na przykład przez ugryzienie

●●●○○○
 „Świt żywych trupów” jest mało straszny, to raczej film z gatunku obrzydliwych

Ten film jest jak pornos – skomentowała horror Snydera oglądająca go ze mną osoba. – Żadnej gry wstępnej, od razu „akcja”.

To prawda – ledwie mija kilka minut i już zaczyna się trwająca do ostatniej sceny totalna pornografia przemocy. I na nic zdają się wątpliwe próby „głębszego” uzasadnienia opowiadanej tu historii – sam fakt, że ludzie, którzy uciekli przed opanowującymi kraj zombi, schronili się w centrum handlowym, nie jest jeszcze wstrząsającą krytyką konsumpcjonizmu. Zwłaszcza że producenci też ulegli konsumpcyjnym pokusom: product placementu, czyli dyskretnego umieszczania w filmie produktów różnych marek – miałam bowiem dziwne wrażenie, że co rusz miga mi przed oczami logo pewnej znanej sportowej firmy. Cóż, wytłuczenie (nie tylko za pomocą broni palnej, lecz także na przykład piły łań-

cuchowej) w ciągu półtorej godziny paru setek zombi wymaga istic olimpijskiej kondycji.

Jak na horror „Świt...” jest mało straszny, to raczej film z gatunku obrzydliwych. Sam make-up musiał kosztować majątek, a reszta kasy poszła na hektolitry „krwi” i efekty specjalne (rozbryzgujące się mózgi, ciała rozcinane piłą łańcuchową, rozjeżdżane autami zombi itp.) – na scenariusz widocznym już nie starczyło.

Muszę jednak przyznać (i stąd „aż tyle” kropek), że wrażenie zrobiły na mnie sceny początkowe i końcowe z napisami – z pomysłową grafiką, atrakcyjnie sfilmowane, świetnie zmontowane, z doskonale dobraną muzyką. Wiem, że zabrzmi to perwersyjnie, ale naprawdę: aż miło było popatrzeć!

MAŁGORZATA SADOWSKA

TRUPY WCIAŻ ŻYWE

„Świt żywych trupów” jest remakiem filmu George’a A. Romero z 1978 roku. Ten z kolei był jednym z dwóch sequeli, które powstały po niebywałym sukcesie kultowej „Nocy żywych trupów” (1968). Ów bez wątpienia jeden z najwybitniejszych horrorów wszech czasów kosztował zaledwie około stu tysięcy dolarów i był dziełem grupki przyjaciół, której udało się pozyskać kilku inwestorów (w tym rzeźnika dostarczającego na plan krew i flaki). Ci, którzy grali tytułowe



„Noc żywych trupów”

żywe trupy atakujące grupkę ludzi zamkniętą w domku na farmie, w ramach wynagrodzenia dostali po dolarze i koszulce z napisem „Grałem zombi w »Nocy żywych trupów«”. Film miał problemy ze znalezieniem dystrybutora – uznano, że w czasach pojawienia się kolorowej telewizji czarno-biała historia nie ma żadnych szans. Tymczasem w momencie realizacji „Noc...” była absolutnie nowatorska – ze względu na paradoksalną formę i fakt, że w pozytywnej roli wreszcie pojawił się Afroamerykanin. Czymś nowym był również pesymistyczny ton opowieści oraz spora dawka przemocy. Na fali sukcesu Romero zrealizował jeszcze wspomniany „Świt...” i „Dzień żywych trupów” (1985).

W kolejnych częściach komentarz społeczny ustępował miejsca coraz drastyczniejszym scenom przemocy i coraz atrakcyjniejszym efektom specjalnym. W 1985 roku powstał jeszcze kolorowy remake „Nocy...”. Nie sposób wyliczyć wszystkich filmów, które nawiązywały do pierwowzoru (na kolanach albo go parodiując – jak „Powrót żywych trupów”) – ostatnio motywami z filmu Romero bawił się choćby Danny Boyle w świetnym horrorze „28 dni później”. (MASA)



Czarnoskóra emerytka (Irma P. Hall) nie domyśla się, że jej goście to wirtuozi... włamań

●●●○○○

BRACIA, DOKĄD ZMIERZACIE?

Co to za film, w którym szczególnie jest dużo ciekawszy niż całość

„LADYKILLERS”,
 REŻ. ETHAN I JOEL
 COENOWIE,
 USA 2004, Forum Film,
 premiera 18 czerwca

To, za co ceniliśmy Coenów – śmiertelnie poważny humor, groza uładzonych pozornie konwencji – wypada w „Ladykillers” blado i właśnie konwencjonalnie.

W remake’u popularnej angielskiej komedii z roku 1955 „Jak zabić starszą panią” Coenowie przenieśli akcję z zimnego Londynu na gorące Południe Stanów, zamiast więc zasuszonej lady mamy zażywną czarnoskórą babę (Irma P. Hall). Piwnicę jej domu wynajmuje pięciu mężczyzn pod przywództwem szemranego profesora (Tom Hanks). Rzekomo po to, by grać muzykę kameralną. W rzeczywistości – by kopać tunel do skarbcza kasyna.

Panowie reprezentują różne rasy i stereotypy (milczący Azjata, rozgadany Murzyn, głupawy amerykański rugbista), co owszem, śmieszne, ale nie za bardzo. Przyjemnością jest za to podziwianie kreacji Hanksa, który oczarowuje koleżanki pani domu, recytując poezję Edgara A. Poe’go. W ogóle Coenowie powkładali tutaj trochę nawiązań do amerykańskiego romantyzmu (choćby stylowy most, z którego zrzucane są do rzeki śmieci i trupy). Ładnie się te ornamenty prezentują, ale co to za film, w którym szczególnie jest ciekawszy niż całość?

BARTOSZ ŻURAWIECKI



an (Ashton Kutcher – po prawej) gra z losiem o wszystko

Rzadki przykład filmu, który poprawia się w miarę oglądania

MOTYLA NOGA

●●●○○○

burzeń poczucia czasu – stawałyby się przewodnikiem po przeżytych chwilach. Niektóre z tych chwil – dzięki odziedziczonym po toksycznym ojcu Evana umiejętnościom psychicznego zakrzywania czasoprzestrzeni – pozwalają się odwiedzać po latach. Evan nie lubi tych peregrynacji, ale w pewnym momencie, czując się winny śmierci przyjaciółki Kalley (Amy Smart), postanawia zaingerować w przeszłość. Osiąga cel, bo w „ulepszonej” rzeczywistości Kalley ma się znacznie lepiej. Gorzej wychodzi na tym natomiast sam Evan, więc po raz kolejny „poprawia” życie. Wkrótce zaś to „poprawianie” wchodzi mu w krew.

„Efekt motyla” to rzadki przykład filmu, który się poprawia w miarę oglądania. Pierwsza część – do momentu pojawienia się alternatywnych rzeczywistości – sprawia wrażenie, jakby scenarzyści tworzyli ją z pustaków ytong, a nie eonów kruchej wrażliwości. Potem jest już lepiej, choć nie jestem przekonany, czy za sprawą ich wysiłków, czy może wyobraźni widza każącej się zastanawiać nad „co by było, gdyby” we własnym życiu, w którym huragany nie są wywoływane – Hollywood kłamie! – musnięciami motyli skrzydeł, lecz kopnięciami jego umięśnionych odnóży we wspomnianą już wyżej dupę.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

„EFEKT MOTYLA”, REŻ. ERIC BRAS I J. MACKYE GRUBER,
 USA 2004, Monolith, premiera 18 czerwca



WOJNA TROJAŃSKA

BOGOWIE I BOHATEROWIE

MIŁOŚĆ PARYSA I HELENY

ŚWIAT HOMERA

ILIADA I ODYSEJA

ODKRYWCA TROI

KSIAŻKA JUŻ W KIOSKACH
 CENA TYLKO 15,99

MIESZANKA NARODOWA



Nowy standard w muzyce tanecznej – od Tarnobrzega po Bangladesz

W popularnym salonie muzyczno-książkowym usłyszałem piosenkę z tanecznym rytmem, wschodnimi motywami i tekstem: „XXI wiek – obozy koncentracyjne, kominy krematoryjne, politycy i szydery, praworządni mordercy!”. Tak, to nasi klubowi terroryści z kolektywu Masala w rytmie azjatyckiej bhangry uderzają do sklepów! Najpierw była książka Maksy Cegielskiego „Masala”. Później cykl imprez dla fanów kiczowatego Bollywood i azjatyckiej muzyki elektronicznej. Teraz z producentem Praczasem, członkami grup Kapela Ze Wsi Warszawa i Yerba Mater oraz wokalistów Gutka i Frenchmana Cegielski wydał materiał Masala Soundsystem. Muzyka indyjska, arabska, jamajska doprawiona polskim smakiem została tu świetnie podana w klubowym sosie. Jak śpiewa Pan Duże Pe: „Chociaż dla wielu to skandal jest, od Tarnobrzegu po Bangladesz, muzyka ragga i bhangra też, wyznacza tu nowy standard, wiesz?”. No więc ja już to wiem.

JACEK SKOLIMOWSKI



MASALA „MASALA”, Home Appliance

GÓRA DO MAHOMETA

Góra”, a właściwie „góry”, bo Sierra Maestra to łańcuch najwyższych na Kubie gór. Skoro trafić tam nie jest prosto, Sierra Maestra sama niebawem zawita do Polski. I będą to absolutne szczyty maestrii. W latach 20. XX stulecia narodził się son, muzyka najbardziej dziś kojarzona z Kubą. Kiedy pół wieku później grupa muzyków z Hawany zapragnęła odkurzyć tradycyjne brzmienie orkiestr sprzed dziesięcioleci, przyjęła właśnie nazwę Sierra Maestra. Zespół od 27 lat koncertuje, nagrywa i inspirowa: wieloletni trębacz Sierry Jesús Alemany założył potem świetną orkiestrę Cubanismo, a grający na gitarze tres Juan de Marcos González dziś lideruje Afro-Cuban All-Stars, jest też sprawcą zamieszania pod nazwą Buena Vista Social Club. Mimo odejścia dwóch takich sław Sierra Maestra gra obecnie chyba mocniej niż kiedykolwiek, a ich ostatni album „Rumbero soy” zbiera entuzjastyczne recenzje. (FILO) **Sierra Maestra, Impacto, 21.06 Warszawa, Sala Kongresowa**



Krawczyk nie startował wprawdzie w eurowyborach, a mógłby – w końcu wie, co w życiu ważne

Kto jeszcze nie wybaczył Krawczykowi „Parostatku”, powinien to zrobić natychmiast



KRZYSZTOF KRAWCZYK „TO, CO W ŻYCIU WAŻNE”, BMG Poland



www.MINI.com.pl

By opisać głos Krawczyka, jeszcze do niedawna musiałbym użyć słów, którymi kiedyś Gérard Philipe podsumował Pałac Kultury: „Wielki, ale mało gustowny”. Zmianę przyniósł poprzedni album Krawczyka „Bo marzę i śnię” sprzed dwóch lat z piosenkami napisanym przez Smolika, Maleńczuka, Jacka Lachowicza ze Ścianki i Przemka Myszoza z Myslovitz. Z hitem „Bo jesteś ty”, bezwzględnie jedną z najlepszych polskich piosenek ostatnich lat. Nowy album to jego kontynuacja. Razem tworzą już serię – pierwszą taką na naszym rynku. Pierwszą, której zadaniem jest dać nowe piosenki i nową klasę idolowi starszych pokoleń, który młodszym kojarzy się głównie z kiczem. Analogia przychodzi mi do głowy trochę śliska i niebezpieczna, choć jedyna – Johnny Cash. Ten też doczekał się serii płyt, które w latach 90. odnowiły jego pozycję jako wielkiego barda Ameryki. „To, co w życiu ważne” jest więc już drugą płytą, która odnawia oblicze Krawczyka. Nie jako wokalisty techno albo metalowego – idea była taka, by dać mu to, co najbardziej gustowne w obrębie bliskiej mu, piosenkowej, nawet lekko knajpianej stylistyki.

Tym razem połowę piosenek kupiono za granicą. Poza tym wśród autorów pojawił się znów Smolik, jest też Edyta Bartosiewicz i Ania

Dąbrowska. Już pierwszy utwór „Przytul mnie, życie” potwierdza, że udało się podstawowe zadanie – odebrać Krawczykowi męczącą presleyowską manierę. Świetna jest też miniatura „Czwarta rano” – Krawczyk śpiewa spokojnie, powściągliwie, a nad głosem panuje rewelacyjnie. Kiksy? Pierwszy singiel – bo piosenka z Muńkiem Staszczykiem, skoczna i melodyjna, jednak odstaje od klimatu całej płyty. W „Trudno tak” głos Edyty Bartosiewicz albo został koszmarnie przetworzony, albo jest po prostu nienaturalny – też niedoróbka. I strona wizualna płyty – prawdziwy harlequin w fotografczno-graficznym wydaniu.

Zwycięstwo odnosi za to Tomasz Bonarowski jako realizator dźwięku najlepszych fragmentów. Wygrywa też Paweł Józwicki jako producent z wizją – udało mu się na płytach Krawczyka przemycić szlachetne brzmienia neocountry, „Z dała od trosk” to utwór jakby wyjęty z repertuaru grupy Lambchop. Wygrywa wreszcie, a może przede wszystkim, sam Krawczyk, który pokazuje, że na takie odnowienie zasłużył. Finałowy „Ostatni taniec” pokazuje cel – Krawczyka, jakiego chciałbym zawsze pamiętać, idealnego seniora polskiej piosenki. Takiego, od którego kicz odpłynął parostatkiem w siną dal.

BARTEK CHACIŃSKI

Instrumentalny hip-hop w najlepszym możliwym wydaniu

SYMFONIA ZE SKRAWKÓW

Jak robot R2D2 jest w istocie głównym bohaterem „Gwiezdnych wojen” i jedyną postacią (?), która mogłaby po latach opowiedzieć historię z tamtego filmu, tak RJD2 jest cichym bohaterem hip-hopu i pewnie jedyną osobą, która na jednej płycie potrafi opowiedzieć ćwierć wieku historii tej muzyki. Tu nie ma mowy o lenistwie – amerykański producent zebrał na swoim drugim albumie mrowie sampli ze starych ścieżek dźwiękowych, wokali, solówek gitarowych, funkowych bębnow, strzępków i skrawków, a potem poukładał je zupełnie od nowa. Ułożył w harmonijne i rytmiczne, a przy tym dość epickie i rozbudowane



RJD2 „SINCE WE LAST SPOKE”, Definitive Jux



RJD2, prywatnie Ramble Jon Krohn

Fot. SOUND IMPROVEMENT

nagrania. Wtajemniczeni z pasją odkrywają w „Since We Last Spoke” najlepszą tego rodzaju płytę od czasu „Endroducing” DJ Shadowa. Ale siła tej muzyki polega na tym, że nawet nieprzygotowany słuchacz doceni, jak olbrzymiej potrzeba płytoteki, żeby ją nagrać. I jeszcze większej wyobraźni.

(BACH)

MUZYKA WSPÓŁCZESNA

Sonic Youth istnieją 23 lata i wydają 19. album, a grają tak świeżo, jakby dopiero zaczynali



Wielu zespołów rockowych z takim stażem można powiedzieć, że są kreatywne i potrafią zaskoczyć? O niewiele. Z pewnością należy jednak do nich nowojorska formacja Sonic Youth, która z głębokiego undergroundu (lata 80.) przeniosła się w stronę inteligentnego rocka (lata 90.). Miała na swym koncie także flirt z kulturą masową (album „Dirty”), który na początku lat 90. wyniósł ich na chwilę do grona idoli generacji grunge. Lecz obok kolejnych albumów z piosenkami zespół publikuje płyty z muzyką eksperymentalną, improwizowaną pod własnym szyldem wytwórni SYR. To tu kilka lat temu nagrali znakomity album „Goodbye 20th Century” ze współczesnymi kompozycjami, między innymi Johna Cage’a czy Pauline Oliveros. Szok był ogromny, zwłaszcza dla tych, którzy na koncertach miast siarczystego rocka dostawali 30-minutowego conceptualnego Cage’a.

„Sonic Nurse” doskonale wpisuje się w linię alternatywnego, nowojorskiego grania.

Muzyka budowana na zapętlonych figurach rytmicznych (trzech gitarzystów), pełna energii. Thurston Moore, lider Sonic Youth, określił album jako mariaż brzmienia „Bare Trees” Fleetwood Mac (1972) i „Jealous Again” Black Flag (1980). Ten powrót do lat 70. jest wynikiem zatrudnienia Richarda Hella – legendarnego nowojorskiego muzyka i poety epoki punk rocka znanego z Television i Heartbreakers – w roli realizatora nagrań. Wynik? Brudne, namiętne, nieokresane brzmienie z pogranicza uroczej, sennej psychodelii i garażu. Hipnotyczny finał „Peace Attack” to kąśliwa szpila wymierzona w G.W. Busha i jego administrację. Przy Sonic Youth pozerska kontestacja grup w rodzaju The Strokes nabiera wymiaru groteski.

JACEK HAWRYLUK



SONIC YOUTH „SONIC NURSE”, Geffen

LUCIANO Z JAMAJKI

Tego twórcy nie należy, Boże broń, mylić z Pavarottim. Śpiewają – i to jedynie, co mają ze sobą wspólnego. Luciano naprawdę nazywa się Jephther McClymont i jest jamajskim gwiazdorem muzyki roots reggae. Europa poznała go dzięki współpracy z niemieckim twórcą reggae Gentlemanem, ale na Jamajce było odwrotnie



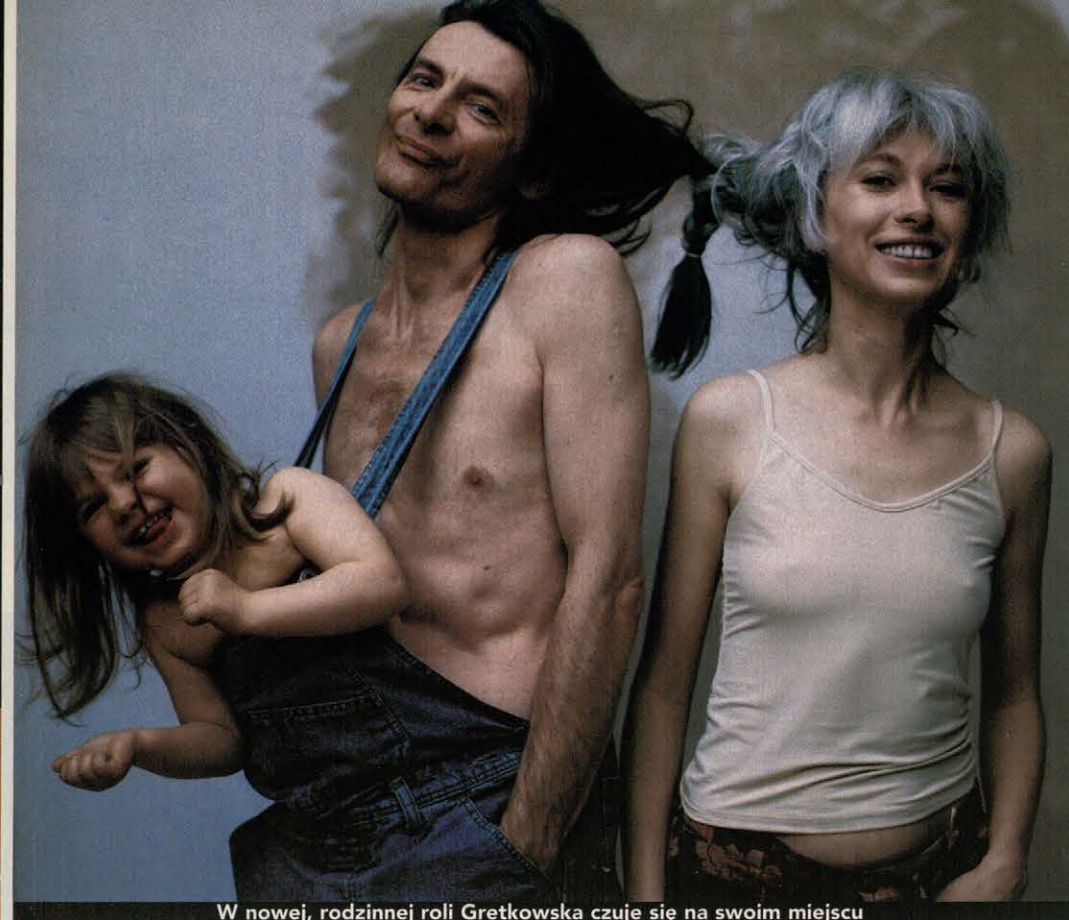
– to właśnie praca z Lucianem przecierała ścieżki Europejczykowi. Uduchowiony Luciano (zaczynał karierę, śpiewając w kościołach) został nominowany do nagrody Grammy w 2002 roku, a dowiedziawszy się o tym, skomentował spokojnie: „Biblia mówi, że jeśli twoja praca jest odzwierciedleniem dobra, na pewno dostaniesz z niej tyle, ile w nią włożyłeś”. Na swój polski koncert przyjedzie z zespołem, w którym gra między innymi Dean Fraser – równie ważna postać najnowszej historii reggae, świetny saksofonista, który zdążył jeszcze grać z samym Marleym. (IGK)

Luciano, 23.06, Poznań, Eskulap

Hania Stach „Hania Stach” – Duch Whitney Houston znów straszy w polskiej muzyce. Ten idolowy debiut sugeruje, że polski show-biznes ma specgrupe zajmującą się psuciem. Należałoby go opatrzyć nalepką „Gwarancja zmarnowanej kariery”.

Virgin „Bimbo” – Nowe zjawisko opisywane jako pornorock. Parę tysięcy osób kupiło już ten album zespołu Dody,

bezpruderyjnej gwiazdy „Baru” i dziewczyny Radosława Majdana... Ta notka może jednak ocalić tych, którzy jeszcze tego nie zrobili.



W nowej, rodzinnej roli Gretkowska czuje się na swoim miejscu

Fot. JACEK POREBA

MIESZCZKA CZY SZAMANKA?

Manuela Gretkowska
złości,
prowokuje,
ale nikogo
już nie udaje

MANUELA GRETKOWSKA
„EUROPEJKA”,
W.A.B.,
Warszawa 2004

Skandalistka? Gdzie tam, prawdziwa mieszcza! – zawoła czytelnik „Europejki” Gretkowskiej. Tu kafelki, tam marki pod kolor. Dworek polski zamiast mieszkania na Kabatach. Czyszczenie i pucowanie podłóg. Zabawy z dwuletnią Polą. I tak wygląda dzień Gretkowskiej. Oczywiście, jest jeszcze trochę telewizji, czytania (jad się leje na recenzentów jej książek), refleksji nad życiem publicznym. Ale nowy tom dziennika Gretkowskiej czytam bez zniecierpliwienia, jakie ogarało mnie przy jej „Polce”, dzienniku ciąży.

Tam męczyła poza: „Już ja wam, ciemniaki, pokażę!”. Męczyły śmieszne na siłę puenty i okragłe metafory jak z pisma kobiecego. Tutaj tego nie ma. Gretkowska nie wyraża już piąstką rodzicom, Kościołowi, niedzielnym obiadkom. Weszła w nową rolę matki i chyba widzi świat już trochę z innej perspektywy. Jest często zmęczona, bołą ją oczy, boi się snów. Przemyka się w sklepie tak, żeby nie rozmawiać o swojej książce z przypadkowym czytelnikiem. Unika ludzi. Nie, nie straciła pazura krytycznego, tyle że pisze bezpośrednio. Co nie znaczy, że bez resentymentu. Czasem atakuje nawet zbyt personalnie – jej osobiste ataki na tak zwanych pampersów i na swojego byłego męża są wręcz niesmaczne. Nie jestem też entuzjastką jej dywagacji ezoterycznych – wolę już erotyczne, te wychodzą jej całkiem nieźle. Ale cóż, nie musimy jej kochać. Wy-

starczy, że czytamy z zainteresowaniem. O tym na przykład, jak zaproszono ją do programu jako specjalistkę od seksu. Poprzednie jej książki i scenariusz „Szamanki” wyrobiły jej opinię skandalistki z dwiema łechtaczkami. Wtłoczona w tę rolę czuje się niewygodnie. Oba dzienniki mają służyć zmianie wizerunku. Ale to nie tak łatwo. Zaproszona do studia musi uważać na słowa: przed godziną 23 zwrot „robić łaskę” nie wchodzi w grę, zresztą po 23 – jak się okazuje – też jest wykluczony. Sama Gretkowska również została wykluczona – po wywiadzie w „Pegazie” za używanie słów niecenzuralnych otrzymała zakaz pojawiania się w TVP1. I jak tu przestać być skandalistką? Nic dziwnego, że Gretkowską złości hipokryzja.

Złości ją wiele rzeczy, czasem nie wiadomo dlaczego, skąd obsesja na punkcie Muńka Staszczyka? Złości ją dziennikarze. No cóż, publikując „Europejkę”, znowu wydaje się na żer strasznych mediów. Dziennik, jak wiadomo, tworzy wizerunek piszącego, służy temu, żebyśmy Gretkowską, która lubi opowiadać o sobie, widzieli tak, jak ona sama chce. Gra się rozpoczyna. W tym dzienniku widać ją wyraźniej. Nie jest skandalistką ani mieszcza, ale wreszcie sobą. I mimo całej złości na świat wydaje się zadowolona. W dodatku potrafi nas sobą zająć przez trzy godziny jazdy pociągiem.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

UCIECZKA OD SZAROŚCI

Jak powiew świeżego powietrza w dusznym pokoju: nowa książka leningradzkiego łobuza Siergieja Dowłatowa

•••••

Znów perły anegdot i lekka narracja prowadząca nas przez zaginiony (na szczęście) świat radzieckiego komunizmu. Podpici bohaterowie objają się z wdziękiem i uśmiechem o kanty tamtej rzeczywistości. Ale też lekki kac i smutek w opowiadaniach z emigracji, choć Dowłatow opowiada o ludziach, którym się powiodło za oceanem – jak i jemu. Ale ten wielki gawędziarz zmarł w Nowym Jorku z przepicia i czytając „Krótkie życie”, można zrozumieć dlaczego. Niektóre opowiadania przypominają „Przypadek” Kieślowskiego z pytaniem: „A co by było gdyby?”. Gdyby na przykład bohater został zwykłym radzieckim uczonym jeżdżącym w delegację na Zachód, któremu towarzyszy jego „partyjne sumienie” pod postacią smętnego ubeka w bryczesach. W przeciwieństwie do Kieślowskiego odpowiedź Dowłatowa jest kategoryczna: „Nie, to niemożliwe”. Jego bohaterowie kolorowi jak motyle nie mogli się wtopić w radziecką szarość, tak jak i on sam.

ANDRZEJ KOMANOWSKI

SIERGIEJ DOWŁATOW „KRÓTKIE ŻYCIE”,
PRZEE. MARIA PUTRAMENT,
Amber, Warszawa 2004

BEZ PUPY I GĘBY

Gombrowicz,
jakiego
nie znamy:
sknera
i dusigrosz,
oddany brat
i zmęczony
urzędnik

WITOLD GOMBROWICZ
„LISTY DO RODZINY”,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2004

Czytanie czyich listów ma w sobie coś z dlu-bania w cudzych zębach. Poznaje się autora niekoniecznie od tej strony, od której by sam sobie tego życzył. Gombrowicz pisał dużo. Prawdopodobnie nie przypuszczał, że jego prywatną korespondencję ktoś ośmieli się oddać na pastwę czytelników. Gdyby ten mistrz kamuflażu, nadęty salonowiec i manipulator, arcyprownik i geniusz formy wiedział, że tak będzie, włożyłby maskę i zaczął pozować. Ale przechrzyli go. Na sterwie ujawnionych listów leży nagi i sam wystawiony na pośmiewisko.

Tym bardziej że listy te intymną atmosferą „prywatności” przesiąknięte są do bólu. Bo oto okazuje się, że Gombrowicz zamiast doprawiać innym gęby – troszczy się. Zamiast upupiać i pouczać – martwi się i szczerze radzi. Prostuje swoje wykrzywione grymasem zgrzywy rysy. Raz jest oddanym bratem, innym razem widzimy go jako zwykłego człowieka z dala od bliskich, zmęczonego udawaniem pisarza bankowego urzędnika, który bardziej przypomina sknerę i dusigrosza niż artystę. Człowieka, który boi się klęski i wciąż liczy na sławę. Pisarza, który zamienia się w rodzin-

nego skarbnika, aby skrupulatnie dzielić ciulaną z takim trudem fortunę.

To niesamowity widok. Takiego Gombrowicza nie znamy. Pytanie tylko, czy chcielibyśmy znać? „Możesz już uważać za pewne – pisze do brata Janusza – że »Trans-Atlantyk« będzie zaliczony, oczywiście nie przez kmotków, bo dla nich to za trudne, do wielkich i nieśmiertelnych dzieł naszych jak »Dziady« lub »Wesele« i kilka lat później dodaje: »Zgłaszajcie mnie do wszystkich nagród – trzeba szukać forsy gdzie się da«”.

MICHAŁ WÓJCİK

CZARNY KRYMINAŁ

•••••

Pierwsze zdanie tej opowieści brzmi tak: „Mma Ramotswe miała agencję detektywistyczną w Afryce, u stóp Kgale Hill”. Zdanie skądś znajome. Oczywiście, to replika pierwszego zdania „Pożegnania z Afryką” Karen Blixen. Te dwie książki są pod jednym względem do siebie podobne – obydwie mówią o miłości do Czarnego Kontynentu.

I tu podobieństwa się kończą, bohaterką opowieści Smitha jest bowiem 34-letnia Murzynka z ludu Motswana, Precious Ramotswe, która odziedziczyła po śmierci

Kobieta detektyw okazuje się potrzebna w Afryce tak jak deszcz

ALEXANDER MCCALL SMITH
„KOBIECA AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA NR 1”,
PRZEE. TOMASZ BIEROŃ,
Zysk i S-ka, Poznań 2004

ojca stado krów, sprzedaje je i zakłada (patrz tytuł książki) agencję detektywistyczną. Mma (pani) Ramotswe nie ma doświadczenia w policyjnej robocie, ma za to wiele zdrowego rozsądku, wdzięku i ogromne wprost pragnienie, by udowodnić, że kobieta detektyw potrzebna jest na południu Afryki na równi z deszczem.

Bardzo dobrze się czyta te bezpretensjonalne opowieści obyczajowe, które pod płaszczykiem (prochowcem?) kryminału przemycają pogodną, choć niewolną od groźnych zdarzeń wizję świata nie tylko afrykańskiego.

MARCIN BARAN

UWODZENIA I POWROTY

•••••

Jak nie doszło do ślubu oraz czemu zginął wujek – odpowiedź w doskonałej książce Łukosza

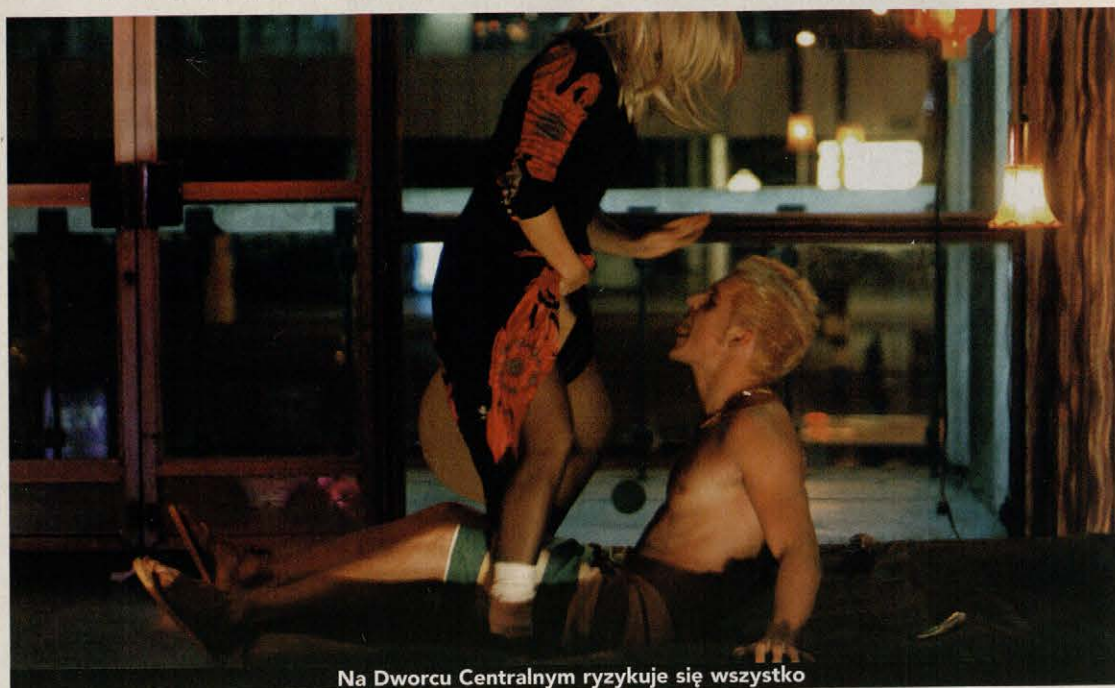
Pod zagadkowym tytułem „Lenora” Jerzy Łukosz ukrył dwa opowiadania, w których Lenora jako postać bynajmniej nie występuje. Jeśli już, to najwyżej jako odległe echo wątku baśniowego utrwalonego przez Gottfrieda Augusta Bürgera w sławnej balladzie. Imię to nosiła dziewczyna, której ukochany zginął. Jej tęsknota wywołała go z niebytu, tyle że pod postacią upiora; upiór zaoferował jej podróż do wspólnego domu, który okazał się grobem; piękna Lenora ledwo uszła z życiem. Tyle stara ballada. Co z niej znajdziemy w książce Łukosza? Może tyle, że w obu opowiadaniach przewija się motyw kochanków wpleciony w dosyć dwuznaczne konteksty. Adam, bohater „Przygotowań do ślubu”, za trzy dni ma poślubić Ewę. Nim do tego dojdzie, spotykają go różne przygody.



W „Powrocie Telemacha” bohater po latach przyjeżdża w odwiedziny do rodzinnego domu i spotyka dawną miłość Halinę wplątą w wieloznaczne związki, w tym z wujkiem bohatera. Tu bliższy okazuje się mit odysejski. Odysem jest ojciec Pawła-Telemacha. Historie snute przez autora doskonale są jednak czytelne i bez dodatkowych kontekstów. „Powrót” to historia nieomal kryminalna, pełna nieoczekiwanych tajemnic i zwrotów akcji. To jest proza, co się zowie, serio, wymagająca ruszenia głowy.

TADEUSZ NYCZEK

JERZY ŁUKOSZ „LENORA”,
Prószyński i S-ka, Warszawa 2004



Na Dworcu Centralnym ryzykuje się wszystko

Fot. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

KAPTURY TERENOWE

Przez cały sezon Grzegorz Jarzyna gonił swoich widzów po mieście. Projekt Teren Warszawa jako całość nie miał dotąd precedensu w polskim teatrze

Tak się złożyło, że niemal jednocześnie, choć niezależnie od siebie kupiliśmy z Grzegorzem Jarzyną bluzy z kapturami. Ja zadałem szyku w towarzystwie, a on firmował ideologiczną przemianę Rozmaitości. Najlepsze pomysły zawsze rodzą się w chwili, kiedy teatr jest postawiony pod ścianą. W Rozmaitościach przez większość tego sezonu miał być prowadzony remont (do którego ostatecznie nie doszło), na dodatek teatrowi obcięto budżet. Z konieczności Jarzyna wymyślił 10 niskobudżetowych produkcji realizowanych góra w trzy tygodnie, które powinny być grane poza macierzystą sceną. Program artystyczny wsparł wychowawczym. Uruchomił roczne studium aktorskie przy Rozmaitościach. Jedenastce studentów warszawskiej Akademii Teatralnej i krakowskiej PWST zafundował treningi capoeiry i tai-chi. Także role w kolejnych premierach, zakładając, że obok młodego aktora pojawi się zawsze jego starszy kolega, a całość wyreżyseruje rówieśnik.

Idea Terenu Warszawa było zaprezentowanie cyklu opowieści o różnych środowiskach. Wchodzenie w miejskie przestrzenie postindustrialne oddane w rządy nowym bohaterem polskiej rzeczywistości, tym w kapturkach i tym bez kapturków. TR potwierdził, że na naszych oczach dochodzi w Polsce do zderzenia nieprzystających do siebie światów. Kimś innym są przecież studenci nadwrażliwcy z klaustrofobicznej piwnicy pod klubem Le Madame („Sny”), a kimś innym osiedlowi gangsterzy („Made in China”) i bezrobotni („Pitt-bull”). Zblazowane japiszony przed trzydziestką, pracownicy mediów i wielkich korporacji („Electronic City”),

„Bash”) za nic nie dogadają się z kurwami, dresami i bezdomnymi z Dworca Centralnego („Zaryzykuj wszystko”).

Przedstawienia z Terenu Warszawa pokazały teatralną „fotogeniczność” rejonów wielkich frustracji i pustki. Sportretowały kawałek naszej rzeczywistości, mimo że podstawą dramatyczną były teksty autorów zagranicznych. Kolejne realizacje epatowały widzów brudną, nonszalancko chropawą, niedoszlifowaną strukturą. Reżyserzy z premedytacją balansowali między naturalizmem gry aktorów a sztuczną zabawą cytatami popkultury. Przebrane w młodzieżowy kaptur Rozmaitości były przy okazji wyrazistym wystąpieniem pokoleniowym, testem na nowe tematy do dyskusji i nowy styl sceniczny. Skrzyknęci przez Jarzynę aktorzy i reżyserzy ujęli w TR szansę na nazywanie tego, co ich własne. Trochę jak młode psy oznaczali teren. Wyszedł z tego bezpretensjonalny teatr młodych „normal-sów” ciekawych zjawisk i ludzi z marginesu.

Zafascynowany kapturowymi środowiskami sportretowanymi w nowych spektaklach Rozmaitości spędziłem pół nocy z głową przysłoniętą kapturem na ławce przy Stadionie Dziesięciolecia. Pod pachą miałem „Wypasiony słownik najmłodszej polszczyzny” i płynnie konwersowałem przy piwie z tak zwaną trudną młodzieżą na temat teatru, futbolu i reguł handlu detalicznego. Nagle na moje nieszczęście księżyc wychynął za chmury i okulary zaczęły mi blikować. „Te, szkiele, wypad stąd!” – usłyszałem. No to sobie „poszłem”. Nie ulega jednak wątpliwości, że Jarzynie poszło o wiele lepiej.

ŁUKASZ DREWNIAK

WYWIAD Z DZIAŁACZEM TERENOWYM



ŁUKASZ DREWNIAK: Czy Teren Warszawa przyciągnął do Rozmaitości inną publiczność?

GRZEGORZ JARZYNA: Na pewno nie chodziła na „terenowe” spektakle tak zwana warszawka wśród której ostatnimi czasy Rozmaitości stały się modne. Trafiliśmy głównie do ludzi młodych, bo do nich chcieliśmy trafić. To z myślą o nich szukaliśmy tekstów do inscenizacji, kalkulowaliśmy cenę biletu.

Coś zyskałeś, choćby jako reżyser, dzięki Terenowi?

– Odmłodniałem. To było jak powrót do początku, drugi debiut. Czulem się, jakbym wczoraj skończył szkołę. Mogłem pozwolić sobie na ryzyko. Jeśli przez pięć lat robisz tylko duże inscenizacje, zapominasz, że teatr może być także kaprysem, zabawą z konwencją. Idea Terenu daje reżyserowi pewien komfort: niekoniecznie finalnym rezultatem musi być gotowy spektakl.

Co masz za największą porażkę, a co za sukces?

– Nasza klęska to awantura wokół „Zszywania” i jednej kontrowersyjnej kwestii [„no to ch... mu w d... k...” – przyp. red.] z tego spektaklu, która oburzyła recenzentów i widzów. Dyskusja w mediach w całym stopniu nie dotyczyła przesłania spektaklu. Nie sądzę, żeby ten „skandal” nam pomógł. Takie niepotrzebne szumy medialne tylko odciągają widzów od tego, o czym naprawdę chcemy mówić. A sukces? Już samo to, że Teren istnieje. Że został zrealizowany w tym kształcie, w jakim go zaplanowaliśmy. Nie wiem, czy w innym kraju i w innym mieście byłoby to możliwe, pamiętając o środkach, jakimi dysponowaliśmy.

Co dalej – z projektem, aktorami, przedstawieniami?

– Część spektakli będziemy grać nadal. Sama idea projektu, w nieco rozluźnionej formule, zostanie wśród zadań TR na przyszły sezon. Damy tylko reżyserom więcej czasu do pracy nad spektaklami. Będą mogli sami wybrać sobie teksty, nie tylko współczesne. Poprzyglądamy się aktorom. Część pewno zwiąże się z nami w przyszłości. Teraz wracają na studia.

ŁUDZIE TERENOWI, CZYLI NAJWIĘKSZE AKTORSKIE ODKRYCIA TR

Kumpela z osiedla, teatralne zwierzę, skupiony antytwardziel czy szwaczka emocji – odkrywając nowe aktorskie twarze, Teren wykonał kolejne z założonych zadań

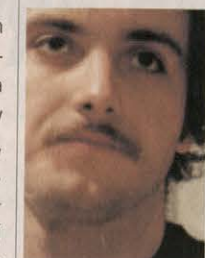
Roma Gąsiorowska

Objawienie. Masłowska polskiego teatru. Grzegorz Jarzyna zawsze miał oko do kobiet, nie przypadkiem to on wylansował kobiecie idolkę pokolenia dzisiejszych 30-latków (Maja Ostaszewska, Magdalena Cielecka). Gąsiorowska jest do-



piero po drugim roku krakowskiej PWST, zdążyła już wystąpić w filmie Suhra „Pogoda na jutro”. W TR zagrała trzy role: w „Snach”, „Disco-Pigs” i „Bashu”. Od paru miesięcy leży z jej zdjęciem w portfelu i ciągle nie wiem, co o niej myśleć, jak ją zaklasyfikować. Przychodzą takie dziewczyny i w pierwszej chwili nie ma co z nimi zrobić. Są jakieś takie kolczaste: inny sposób mówienia, inna wrażliwość, nawet ubrane są po nowemu.

Gąsiorowska to rebeliantka koloru, dźwięku i emocji. Dziwna melodia, z jaką mówi, nadaje nowy walor tekstom. Żadna z niej dama, raczej kumpela z osiedla. Taka, co skręta zapali i pocałuje w bramię. Nie ma w niej ani gniewu, ani neurotyzmu, jest za to demonstracyjna osobność. Wydaje się odcgrodzona od nas lodową taflą, niby coś tam w jej wnętrzu hula i boli,



Michał Żurawski

Antyamant, antytwardziel i antyneurotyk. Żywy dowód na to, jak powikłaną psychikę mają współcześni mężczyźni. Żurawski dysponuje ciepłym głosem lektora filmów fabularnych, nie ma w nim jednak ani grama narcyzmu. Skupiony, zręcznie rozbija każde emploi, w które chcielibyśmy go wtłoczyć. Paddy w „Made in China”, Pilot w „Electronic City” i Mężczyzna w „Zszywaniu”.

Piotr Rogucki

Perwersyjny fighter. Jedna rola w TR („Zaryzykuj wszystko”), ale bogaty roczny dorobek (lider i wo-



Fot. ANNA KACZMARZ/REPORTER

kalista numetalowej Comy, tryumfator wrocławskiego Przeglądu Piosenki Aktorskiej). O aktorstwie myśli poważnie, muzyka to tylko przygoda. U Jarzyny zagrał bezpruderyjnie rolę gwiazdora porno gustującego w dojrzałych kobietach. Zwierzę teatralne.

Magdalena Popławska



Fot. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Gdybyśmy stali z Popławką w tej samej kolejce na koncert Noviki, pomyślałbym, że to zapłataną tu przypadkiem oazówka. Tymczasem na scenie ta studentka krakowskiej PWST zmienia się w szwaczkę skrytych emocji. Jej pozorna bezbarwność zostaje w każdej roli podniesiona do rangi cnoty, zwyczajność jest źródłem teatralnej siły. Popławska powolutku, acz konsekwentnie, zmusza widza do skupienia na sobie uwagi. Potrafi zagrać ofiarę bezdusznego świata, która i tak wbrew wszystkiemu wydrąży dla siebie w rzeczywistości bezpieczną norę. Gra w „Tlenie” i „Zimie”, wyleguje się na piwnicznej podłodze w „Snach”, szaleńczo biega po ogromnym holu w „Electronic City”. Kwintesencja dobrze wymyślonej prywatności na scenie. (ŁD)

NAJLEPSZE SPEKTAKLE TERENU WARSZAWA:

„DISCO-PIGS”. Stalarnia, sala prób TR. Chłopak i dziewczyna zakochani w przemocy, zamknięci we własnym wymyślonym świecie. Kapitałny debiut reżyserski Krzysztofa Jaworskiego, studenta II roku krakowskiej PWST, świetne role Gąsiorowskiej i Maćkowiaka.

„ELECTRONIC CITY”. Biurowiec Liberty Corner na Mysiej, siódme piętro. Grupa filmowców kręci fabułę o pracownikach wielkich korporacji uwieczonych w hotelach, na lotniskach i w kleszczach własnych lęków i obsesji. Redbad Klynstra kpi z naszych tęsknot za wirtualnymi światami.

„ZARYZYKUJ WSZYSTKO”. Dworzec Centralny. Z premedytacją przeszarżowany, ulepiony z groteskowych schematów, wymiętych dramaturgicznych kalek i teatralnych śmieci spektakl Grzegorza Jarzyny. Genialna rola Aleksandry Koniecznej. (ŁD)

„GARGANTUA I PANTAGRUEL”, REŻYSERIA I OPRACOWANIE TEKSTU PIOTR BIKONT, MUZYKA KRZYSZTOF KNITTEL, SCENOGRAFIA ALEKSANDER JANICKI, premiera 23.06 Warszawa, Fabryka Trzciny

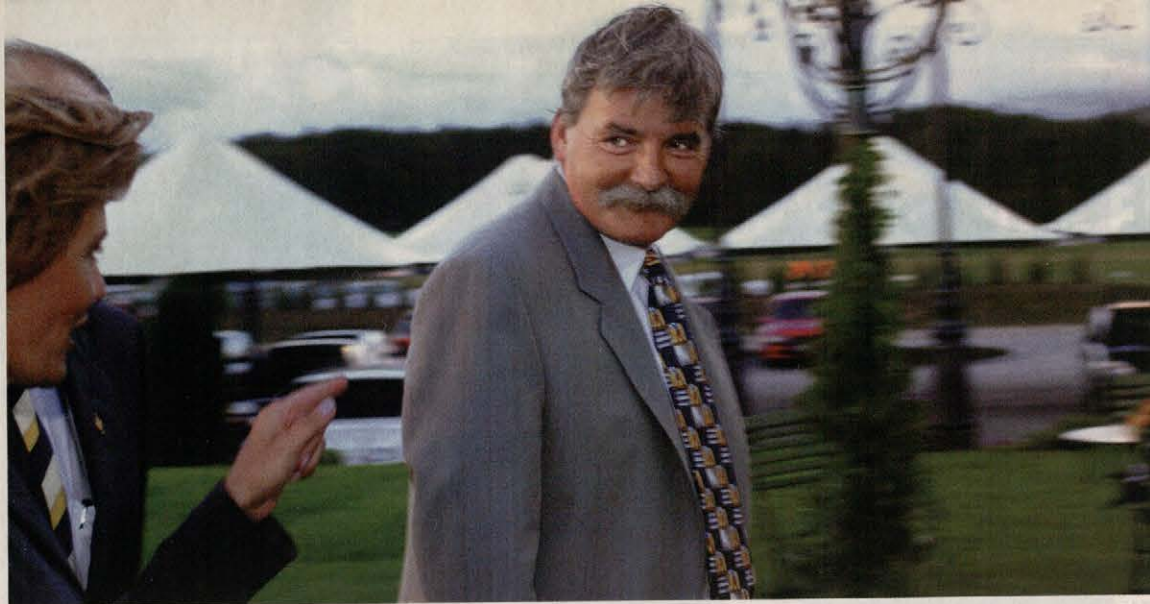


CO W TRAWIENIU PISZCZY

Radość z bulgotania organizmu – będącego konsekwencją płynno-gazowej kondycji ludzkich trzewi – pozbawia się nas dyktatem tak zwanych dobrych manier na poziomie przedszkola. Potem finalne taktę procesu trawinnego zawstydzają, a publiczne ich wspomnianie skazuje na towarzyskie wyobcowanie. Właściwą proporcję między potęgą człowieczego ducha a fenomenem jego cielesności przywraca niezwykle zabawne przedstawienie „Gargantua i Pantagruel” Piotra Bikonta, który z pięciu ksiąg powieści François Rabelais’go wybrał kilkanaście epizodów i ułożył w smaczną opowieść. Smak zawdzięczamy nie tylko materiałowi literackiemu, lecz także doświadczeniu reżysera. Bikont – jeden z najlepszych w kraju znawców kuchni – wie, że dają go potrawie właściwe proporcje między ingrediencjami. W przedstawieniu nie inaczej – mimo historii o puszczaniu wiatrów, defekacji, podcieraniu się ptactwem i sikaniu na lud paryski to bardziej opowieść o sztuce bajania jako środka budowania więzi międzyludzkich. W czasach, kiedy głową rodziny bywa telewizor, bo ma najwięcej do powiedzenia, snucie opowieści jest, niestety, kopalnią. Bikont pokazuje, że bez tej umiejętności tracimy sporo z tego, co czyni człowieka. Osiąga to w sposób najprostszy: pozwala opowiedzieć o przygodach Gargantui, Pantagruela i jego kompana Panurga trzem kobietom pracującym w kuchni. One to – zabijając czas dzielony między obieranie ziemniaków, ugniatanie ciasta i doglądanie maszyni produkującej wódkę – snują przebudzone historyjki, a widzowie zwijają się z zazdrości, że sami już tak bajdurzyć nie potrafią.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ





Fot. PRONCZYŃSKA

PIJANOWSKI WRACA DO GRY

„Magda, pocałuj pana!”
– autor tego faux pas, które przed laty ubawiło miliony widzów „Koła fortuny”, powraca do telewizji jako twórca TV Fortuna, w której będą tylko teleturnieje

MAŁGORZATA SADOWSKA: Na lata zniknął pan z telewizji. Co pan robił?

WOJCIECH PIJANOWSKI: Pracowałem nad pomysłem stacji. Nie chodziłem po telewizjach z projektami, bo te najlepsze odkładałem dla siebie. Jak uskładała się duża kupka, postanowiłem założyć kanał.

To takie łatwe?

– Mam dobry pomysł i inwestorów, więc ryzyko jest niewielkie... Teleturnieje są bardzo wysoko w badaniach oglądalności, więc o widzów się nie martwię.

Co można będzie zobaczyć w TV Fortuna?

– To będzie kanał tematyczny emitowany całą dobę, z konkursami, teleturniejami, quizami, programami o zasadach gier. Z czasem być może będą u nas filmy związane z grami. Wszystko mojego pomysłu, żadnych formatów. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu ich sprowadzać, skoro można samemu coś wymyślić.

No to co pan takiego wymyślił, co będzie największą atrakcją programu?

– Myślę, że „Ryzyko”, teleturniej z wiedzy ogólnej, w którym można będzie wygrać spore pieniądze, ale gracz do końca nie będzie miał pojęcia, ile ma na koncie. Może w pewnym momencie zaryzykować i zabrać nagrody swoje albo przeciwnika, nie znając ich wartości.

Będzie pan prowadził jakiś teleturniej?

– Właśnie „Ryzyko” i jeszcze „Enigmę”, w której pytania zadawał będzie... cudzoziemiec. Najpierw trzeba będzie rozszyfrować, co mówi, a potem odpowiadać na pytanie. Poza tym wciąż szukam prowadzących – chcę tworzyć własne „gwiazdy”.

Jakimi nagrodami chce pan zwabić uczestników swoich programów?

– Z badań wynika, że musi to być minimum tysiąc złotych, optymalnie około dziesięciu tysięcy. Paradoksalnie nagrody w wyso-

kości stu tysięcy czy miliona wydają się ludziom nieosiągalne i często rezygnują z udziału w teleturnieju. Nagrody rzeczowe też nie mogą być zbyt wysokie. Jeśli ktoś wygra BMW, to musi zapłacić 20 tysięcy podatku, to są z tego same problemy. Ludzie wolą pralki, telewizory – no i wczasy.

Ogląda pan teleturnieje?

– Oglądam i mogę powiedzieć, co mi się w nich nie podoba: styl prowadzenia. Kiedy słyszę, jak młody prowadzący zwraca się do 60-letniego uczestnika per „Kaziu”, w głowie mi się to nie mieści. Ale ja jestem już starszy człowiek i może dlatego tak mnie to denerwuje. U mnie będzie elegancja: „proszę pana”, „proszę pani”.

Czego jeszcze nie będzie?

– Wsadzania głowy w robaki i tego typu rzeczy. Wiadomo, że dla pieniędzy ludzie zrobią wszystko, po co więc takie eksperymenty? Ja preferuję teleturnieje „wiedzy”, w których trzeba wykazać się sprytem i inteligencją. TV Fortuna będzie dla tych, którzy oglądają „Jednego z dziesięciu”, a nie „Dla ciebie wszystko”.

Dziś dominuje telewizja drapieżna, a pan kojarzy się z tą „starą”. Internauci nazwali pana „reliktem przeszłości”...

– Czytałem te komentarze i jestem pewien, że ci, którzy to napisali, zmieniają zdanie, bo będą robić rzeczy wyprzedzające to, co dzieje się dziś w telewizji – mam na przykład w planach grę, w której będzie mogło wziąć udział sto tysięcy osób naraz... A co do drapieżności – właśnie dlatego, że dziś telewizja taka jest, trzeba wrócić do normalności. Zobaczcie, że można!

Ale nic pan nie poradzi na to, że kojarzy się ludziom głównie z „Kołem fortuny”...

– Dobrze, że ja się w ogóle kojarzę.

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA SADOWSKA



ODWROTNOŚĆ NUDY

TELE SESZELE

Przez całe lata **Wojciech Pijanowski** (52) był w TVP specem od teleturniejów. Prowadził szalenie popularne „Skojarzenia”, „Potyczki rodzinne”, razem z Włodzimierzem Zientarskim i Krzysztofem Szewczykiem bawił widzów „Jarmarku”. To on wymyślił (i prowadził) polską wersję „Koła fortuny”. W roku 1989 odszedł z TVP i założył własną firmę. Produkcował teleturnieje m.in. dla Tele5 i TVN, wymyślał gry do telefonów komórkowych. Dziś rozkręca TV Fortunę, która ma ruszyć w grudniu. Czekaj na koncesję. W obiegowej opinii Pijanowski ma głowę nie tylko do rebusów, lecz także do interesów. – Zawsze wiedział, jak robić pieniądze, świetnie zarabiał – usłyszeliśmy od osoby niegdyś z nim współpracującej. – Jeździł na Seszele, kiedy jeszcze w Polsce nikt nie znał tego słowa.

(MASA)



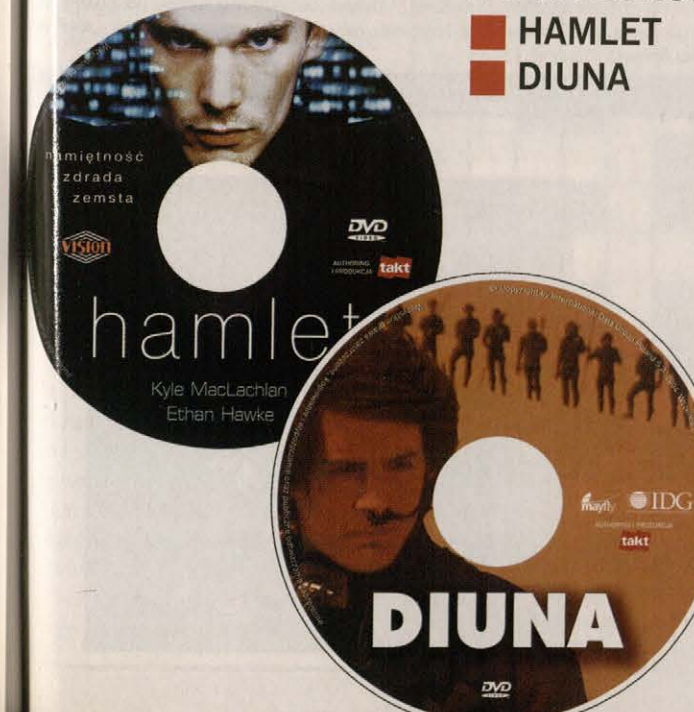
w sprzedaży od 17 czerwca



PREZENT 2 FILMY NA DVD

DO WYBORU:

■ HAMLET
■ DIUNA



zaproszenia: www.solidnafirma.pl informacje: www.gazeta.pl

solidna firma

gazeta.pl

Mistrz Mowy Polskiej
Finał IV edycji konkursu

Mistrzowie Mowy Polskiej IV edycji zostaną wybrani spośród dwunastu nominowanych do tego tytułu. O tym, kto otrzyma tytuł Vox Populi zadecydują głosy publiczności. Oddaj swój głos!

- | | |
|---|--|
| ☐ Artur Andrus | ☐ Wojciech Mann |
| ☐ Anna Dymna | ☐ Andrzej Matul |
| ☐ Jan Englert | ☐ Wojciech Młynarski |
| ☐ Danuta Holec | ☐ Ferdynand Ruszczyc |
| ☐ Lucjan Kydryński | ☐ Bożena Targosz |
| ☐ Robert Makłowicz | ☐ Małgorzata Tułowiecka |

Zaznacz krótkę przy nazwisku wybranego kandydata.

21 czerwca Gala Finałowa
Teatr Polski w Warszawie

☐ Proszę o przesłanie zaproszenia na Galę Finałową
Imię i Nazwisko głosującego:
adres:
e-mail:
Wśród głosujących zostaną rozlosowane atrakcyjne nagrody.
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie na potrzeby realizacji procesu losowania nagród i dostarczenia zaproszeń, zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. z 1997 nr 133, poz. 883).

Start-02 Sp. z o.o.
Wydawca Magazynu Konsumenta „Solidna Firma”
ul. Promyka 11, 01-604 Warszawa
www.solidnafirma.pl, e-mail: mistrzmony@mistrzmony.pl
Zgłoszenia telefoniczne i informacje o biletach:
(22) 869-95-17/19

MECENAS



PKO BANK POLSKI

PARTNERZY FINAŁU

PATRONI MEDIALNI



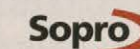
POLSKA
WYTWÓRNI
PAPIERÓW
WARTOŚCIOWYCH S.A.



WYDAWNICTWO
NAUKOWE
PWN

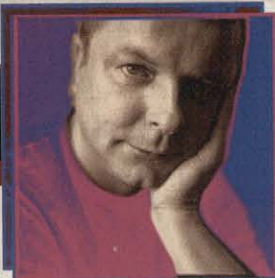


TELEWIZJA POLSKA



KULINARNE PIÓRO POLSKI

Oddech martwej kochanki



TADEUSZ PIÓRO

Podczas niedawnej wizyty w Pradze badałem wpływ integracji europejskiej na kuchnię czeską. Europeizacja postępuje, aczkolwiek powoli i w charakterystyczny dla Czechów ironiczny sposób. W restauracyjnym menu znajdujemy salatkę z rukoli i szpinaku, lecz jest to danie dwa razy droższe niż befsztyk z polędwicy i w ogóle najdroższe danie w karcie. W enotece każde wino dostępne jest na kieliszki – ale nie w piątki. W czwartki właściwie też nie. Jeśli chcemy tylko kieliszek, nie całą butelkę, najlepiej przyjść w poniedziałek – informuje sympatyczny właściciel winiarni. Weekendy spędza na wsi, lokal jest zamknięty, a butelka otworzona w piątek i na powrót zakorkowana w poniedziałek będzie już niedobra. Bardzo być może – lecz taką informację należałoby w karcie win umieścić, i to tłustym drukiem. Ba, wręcz w dwóch językach. Zamiast czterech kieliszków dostaliśmy cztery butelki, lecz nie wpłynęło to znacząco na poprawę humorów – zaledwie na zawartość portfela.

Z niedowierzaniem czytałem kartę dań w kolejnym, raczej eleganckim lokalu – była tam bowiem kurza pierś z rusztu, a do niej zielone szparagi. Entuzjazm szybko zmienił się w znużony sceptycyzm, ponieważ kura była przepieczona, a szparagi haniebnie rozgotowane. Pomyślałem wówczas, że mając kurzą pierś i szparagi, zrobiłbym coś zgoła innego niż czeszy mistrzowie kuchni. Zamiast rozgotowanych ziemniaków podałem do nich makaron, zaś całość przygotował, jak następuje.

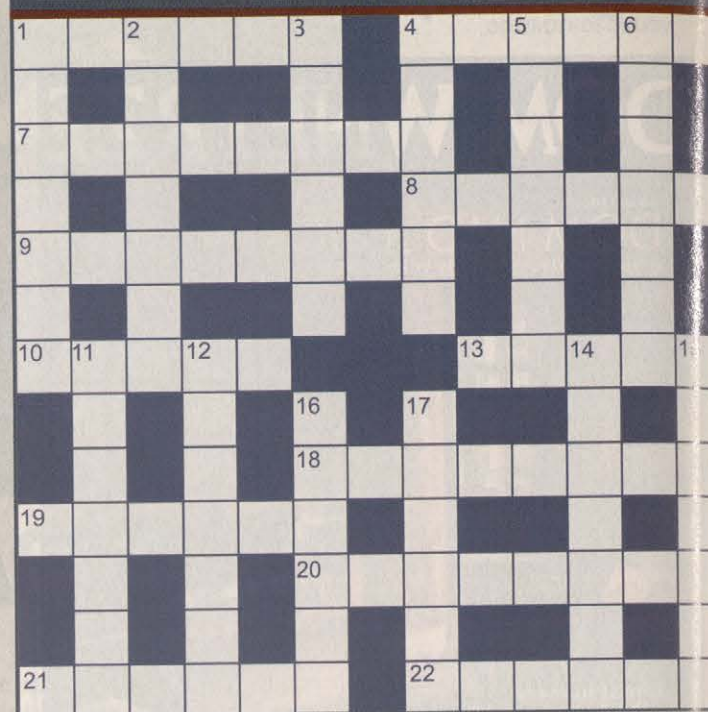
Kurzą pierś kroimy w niewielkie kawałki, akurat na kęs. Posypujemy solą i pieprzem, wyciskamy przez prasę ząbek czosnku, rozprowadzamy go po kawałkach kurczaka, którego następnie zalewamy kilkoma łyżkami oliwy i odstawiamy na go-

dzinę do lodówki. Zielone szparagi tnijemy na odcinki czterocentymetrowe i zalewamy zimną wodą – niech poleżą w niej przez pół godziny. Gotujemy cienkie makaronowe rurki, czyli pennette, a jednocześnie rozgrzewamy patelnię o grubym dnie i wrzucamy do niej szparagi (osączone, ale niezbyt dokładnie – będziemy je prażyć bez tłuszczu). Po paru minutach dodajemy kawałki kurczaka, z których uprzednio usunęliśmy czosnek. Czosnek trzeba usunąć pieczołowicie, ponieważ może się przypalić i nadać przykry smak skądinąd przemyślnemu danu. Razem z kurczakiem dodajemy oliwę, w której się bejcował. Kurczak powinien nabierać złocistych rumieńców w ciągu dwóch minut. Dodajemy wówczas dwa posiekane suszone pomidory (najpierw opłukane pod bieżącą wodą), odcedzony makaron i garść liści bazylii. Mieszmą wszystko razem przez minutę i danie gotowe. Czeskim winem raczej go nie popijemy, ponieważ produkcja nie nadąża za krajowym popytem i wina te rzadko są eksportowane.

Mają Czesi mimo predylekcji do przesadnej obróbki termicznej mięs świetny sposób na aromatyzowanie wieprzowiny. W moździerzu tłuką sól, pieprz, czosnek i kminek i nacierają taką mieszanką to, co zamierzają dusić, piec lub podsmażać. Bardzo polecam. A co się tyczy tytułu tych praskich impresji, czyli „Oddechu martwej kochanki” – jest to potrawa. Potrawa istniejąca zapewne od bardzo dawna, lecz obdarzona taką nazwą przez praską cyganerię artystyczną na początku XX stulecia. Zamówiłem ją bez wahania w przyjaznej gospodzie, nie wiedząc, czego się spodziewać. Dostałem placki ziemniaczane z serem pleśniowym. Jeżeli ironia ma aromat, tu najłatwiej go znaleźć.

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 25



POZIOMO:

1. W DECHĘ BUJA
4. KORALE KOLORU KORALOWEGO
7. DO WIDZENIA
8. SZKODZIWIKA
9. DZIEŁO ŻYCIA
10. BELKA WIĘCEJ
13. JEDNOOKI BANDYTA
18. HALKI HALKI

19. R W KAJDANKACH

20. GAZ POMARAŃCZOWY
21. KRAWCOWA
22. POLSKI BUSZ

PIONOWO:

1. ARKA
2. ROSOŁOTERAPIA
3. ADAM MAŁYSZ

4. TYLKO DLA GRZESZNIKÓW

5. ŚWIĘTO, BO ŻŻEJO
6. BRONY NA SZTORC
11. GŁOŚNO PLEĆ
12. Z WINEM I ŚWIECĄ
14. CZARNY STAN
15. WALIZYNIARZ
16. WALKA BRONĄ
17. SENNY TARG

Rozwiązanie krzyżówki nr 21:

Poziomo: 1. skrzyp 4. dżokej 7. biznesmen 9. cios 10. jajo 11. skwer 13. reszta 14. kaczką 15. wieprz 17. Miller 19. tarło 20. kwit 22. film 23. kapuśniak 24. lokata 25. kaseta

Pionowo: 1. spacer 2. zwis 3. panika 4. Daszek 5. olej 6. jagoda 7. bolszewik 8. naczelnik 11. start 12. radio 15. wesele 16. zasuwa 17. młynek 18. remiza 21. tara 22. faks

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 19 nagrody wylosowali: Radosław Korzeniowski, Strzelce Kr.; Ewa Kowanda, Opole; Iwona Krajewska, Gdańsk; Krystyna Kresowiecka, Gorzów Wlkp.; Bartosz Pohl, Gdynia. Gratulujemy!

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 27 czerwca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłały poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki „Alef” Luisa Borgesa (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 25 lub Krzyżówka 25

AGATA BOGACKA



„Mikołaj i Olga”

WWW.RASTER.ART.PL

WINNY

BIEŃCZYK

Żółte kalendarze

Gdzieś obok znowu coś zakwiliło, zostało nazwane Marysią, Zosią czy Krzysiem, otworzyło ślipia i narobiło w pieluszkę, a mnie znowu zapytano: co by tu takiego kupić, by chwilę upamiętnić, pieluchę unieśmiertnić i za lat 18, gdy dojrzałość zaokrągli dziewczęce talie i oblepi smarokate buzie za nosem, wręczyć Marysi, Zosi czy Krzysiu jako miłe memento?

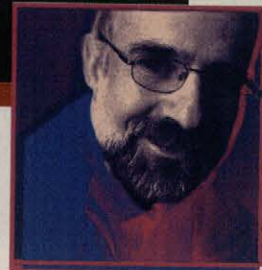
Zachodzę w głowę, sprawdzam roczniki, pocę się z przejęciem, gdyż czuję się odpowiedzialny za te 18 lat, które przemną migiem po to, by zwiędzić je mogła niecodzienna butelka urodzona w tym samym roku co Marysia, Zosia czy Krzys. Moje zadanie polega na wyborze takiej, która dojrzeje czy, jak kto woli, zestarzeje się równie dobrze co małżeństwa i otwarta w dniu wyznaczonym podkreśli swym smakiem wartość tej całej inwestycji zwanej życiem. Wybór nie jest wcale łatwy, gdyż nie tak wiele win wytrzyma podobny szmat czasu, nie tak świetnie się nadają do ich przechowywania piwnice rodziców, nie tak od razu da się wszystko dostać. Doprawdy, pytam prokreatorów, czy musi być to wino? Czy złym prezentem był album „Zamek Królewski w Warszawie” otrzymany przez 18-letniego niżej podpisanego 6 lipca 1974 r.? Czy słusznie 18-letni krzywił się i rozpaczliwie szukał ukrytej w albumie koperty? Niczego nie znalazł, lecz mógł przynajmniej przyjrzeć się każdej stronie, ucieszyć się, że on i Zamek już na zawsze będą razem w tym samym mieście.

No cóż, ma być wino. Może szukać wśród wielkich bordeaux lub barolo, bardzo wielkich burgundów czy brunello, niektórych rioj. Wśród win słodkich najlepszy jest dużej klasy tokaj lub niemiecki riesling TBA. Jeśli jednak Marysia, Zosia czy Krzys miałby dostać coś odpowiedniego dla niewątpliwie znakomitości i niepowtarzalności ich jestestwa, proponowałbym wino niezwykle oryginalne – wino żółte.

Nie wszyscy może wiedzą, że coś takiego istnieje. Nie białe, nie czerwone



*Przyjemny tokaj
4-puttonowy
Disznokó 98.
do uroczczenia
czegokolwiek.
Starowiślna 66
w Krakowie*



MAREK BIEŃCZYK

ani nie różowe, tylko właśnie żółte. Powstaje ono we francuskiej Jurze, przy granicy szwajcarskiej, w apelacjach Côtes-du-Jura i Château-Chalon. W wypadku tej drugiej wino pozostaje w beczkach aż sześć lat. Wino ma istotnie kolor mocno żółty; w trakcie pobytu w beczce na jego powierzchni tworzy się, podobnie jak w wypadku sherry, kożuszek drożdżowy, który ogranicza nadmierny kontakt z powietrzem, ale pozwala winu tyknąć nieco tlenu. Stąd jego intensywnie żółta barwa i stąd jego nieprawdopodobny bukiet orzechów, migdałów, szafranu,

curry i jablek. Ponoć za słynne orzechowe nuty wina żółtego odpowiedzialna jest molekuła zwana sotolonem, w której wzorze chemicznym dopatryłem się między innymi takich cyfr jak 4,5 2 (5H) i takich słów jak furanon i dymetyl. Nic z tego nie rozumiem, ale zrozumie może genialna Zosia i nadzwyczaj uzdolniona Marysia.

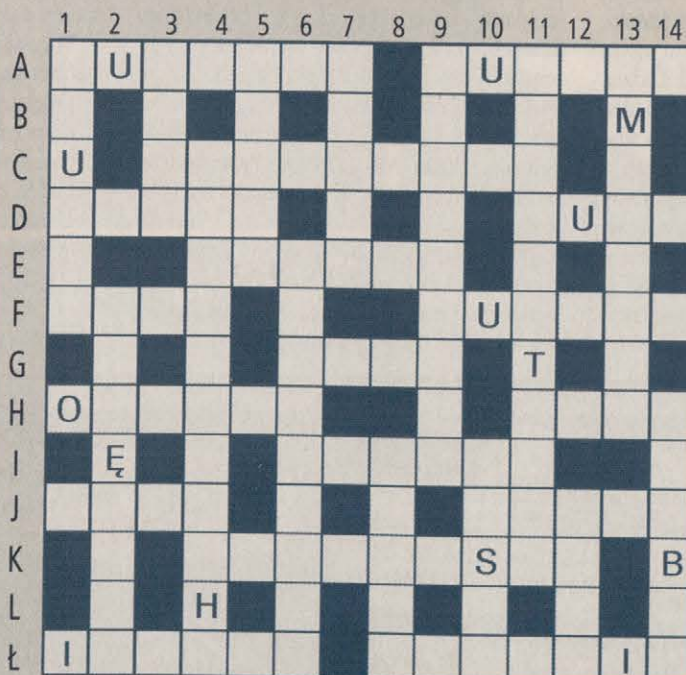
Myszę, że spodoba im się też myśl, iż ich 18 lat spędzonych na ziemi pachnie orzechami i curry. Ale jeszcze większą niż bukiet zaletą wina żółtego jest to, że można bez lęku przekazywać je – jak pierścionek czy sygnet – dalszym pokoleniom. 60 lat to dla niego betka, podczas gdy burgundy czy brunello zdążą uderzyć w kalendarz. „Spal żółte kalendarze...” – nawoływał kiedyś pieśniarz Piotr Szczepanik. Tęgo kalendarza, jakim jest wino żółte, tak łatwo spalić nie można. A na razie, Zosiu, Marysiu, Krzysiu, paciorek, siusiu i spać.

www.przekroj.pl/biencyk

JOLKA nr 25

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

L6 – E13 – D4 – A12 – H2 – B7 – K7 – C9 – I14 / A3 – L9 – H6 – F12 – E1 – C5 / J11 – A14 – E8 / H13 – I11 – I4



WYRAZY 11-LITEROWE:
• muzyka do tak
• tętnica Alp

WYRAZY 9-LITEROWE:

- sport dla introwertyków (jako że mają odpowiednie... środki)
- na kanapce jarosza spod Berna
- grucha z gryfem
- turysta, któremu świat pomylił się z królem Augustem

WYRAZY 8-LITEROWE:

- wstukany grymas
- biały kołnierzyk

WYRAZY 7-LITEROWE:

- bezzczcionkowiec
- pluskał w złych smach Pompejusza

WYRAZY 6-LITEROWE:

- Quasimodo Volkswagena
- zapasowe jabłuszko
- As stu ras

- w całej – Litwy piękność
- w komputerowej cerkiewce
- larwa „Przekroju”
- młoteczkami na tkaninie
- na wizytówce miga i jaka

WYRAZY 5-LITEROWE:
• niepowodzenie z tą, co nie woda
- nocka na ostro
- zielnik na gorąco
- w tajni Augiasza
- z łaską pod siatką
- niż na nie

WYRAZY 4-LITEROWE:

- sztuka szuka
- bulaj węglarni
- Turka poszturka
- jego konik to zdobywanie Troi
- k.o.leżanka
- Desmond
- Gdziegdzie, noblista
- im kartograf
- pracowitszy, tym jej na mapie mniej

Rozwiązanie jolki nr 21: NIC TAK DOBRZE NIE STRZEŻE TAJEMNICY JAK NIEDOKOŃCZONA POWIEŚĆ (Italo Calvino w „Gospodzie krzyżujących się losów”).

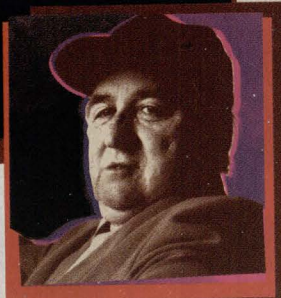
Rzędami: biwak, śnieżynka, salon, remi, rokok, okopy, paproć, precel, łoskot, myjnia, kwoka, władca, Gobi, słowo, darczyńca, Eolka.

Kolumnami: reperkusje, intro, monokl, Cejlorczyk, Jagoda, hydroplan, polawiacz, basior, Konstantyn, wilgoć, chuch, kandydatka.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 19 nagrody wylosowali: Edward Chojnacki, Poznań; Danuta Kiełpińska, Toruń; Marian Spychalski, Włocławek; Kazimiera Stryjska-Kisiel, Konin; Barbara Wojciechowska, Warszawa. Gratulujemy!

ZALEWAJKA

KAZIMIERZ KUTZ



FOT. BOGDAN KRĘŻEL

Trzecie parzenie herbaty

O to minęło już 15 lat, kiedy w tak zwanej telewizji publicznej Joanna Szczepkowska ogłosiła koniec komuny pod naszą umiłowaną, nadwiślańską szerokością geograficzną. Oto mamy przykład potęgi słowa użytego we właściwym czasie, w ładnym opakowaniu kobiecości Joanny Szczepkowskiej; dzięki tym paru słowom po wsze czasy stanie się ona ikoną pierwszego zwycięstwa zbiorowego „zakontraktowanej demokracji”. Był to nasz pierwszy eksperyment z demokracją na skalę narodową i dobrze, że nosić będzie urodę J.S. To także dobrze kojarzy się z symboliką europejską, która – tak jak w rewolucji francuskiej – posługiwała się ciałem kobiety. Słynny obraz Eugène’a Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady” z półnągą kobietą na szczycie barykady odtworzył potem dla nas – w czasach dzieciństwa Joanny Szczepkowskiej – Aleksander Ford w filmie o Chopinie, w którym Hanna Skarżanka uńczyła, a może wypadłoby powiedzieć – podzieliła się z nami swoją piersią na sztucznej barykadzie pod Łodzią. Być może Joanna (mogę używać jej imienia, bo jesteśmy na ty) była wtedy zbyt mała albo tatuś nie pozwolił jej nasładzać się dziełem Forda i przez to nie odwołała się 15 lat temu adekwatniej do francuskiej symboliki rewolucyjnej, co – zważywszy na jej inteligencję – trochę zaskakuje. A przydałaby się dziś tak krztyna bezecnego piękna. Wszak rewolucja jest bezwstydem bezwstydu, publiczne obna-

żanie kobiet także, choć dziś, w czasach niezliczonej ilości striptizerni i agencji towarzyskich, moje szlachetne inwokacje chociaż o jedną pierś Joanny symbolizującą pierwszą udaną polską rewolucję wydać się mogą staroświecką imaginacją idioty. Może rzeczywście idiotcieję – jak każdy zresztą – niemniej brakuje mi tego akcentu, kiedy rozmyślam nad minionym piętnastolecie. Trzeba powiedzieć, dość spartolonym piętnastolecie.

Można się takiej oceny doczytać w wielogłosie autorytetów okresu przemian w ostatnim numerze „Polityki” (Wąłesa, Mazowiecki, Geremek, Balcerowicz, Modzelewski, biskup Pieronek i Wajda), którzy mówią o dzisiejszej Polsce niczym praczki o źle wypranej bieliźnie. A stosowne przepytawanki czytelników oceniają minione piętnastolecie na 3+ i są znacznie gorsze od ocen elitarnego grona, co jest prawidłowe, bo na dole inna karma, inna perspektywa. I inne powietrze od świtu po noc. Aż prosiło się, aby pogmerać w wypowiedziach pełnych zacności panów, bo ich lapidarne wystąpienia są ich bezwiednymi autoportretami. Leżą obok siebie jak przygotowane preparaty pod lupą i można by im podmuchać w piórka, zwłaszcza że jest we mnie coś z kanibala i chętnie pokosztowałbym ich mięska. Ale z żywymi „naprzód trzeba iść...” itd., choć bystry czytelnik i tak swoje wyczyta.

Przedwojenną Polskę nazywano krajem sezonowym, który po 123 latach bezpaństwowości był uwięzieniem niepodległościowych mitów i dążeń wielu pokoleń. Wtedy

był to patriotyczny eksperyment w potrzebie uformowania europejskiego państwa. Nie wyszło to najlepiej, ponieważ zawodziły polityczne elity. Po ośmiu latach narastającej anarchii Naczelnik rozgonił parlamentarne towarzystwo, bo – podobnie jak dziś – nie potrafiło właściwie korzystać z ówczesnego „daru wolności”. Dziś Polska nie jest już „państwem sezonowym”, ale jest podobna w swoim zanar-chizowaniu do przedwojennego; sobiepaństwo jest tożsame, wszak ma te same korzenie w historycznym warcholstwie Polaków.

Niestety, po 15 latach naszego eksperymentu z demokracją mamy kasę polityczną na poziomie herbaty trzeciego parzenia. I odwrócone od niej – całkiem dobrze radzące sobie – społeczeństwo. A co najgorsze, ogromne obszary biedy. Jak powiada mądry profesor z Wrocławia, „...powstała klasa wyższa i klasa dużo niższa, trochę tak, jak to jest w krajach latynoamerykańskich”. I co z tym wszystkim robić?

Nie ma bowiem Naczelnika. Już się do niego przymierzał Wąłesa, już fotografował się z marsowymi portretami Marszałka, już podobnie nadymał usta. I zapuścił podobne wąsy. Ale nie wyszło. Teraz do dzieła sposobi się imć Lepper, choć bliższe mu nauki Goebbelsa, lektura „Mein Kampf” i kolesie z Moskwy. Ale ten numer nie przejdzie, bo nie da się zastąpić wymarszu z Oleandrów blokadami szos i chlewnym chamstwem. Dlatego będziemy się musieli pogodzić z tym, że nasza przyszłość będzie jak Eintopf, czyli zupa, której do rosołu daleko.

Więc skoro jest, jak jest – tylko 3+ i żadnej nadziei na pojawienie się nowego Naczelnika – mogłaby chociaż być po 15 latach ikona z obnażoną piersią Joanny Szczepkowskiej. Ostatecznie mogłaby się sposiłkować biustem jednej z córek. Są piękne.

Uważam, że moje roszczenia nie są zbyt wygórowane, bo coś w dobrym gatunku nam się po 15 latach – na miły Bóg – należy! ■

www.przekroj.pl/kutz



WILHELM SASNAL



Z TEORIĄ W PRAKTYKĘ

SWPS

nowoczesne studia humanistyczne i społeczne

Certyfikat
Jakości Kształcenia



Konferencji Rektorów
Uniwersytetów Polskich

Warszawa

- filologia angielska ○ filologia polska
- filozofia ○ kulturoznawstwo ○ politologia
- psychologia ○ socjologia ○ zdrowie publiczne

Wydział Zamiejscowy SWPS z siedzibą w Sopocie

- psychologia

Wydział Zamiejscowy SWPS z siedzibą we Wrocławiu

- psychologia



Więcej informacji: WWW.SWPS.EDU.PL

SWPS posiada
uprawnienia do nadawania
stopnia naukowego
doktora nauk humanistycznych
w dyscyplinie psychologia

Dni Otwarte w Warszawie:

10 lipca (g. 13.00), 9 września (g. 17.00)

Dni Otwarte w Wydziałach Zamiejscowych:

3 lipca (g. 13.00), 10 września (g. 17.00)

SZKOŁA WYŻSZA PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ

Warszawa:

ul. Chodakowska 19/31
03-815 Warszawa
telefony informacyjne:
(022) 870 62 59, 870 62 60
e-mail:
rekrutacja@swps.edu.pl

Sopot:

ul. Kolberga 15
81-881 Sopot
telefon informacyjny:
(058) 555 09 91
e-mail:
rekrutacja.sopot@swps.edu.pl

Wrocław:

ul. Grunwaldzka 98
50-357 Wrocław
telefony informacyjne:
0 506 118 309, 313, 314
e-mail:
rekrutacja.wroclaw@swps.edu.pl

Limeryki z okolic Afryki

Grzegorz Zak

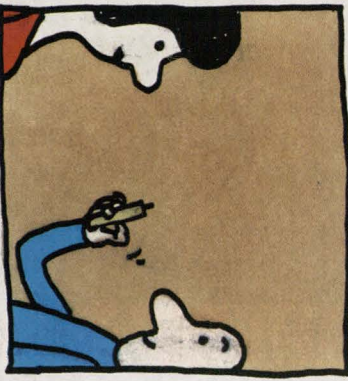
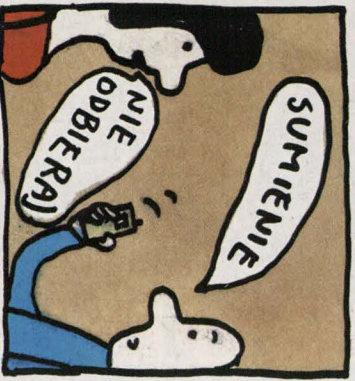
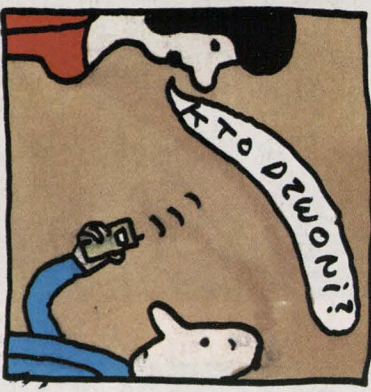
Limeryk o biologu
Pewien biolog z Elbląga
Nietoperze podglądał na drągu
Człowieczeństwo jego zawisło na włosku
Odtąd słuch miał jak przez stereoskop
I oczy wielkości ping-pongów



Rys. LEVIN/NEW YORKER

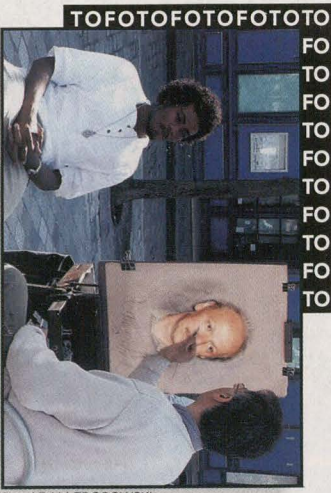
— Robisz w naszej korporacji świetną robotę jako psycholog, ale wielka prośba — daję przez od psychiatrów.

PRZYCZYNĄ SPRAWY JAKOŻE



KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA Moja matka woli kobiety /Starsza pani musi zniknąć

ZAPOWIEDZI KINOWE:
„Moja matka...”
— dramat społeczno-obyczajowy, którego akcja rozgrywa się w Krakowie. Czy samotna kobieta o skłonnościach homoseksualnych przekona radę miasta, że nie stanowi zagrożenia dla „zdrowej części społeczeństwa”?
„Starsza pani...”
— druga część opowieści o zmaganiach z Josem bohaterki znanej już z dramatu „Moja matka woli kobiety”. Czy heroiczna walka z Młodzieżą Wschodnią przyniosła jakikolwiek efekt? Czy można być szczęśliwym poza Krakowem, w Wielkopolsce, na Śląsku? Czy naprawdę Poznań to „miasto otwarte”?



Fot. ADAM ZBOROWSKI

HAIKU BRZOSKI

Ostatnio
Pewną dziewczynę
Bardziej ciągnęło do wilka
Niż do lasu.
Dariusz Brzośka Brzósławice

Rodzina OBŁYCH



Rys. PAULUS MAZUR

SPONSOR

Rafał Bryndal

Po to, by z biegiem płynęła Wisła
By w weekend bańka mydlana przysła
By dobra była w TV pogoda
By pucharowa bywała środa

Po to, by śledzie były w Bałtyku
By hipopotam wrok ludzi przykuł
By sprzedawcy się płuły Doosom
Zawsze potrzebny jest jakiś sponsor

Nic się bez niego nie może zdarzyć
Czy to na scenie, czy też na twarzy
Czy i zabawy, harce motyla
Występ na żywo gniał-debilla

Ukryta w tyłku gwiazdy kamera
Pomocność ciemna, jasna cholera
Noc poświęcona wyłącznie pląsom
By to się działo, musi być sponsor

Góralom, aby żal im nie było
Waleniom, aby im się waliło
Poetom, aby pić mieli za co
Misiom puszystym, gdy się tajdaczka

Płkarzom, zwłaszcza kiedy chcą przeziąć
Konfederacji — na wojnę gwieźdzą
I Tobie, co jest rzeczą najgorszą
By mnie pokochać, potrzebny jest sponsor

Serce zranione o pomstę wola
Patrzeć, jak wciąż się puszczasz dookoła
Jednak to zdziwić, będąc mężczyzną
Bo jesteś przecież moją ojczyzną!

MINUTE Krzysztof Bilicy
O zmiatach nowego szefa
Czy nazwisko jest przed
Jedynki TVP znane konkursu?
Oczywiście, przecież
niezanego nie wybiorą.

Z głowy... Krzysztofa Bilicy Jeśli oczekujesz czegoś od życia, nie spędzaj go w poczekalni!